CÓRKA FARAONA.

EBERS.

Górka Faraona

POWIEŚĆ

PRZETŁÓMACZYŁA

Teresa Jadwiga.

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Przyjaciela Dzieci."
Chmielna № 26.
1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Февраля 1899-го года.

Warszawa. Drukiem Emila Skiwskiego.

I.

Nil opuścił swoje łożysko... Daleko i szeroko rozciągnęła się niezmierzona powierzchnia wody. Tam, gdzie niegdyś oko spotykało uprawne pola, łąki ustrojone kwiatami, teraz widniała zwierciadlana przestrzeń, w której przeglądały się błękity niebios, a tu i owdzie z fal szumiących wychylały się miasta obronne wałami, ze swymi świątyniami i pałacami. Zdawały się one ręką olbrzymów być wzniesione; tu i owdzie sterczały dachy domostw wiejskich i korony smukłych palm. Płaczące wierzby pozwieszały smutnie swe gałązki nad rozkiełzaną rzeką, która groziła zniszczeniem wszystkiemu, co ją otaczało; wysokie, srebrnolistne topole, ze wzniesionymi w górę konarami, zdawały się unikać zetknięcia z tą potężną władczynią.

Księżyc wypłynął właśnie w pełni na niebo, rozlał łagodny blask po długim łańcuchu gór Libijskich, zlewającym się na zachodzie z horyzontem, i oświecił białe kwiaty lotosu na Nilu.

W powietrzu szybowały z cichym szmerem nietoperze; w konarach drzew drzemały dzikie gołębie, oraz inne ptaki, a trzcina i sitowie udzieliły przytułku pelikanom, żórawiom i bocianom. Bociany, pochowawszy głowy pod skrzydła, spały spokojnie, lecz żórawie budził najlżejszy plusk wody, najcichsza piosnka przewoźnika: natychmiast wyciągały szyje i słuchem chwytały dochodzące głosy.

Podczas owej księżycowej nocy, a było to na 528 lat przed Chrystusem, na wezbranych falach rzeki Nil ukazała się mała barka; żórawie posłyszały plusk i spostrzegły płynących. Jakiś człowiek, w którym łatwo można było poznać Egipcyanina, kierował sterem; nawpół nadzy wioślarze siedzieli bezczynni w czólnie z opuszczonemi wiosłami; w otwartej kajucie, do drewnianej altany podobnej, spoczywało na miękkich wezgłowiach dwóch podróżnych, których ubiór i rysy twarzy zdradzały greckie pochodzenie.

Starszy, niezwykle wysokiego wzrostu, mógł liczyć lat sześćdziesiąt; gęste jego i ciemne zwoje włosów spadały w nieładzie na gruby kark; płaszcz prosty, długi spływał mu z ramion, posępnym wzrokiem zapatrzony w ciemne głębie rzeki, milczał. Towarzysz jego nie kłócił mu zadumy; młodszy o wiele, szczupłej i zręcznej postawy, to ku gwiaździstym niebiosom z tęsknym wyrazem spoglądał, to poprawiał fałdy swego purpurowego „mlanis“ lub bawił się ciemnymi pierścieniami włosów i starannie utrefionej brody. Barka

ta wypłynęła z miasta Neukrafis, jedynego w owym czasie portu greckiego w Egipcie.

Gdy brzeg przeciwny ukazał się oczom podróżnych, starszy wyprostował się i rzekł:

— Wkrótce staniemy u celu, Arystomachusie... Widzisz ten dom w ogrodzie położony, którego powódź nie dosięgła?... Jest to mieszkanie zacnej mojej przyjaciółki Rhodofis.

To mówiąc, wyciągnął ramię przed siebie.

— Mąż jej Choraksos wystawił ten dom. Zamożny był to człowiek, łaski króli posiadał, ale największym jego skarbem była Rhodofis.

Arystomachus uśmiechnął się.

— Czy wszyscy Spartanie są tak skorzy do uwielbień, Thanasie? — zapytał.

Lecz powstał i począł przypatrywać się otoczonemu ogrodem budynkowi.

— Nie mylę się nigdy w sądzie o ludziach, — odparł poważnie Thanes — zapewniam cię, iż równie szlachetnej kobiety, jak staruszka, którą niebawem poznasz, nie spotkasz w całym Egipcie, a gdy zobaczysz jej małą i śliczną wnuczkę, gdy usłyszysz prześliczne greckie pieśni, wykonane przez doskonale wyćwiczony chór niewolnic Rhodofis, podziękujesz mi z pewnością, żem cię do jej domu wprowadził i poweselejesz, pierzchną smutne twoje myśli.

Arystomachus wstrząsnął przecząco głową.

— My, Ateńczycy, zepsuci jesteśmy, niełatwo co budzi w nas zachwyt — odparł — powtóre pieśń tylko

podrażnić mnie może, rozbudzić uczucia tęsknoty za drogimi Atenami. Nie jechałbym tutaj z tobą, gdyby nie nadzieja, że spotkam Frykusa z Delf.. Lecz ty mnie nie rozumiesz...

Thanes spojrzał na niego z wyrazem pobłażania.

— Przypuszczasz, iż w twardej szkole wychowany Spartanin nie rozumie, co to tęsknota za ojczyzną? — zapytał z odcieniem lekkiej ironii. — I mnie chleb wygnania nie smakuje, możesz być tego pewien, lecz roztkliwianie się nad własnym losem czyni człowieka niedołężnym; zamiast wypatrywania smutnych stron mego położenia, wolę przypominać sobie dodatnie... Heleńskie pieśni, które usłyszymy w domu Rhodofis, przeniosą moją duszę do Grecyi; ujrzę wzrokiem wyobraźni jej gaje oliwne, jej szmaragdowe strumienie, błękit jej morza, wspaniałe miasta i marmurowe świątynie; pokrzepię ducha tymi wspomnieniami, łza spłynie po twarzy i ulży sercu... I mnie smutno i duszno w tym gorącym i dziwacznym Egipcie.

To powiedziawszy, westchnął.

— Bogom niech będą dzięki, że kraj ten niedługo opuszczę — dodał — zanim wyjadę, chcę cię zapoznać z moją przyjaciółką, abyś jak ja, mógł czasami pokrzepić ducha.

— Co mi po tem—odparł Arystomachus — wolę spokój...

— Nierozsądnym jesteś — rzekł Thanes—mamyż omijać oazy dlatego, że przyjdzie znów cierpieć pra-

gnienie? Chcesz uciekać od godziny szczęścia dlatego, że potem smutne dni cię czekają?...

Barka dobiła właśnie do brzegu.

— Otóż jesteśmy — dodał wesoło — rozjaśnij czoło, przyjacielu, do gościnnego przybytku nie wypada wstępować ze smutnem obliczem.

Arystomachus wyskoczył lekko z łodzi; powolnym, lecz pewnym krokiem podążył za przyjacielem, a potem wyprzedził go. Niebawem dotarli do ogrodu Rhodofis. Świat dziwów roztoczył się tutaj przed ich oczyma: pąsowe granaty, głogi, bzy, jaśminy, róże walczyły o miejsce u stóp palm, akacyj i drzew balsamowych; nad nimi kołysały się na delikatnych skrzydłach nietoperze, a od strony rzeki dochodziły wesołe pieśni i śmiechy.

Ogród ten został założony przez bogatego Egipcyanina, a wiadomo z dziejów, iż Egipcyanie słynęli w starożytnym świecie, jako mistrze sztuki ogrodniczej, umieli rzucać malownicze grupy drzew, klomby pięknie wycinać, budować altany i fontanny, w których basenach kąpały się swobodnie złote rybki.

Thanes stanął przy furtce, obiegł uważnie wzrokiem kręte ścieżki ogrodu, otoczone sztucznie ciętymi żywopłotami, i rzekł:

— Nie rozumiem, co to znaczy, że nie słyszę żadnych głosów, nie widzę światła w oknach pałacu, a jednak po obu stronach bramy powiewają chorągwie na obeliskach..? Czyżby Rhodofis zapomniała...

Nie dokończył zdania, gdyż usłyszał tuż przy sobie głośny wykrzyknik:

— Ach! to dowódca straży.

— Dobry wieczór, Knabianie—odparł wesoło — co to znaczy, że w ogrodzie waszym cicho, jak w egipskim grobie, chociaż chorągwie powiewają na przyjęcie gości?... Odkądże to oczekujecie napróżno odwiedzających?

— Dopóki łaskawe Parki pozostawią moją panią przy życiu, dopóty pewni być możemy, iż stara nasza chorągiew sprowadzi zawsze tyle gości, ile pomieścić ich będzie w stanie nasz wielki pałac—odparł niewolnik Rhodofis. — Pani niema w tej chwili w domu, lecz powróci niebawem; niewątpię, iż zaczekacie na nią. — Wieczór był tak piękny, iż wsiadła do łódzi z gośćmi i popłynęli wzdłuż Nilu. Obiad już gotów, zjawią się lada chwila. Chodźcie obaj ze mną do domu. Rhodofis nie przebaczyłaby mi, gdybym was nie zatrzymał...

Obaj Grecy udali się za niewolnikiem i zasiedli w altanie, wznoszącej się w pobliżu pałacu.

Dom Rhodofis, to przytułek dla wszystkich greckich wygnańców i punkt zborny wszystkich greckich interesów, Greczynką jest bowiem pochodzeniem, — mówił Thanes do przyjaciela, który z nietajonym zachwytem rozglądał się w około.—Za chwilę ujrzysz tę godną podziwu kobietę, oraz jej wnuczkę, a wtedy uznasz, iż zasługują na szacunek i przyjaźń, jakimi je otaczamy... Patrz oto idą, — dodał raptem — pozwólmy im wprost wejść do domu i wypocząć po przejażdzce, potem pospieszymy za nimi. Pewien jestem — nie będziesz mi wymawiał, iż wprowadziłem cię tutaj; przy pożegnaniu

wało się, czy Rhodofis wygląda na obdarowaną swobodą niewolnicę.

Dom Rhodofis był to długi, jednopiętrowy, w stylu greckim budynek; zewnętrzna jego strona prostotą się odznaczała, lecz wewnętrzne urządzenie łączyło w sobie harmonię greckich kształtów z egipskiem bogactwem barw.

Szerokie drzwi wchodowe wiodły do sieni, która łączyła się z lewej strony z wielką salą jadalną. Okna tej sali wychodziły na szeroką wstęgę Nilu; z jadalni nizkie drzwi prowadziły do kuchni, urządzanej tylko u bogatych Egipcyan, gdyż biedniejsi przyrządzali potrawy przy ognisku płonącem zwykle w izbach mieszkalnych.

Z prawej strony, sień łączyła się z salą przyjęć, która tworzyła kwadrat okrążony galeryą i prowadziła do wielu innych komnat. W sali tej na wspaniałym metalowym ołtarzu gorzał ustawicznie ogień; szeroki otwór, znajdujący się w sklepieniu nad owym otłarzem, miał dwojaki cel: codzień oświetlał salę przyjęć i służył za ujście na zewnątrz dla dymu ogniska. Sala ta dla mężczyzn była przeważnie przeznaczoną; obok znajdowała się niewieścia, rzędami kolumn otoczona, zwana „ginahomilis,“ w którj przebywały kobiety, gdy zajmowały się przędzeniem lub haftem. Z ginahomilis przechodziło się do sypialni, która służyła zarazem za skarbiec domowy. Ściany sali przyjęć pokrywała czerwonawo-brunatna farba; na jej tle ciemnem odcinały się wyraźnie marmurowe płaskorzeźby. Posadzkę

zdobiła mozaika, odznaczająca się pięknym rysunkiem i barwami.

Wzdłuż komnaty ciągnęły się nizkie wezgłowia, kryte grubą materyą, w których pobliżu stały wykwintnego kształtu egipskie krzesła z poręczami i pięknie rzeźbione stoliki z rozlicznymi narzędziami muzycznymi, flet i gitarę najczęściej się widziało. Różnego rodzaju lampy napełnione bibolem (był to rodzaj oleju wyrabianego z rośliny miejscowej), zwieszały się od pułapu, lub przy ścianach przybite były; niektóre przedstawiały ogniem ziejące delfiny, inne jakieś skrzydlate potwory, których paszcze wyrzucały płomienie. Światło lamp zlewało się harmonijnie z blaskiem ogniska.

W komnacie tej znajdowało się kilku mężczyzn; strój i rysy twarzy zdradzały różne ich pochodzenie; Fenicyanin, w długiej, różowej szacie, rozmawiał żywo z człowiekiem, którego zaostrzone rysy i kręte włosy wskazywały Izraelitę. Przybył on do Egiptu po zakup koni i powozów dla sławnego króla Judzkiego Zarabela.

Tuż obok tych dwóch, trzech Greków z Małej Azyi, w malowniczych fałdzistych strojach, spokojnie prowadziło poważną rozprawę z Fryksusem, posłem miasta Delf. Mąż ten przyjechał tutaj w celu zbierania składek na nową świątynię Apolla, którą rodacy jego wznieść zamierzali, gdyż stara spłonęła.

Prócz mężczyzn i pani domu była obecną w sali. Rhodofis zajętą była ożywioną rozmową z dwoma Grekami z Samos: sławnym budowniczym, rzeźbiarzem Teodorusem, oraz z poetą Ibykasem, który opuścił na

jakiś czas dwór Polikrata, aby poznać Egipt, a zarazem, ażeby wręczyć Amazisowi podarki swego pana. Przy ognisku leżał człowiek o niemiłych rysach, Philosinus z Sybarysu, który bawił się niedbale lokami, strojącymi jego głowę i spadającymi na żółtą suknię, co spływała mu z ramion.

Rhodofis miała dla każdego słówko uprzejme, teraz jednakże rozmawiała wyłącznie ze sławnymi gośćmi, którzy z Samos do Egiptu przybyli i zadziwiała obu trafnymi poglądami na poezyę, oraz architekturę. Na bladem jej obliczu czas nie wyrył zmarszczek, siwizna nie zmieniła złotej barwy jej włosów, lecz otaczała ją pełna spokoju powaga, która w ludziach budzić zwykła szacunek; z wielkiem też uszanowaniem zwracali się wszyscy goście do Rhodofis. Ożywioną jej rozmowę z poetą przerwało wejście nowych gości: Thanes z przyjacielem ukazali się we drzwiach.

Thanesa wszyscy powitali serdecznie.

— Nie mogłem zmiarkować dotychczas, czego nam brakuje dzisiaj, a to twej wesołości,—rzekł doń grubym głosem Sybaryta, wyciągając dłoń na powitanie.

— Wesołość piękną jest rzeczą; jeśli ją przynosisz ze sobą, bądź pozdrowiony! — dodał Fryksus.

Tymczasem Rhodofis pospieszyła naprzeciw przybyłych.

— Witam was obu — rzekła uprzejmie — ciebie, stary przyjacielu, i ciebie, młodzieńcze, którego ściany mego domu po raz pierwszy widzą.

— Stary przyjaciel przyszedł cię pożegnać, zmuszony jest bowiem opuścić Egipt. Za to przyprowadza własnego przyjaciela, który starać się będzie go tutaj zastąpić, ty zaś, Rhodofis, staraj się rozproszyć jego tęsknotę za Grecyą. Jest to wygnaniec, imię jego Arystomachus, — mówł Thanes.

— Dołożę starań, abyś czuł się w moim domu, jak w domu rodzinnym — rzekła Rhodofis, zwróciwszy się do Arystomachusa. — On skłonił się w milczeniu.

— Jakto, opuszczasz Egipt, pozwala na to król?— zapytało kilka głosów z głębi sali — opowiedz, jakim sposobem zdobyłeś urlop?

Thanes uśmiechnął się gorzko.

— Cierpliwości, przyjaciele, długa to historya; usłyszycie ją, gdy się nieco pożywię, teraz głód nie pozwoliłby mi być wymownym.

— Głód jest miłem uczuciem, gdy się ma w perspektywie smaczny obiad—począł filozofować Sybaryta, lecz przerwała mu Rhodofis:

— Nie obawiaj się, Philosimusie — mówiła — przykazałam kucharzowi, aby obiad był wspaniały i smaczny; ostrzegłam go, że największy smakosz, z najwytworniejszego miasta Sybarys, wyda dziś sąd o jego sztuce... Każ podawać obiad, Knabianie, — dodała, zwróciwszy się do niewolnika, czekającego przy drzwiach jej rozkazów.

— Zadowolenie daje zdrowie, zdrowie przedłuża życie, dzięki ci więc, Rhodofis, za zadowolenie, jakie mi

sprawiłaś słowami swoimi, — mówił Philosinus i podniecony nadzieją dobrego obiadu, począł śpiewać głośno:

„Bawmy się bracia, wesoło!
„Puhar niech krąży w około,
„Dziś pewny szczęścia dzień!
„Jutro pokrywa cień!...

Zebrani w sali goście otoczyli go, poczęli razem śpiewać i żartować. Thanes połączył się z nimi, Rhodofis zaś z Knabianem opuściła salę. Arystomachusa wesołe grono nie pociągnęło, poszukał wzrokiem Fryksusa z Delf i odwiódłszy go na stronę, zapytał głosem zniżonym:

— Masz dla mnie odpowiedź wyroczni?

Delfijczyk sięgnął szybko pomiędzy fałdy chitonu i dobył mały kawałek owczej skóry, wyprawionej nakształt pargaminu, zapisany drobno. Arystomachus pochwycił to pismo skwapliwie i czytać począł. Po chwili podniósł wzrok na Fryksusa.

— Pismo tak nieczytelne, iż zrozumieć nic nie mogę, — rzekł — powtórz mi, co wyrocznia powiedziała?

— Apollo przepowiada ci szczęśliwy powrót do Grecyi — odparł Fryksus — oto słowa wyroczni: „Gdy hufiec zbrojny zejdzie ze śnieżnych wierzchołków na niwy strumieniami przecięte, niepewna łódka zawiezie cię do tych pól, za któremi tęsknisz; one dadzą błądzącym stopom twoim schronienie i obdarzą cię bogitem, czego ci długo odmawiały.“

Arystomachus powtórzył półgłosem te same słowa.

— Jeszcze nic nie rozumiem, — rzekł po chwili i pargamin ukrył na piersiach.

— Czas tajemnicze słowa rozjaśni, — odparł Delfijczyk.

W tej chwili wróciła Rhodofis, prosząc gości, aby przeszli do sali jadalnej, ruszyli więc wszyscy.

Na progu jadalni stało kilku małych, jasnowłosych chłopców, ładnie ubranych, z wieńcami róż na ramionach, ze srebrnymi miednicami i dzbanami w ręku; w pośrodku sali stał nizki, lecz długi bardzo, stół, starannie wypolerowany, otoczony purpurowymi wezgłowiami. Stół tonął w kwiatach i zieleni, z której wychylały się półmiski, pieczonem mięsem wyładowane, szklane kosze, pełne owoców; daktyle, figi, melony, granaty i winogrona, pomieszane razem, tworzyły grupy malownicze, obok koszy z owocami widać było srebrne miseczki z miodem, sery z Sycylii, oraz inne przysmaki; w pośrodku stołu wznosił się srebrny ołtarzyk, ozdobiony różami i mirtem, z którego wonny dym się rozchodził, na końcu zaś stołu dwóch olbrzymów, wykutych ze srebra, dźwigało wielki srebrny dzban bogato rzeźbiony, napełniony wodą, winem zaprawną.

Posadzka sali zasypaną była płatkami różanymi, od pułapu zwieszały się jasno gorejące lampy. Jadalni tej najkapryśniejszy wykwintniś nie mógłby nic zarzucić.

Gdy goście zajęli purpurowe węzgłowia, zbliżyli się wówczas do nich jasnowłosi chłopcy i ustroili im czoła wieńcami, poczem umyli każdemu nogi. Sybaryta najdłużej ich usługi potrzebował; nareszcie oddalili się i służba poczęła obnosić półmiski.

Rhodofis zasiadła na końcu stołu, skąd mogła widzieć wszystkich, a wzrok jej baczny pilnie czuwał, by gościom na niczem nie zbrakło; rozmowy też nie zaniedbywała; coraz to do kogoś innego zwracała się z uprzejmem słowem. Delfijczyka pytała o sumę zebranych pieniędzy, Sybarytę, czy mu kucharz dogodził, Ibikusa, jakim utworem zamyśla znowu obdarzyć rodaków. Goście byli nią zachwyceni, jeden tylko Arystomachus nie zwracał się do niej: myśl jego nadto była zaprzątnięta zagadkową wyrocznią.

Gdy opróżniono półmiski, służba zaczęła napełniać puhary winem i owoce podawać.

— Drogi przyjacielu, nie każ nam walczyć z ciekawością i powiedz, jaka przyczyna pozbawia nas miłego twego towarzystwa? — rzekła naraz Rhodofis. — Nie taję, że zmartwiłeś mnie tą nowiną.

Thanes zwrócił się do niej.

— Dziękuję ci za te słowa zaszczytne dla mnie — rzekł głosem lekko wzruszonym — przypuszczam jednakże, iż setki nowych twarzy, których Rhodofis nie braknie nigdy, pozwolą jej wkrótce zapomnieć o mojej. Choć mieszkasz nad Nilem, sercem i krwią Greczynką pozostałaś. Grek nie marnuje życia, roztkliwiając się nad tem, co minęło i nie wróci już; jeśli nad umarły-

mi płakać nam nie wolno, tem bardziej martwić się z rozstania z przyjacielem, któremu można powiedzieć: „do widzenia.“ Jeśli pomyślicie kiedy o mnie, przyjaciele — tu powiódł wzrokiem po otaczających stół biesiadnikach — proszę, nie mówcie łzawym tonem: „niemasz Thanesa wśród nas, czemu nas opuścił“—lecz podnieście czary w górę i wykrzyknijcie wesoło: „Thanes wrócił do Grecyi.“

— Zacznijże wreszcie twoje opowiadanie—przerwał mu raptem Sybaryta — wino nie pójdzie mi na zdrowie, jeśli przedtem ciekawości nie zaspokoję.

Całe towarzystwo wesołym śmiechem przyjęło to wystąpienie, a Thanes tak rozpoczął swoją historyę.

— „W Sais, jak wiecie, mieszkam w nowym pałacu, lecz w Memfis, jako dowódca straży przybocznej króla, miałem kwaterę naznaczoną w lewem skrzydle starego zamku. Od czasu Psametyka 1-go królowie egipscy stale mieszkają w Sais, więc inne zamki są zaniedbane; moje mieszkanie w Memfis pod względem wyglądu i urządzenia nie pozostawiałoby nic do życzenia, gdyby pewna straszna plaga go nie nawiedziła. Rozmnożyły się u mnie szczury, tak licznie, iż całemi nocami spać mi nie pozwalały, wyprawiały bowiem pod spróchniałą posadzką niemożliwe hałasy. Jeden z żołnierzy, słysząc o mojej niedoli, ofiarował mi dwa wspaniałe koty.

Naturalnie, wiecie już o tem, że mądrość egipska, którą my, Grecy, niezbyt uznajemy, uznała koty za istoty wyższe, święte; toć Egipcyanie cześć boską oddają

tym czworonożnym stworzeniom, a kto waży się zabić kota, śmiercią karanym bywa.“

Spokojne dotychczas spojrzenie Rhodofis zmącił wyraz przerażenia: wiedziała o tem dobrze, ile krwawych ofiar kosztował Egipt ten przesąd, zadrżała o przyjaciela. Tymczasem Thanes ciągnął dalej swoje opowiadanie z ironicznym wyrazem na twarzy.

— Koty moje zrazu sprawiały się dobrze; hałasy pod posadzką znacznie się uciszyły, począłem sypiać nieźle, wdzięczny za to darzyłem koty łaskami. Tak stały rzeczy, dopóki nie wyjechałem do Sais. Oddalając się z domu, powierzyłem moich wybawców zaufanemu stróżowi, który przyrzekł czuwać nad nimi. Dwa lata całe nie byłem w Memfis z powodu choroby Amazisa, dopiero przed paru miesiącami wróciłem do miasta Piramid. Naturalnie objąłem dawne mieszkanie, które przez ten czas szczury zupełnie opuściły, nie było ich śladu, natomiast jednakże zastałem, niezliczoną liczbę przedstawicieli kociego rodu. Hałasy szczurów ucichły, lecz budziły mię teraz po nocach chóralne koncerty kocie, krzyki ich wojenne, jęki, biegania. To było od szczurów gorsze... Corocznie w pewnym terminie można zbytnią ilość kotów odnosić do świątyni, której strzeże ich patronka, bogini Ptah. Tam otaczają je troskliwą opieką kapłani świątyni, a przypuszczam, że ułatwiają im i śmierć. Lecz ja wróciłem do Memfis po owym terminie, trzeba więc było znosić swój los z poddaniem i czekać cierpliwie drugiego terminu. Niestety, było to nad moje siły. Wpa-

dłem w rozpacz i przeklinałem mój los. Słysząc moje wyrzekania, wierny mój niewolnik Müs obiecał mi, że uwolni mnie od strasznej plagi i spełnił obietnicę. Naładowawszy wór sporą liczbą kociąt, podążył o zmroku nad Nil.

Niestety, ktoś ze służby wyszpiegował go i ostrzegł kapłanów świątyni Ptah. Puszczono się za nim w pogoń. Müs nie słyszał kroków ścigających, dopiero kamień, rzucony w głowę, uwiadomił go o niebezpieczeństwie. Wytężywszy siły, dobiegł do Nilu, wrzucił worek, potem zwrócił się do tłumu, spieszącego ku niemu. Miał nadzieję, że ponieważ kociąt mu nie odebrano, nikt mu nie będzie mógł przeto dowieść winy. Czekał spokojny. Lecz tłum prowadził osobisty mój nieprzyjaciel, kapłan Ptaholep. Kazał on otaczającym go wskoczyć do wody, i wydobyto na brzeg nieszczęsny worek, w którym znaleziono dwanaście uduszonych kociąt. Okrzyki żalu i zemsty wzbiły się pod obłoki; motłoch rzucił się z dziką namiętnością na biednego Müsa, powalił na ziemię i począł nogami tratować. Byłby go zamordował, lecz arcykapłan nadciągnął, kazał podnieść nieszczęsnego i do więzienia odprowadzić. Chciał, jako mój osobisty nieprzyjaciel, wydobyć zeznanie na moją niekorzyść... W pół godziny potem i mnie zaaresztowano.

Mój sługa wziął zrazu całą winę na siebie, dopiero pod batami zeznał, że ja wydałem rozkaz zgładzenia kotów, on zaś spełnił tylko moje polecenie. Najwyższy sąd, złożony z trzech kapłanów z Memfis, z Helipolis i Teb skazał nas obu na śmierć. Na Müsie spełniono wyrok natychmiast; ja gotowałem się już do dalekiej podróży, gdy na rozkaz króla wstrzymano egzekucyą i odprowadzono mnie do więzienia. Jeden ze straży więziennej powiedział mi potem, że wszyscy oficerowie straży przybocznej są Grecy i że około czterech tysięcy żołnierzy zażądało jednogłośnie mojego ułaskawienia, grożąc, że jeśli żądaniu temu zadość nie uczyni król, oni służbę porzucą. Amazis wezwał mnie do siebie, przyjął bardzo łaskawie, wyraził nawet swój żal, iż musi stracić tak umiłowanego wodza i kazał mi w przeciągu kilku dni opuścić Egipt. Przyznaję, iż nie czuję do króla najmniejszego żalu, mam tylko współczucie dla niego. Jest to najbiedniejszy niewolnik z całego Egiptu. Gdybyście byli słyszeli, jak ów potężny monarcha żalił się gorzko na swoją zależność od kapłanów pogańskich, którzy najzacniejsze jego zamiary obalają, krępują nawet działanie w sprawach czysto osobistych, uczulibyście również boleść w sercach waszych... Jestem pewien, że gdyby los mój zależał tylko od króla, byłby mi przebaczył na mocy tego, że jako cudzoziemiec, mogłem nie znać praw egipskich i że nie jestem obowiązany uznawać przesądów tutejszych.

Sąd najwyższy, złożony z kapłanów, jest w Egipcie niezależny od króla; kazano Amazisowi ukarać mnie, musiał to uczynić, lecz wybrał najlżejszą karę. Żegnając mnie, rzekł: „Ani się domyślasz, ile ustępstw zrobić musiałem, aby wyprosić twoje życie.“

Z pałacu króla wróciłem do więzienia. Wypuszczono mnie z klatki dopiero po złożonej przysiędze, iż opuszczę Memfis jeszcze tego samego dnia, a Egipt w przeciągu trzech tygodni. W bramie pałacu spotkałem Psametyka, następcę tronu, który, jak wiecie, życzliwym mi nie jest. Chciałem go pożegnać, lecz on cofnął się i pogroziwszy mi pięścią, rzekł: „Opuścisz Egipt, lecz zemsta moja dosięgnie cię i po za granicą mej ojczyzny; nie skryjesz się przede mną, znajdę cię wszędzie i zawsze, gdy zechcę.

Skłoniłem mu się zdaleka.

— A więc nie tracę nadziei, że jeszcze kiedyś ujrzę waszą królewską mość—odparłem.

Wsiadłem do łodzi i przybyłem do Naukratis, gdzie los zetknął mnie z Arystomachusem, który nie mogąc się pogodzić z tem, iż Pejzystrat obalił porządek ustanowiony przez mądrego Solona w Atenach i królewską władzę przywrócił, opuścił ojczyznę i tutaj przybył, jako dowódca wojsk cypryjskich. Zapewne mianowanym zostanie moim następcą; cieszyłbym się, gdyby moje miejsce zajął człowiek takiej wartości.“

— Widzę, drogi Thanesie, że nie będziemy cię mogli zatrzymać. Łudziłam się, iż mój wpływ sprawi, że wyrok rzucony na ciebie, król odwoła... Niestety, obraziłeś kapłanów tutejszych, ci za potężni są dla mnie— mówiła Rhodofis.

Nie chwalę tego czynu: człowiek odważny i rozumny, przedsiębierze śmiały czyn wtedy tylko, gdy skutki jego warte są poniesionych trudów. Zuchwalstwo jest równie nierozsądnem jak tchórzostwo, tylko nie hańbi jak tamto... Pomyśl, lekkomyślność twoja omal cię życia nie pozbawiła, a wszakże życie twoje, to nietylko twoja osobista własność, lecz ojczyzny twej i braci twoich; byłeś pożytecznym tutaj Grecyi, a jednak zatrzymać cię nie możemy. Oby sprawdziły się twoje słowa i Arystomachus godnie cię zastąpił...

To mówiąc, zwróciła spojrzenie na młodego Ateńczyka.

— Poważne to jest stanowisko—ciągnęła dalej— dowódca straży królewskiej, dowódca Hellenów jest przedstawicielem naszego narodu; jeżeli nim zostaniesz, obowiązkiem twoim będzie bronić nas od nadużyć kapłanów i łaskę monarszą nam zjednać... Podaj mi rękę, szlachetny Arystomachusie, nie puszczę jej, dopóki nie przyrzekniesz, że starać się będziesz zawsze, chociażby najbiedniejszego z braci twoich zasłaniać przed niesprawiedliwością Egipcyan, że raczej opuścisz stanowisko swoje, niż pozwolisz, aby Grekowi krzywda uczynioną została. Jest nas tutaj garstka. Nic to nie znaczy w obec milionowej potęgi nieprzyjaciół, lecz duch nasz silny, a siłę tę tworzy miłość bratnia, w jakiej żyjemy. Hasłem naszym: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.” Gdybyśmy w ojczyznie naszej podobnie postępowali, gdybyśmy raz zapomnieli o jońskiem, doryckiem, ateńskiem pochodzeniu, a mieli jedynie w pamięci, iż wszyscy jesteśmy dziećmi jednej matki, jednej rodziny, żeśmy Grecy wszyscy, utworzylibyśmy potęgę, której cała ziemia cześć by oddała.

Oczy Rhodofis, gdy to mówiła, świeciły ogniem szlachetnym, na twarzach słuchaczy malowało się szczere wzruszenie, Arystomachus uchwycił jej dłoń.

— Na Zeusa przysięgam, że gdy dowódcą straży zostanę, Grekom włosa z głowy zdjąć nie pozwolę — rzekł z siłą.

Tylko Sybaryta nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi. Z ustami pełnymi łakoci, rzekł do otaczających go:

— Tak smacznej wołowej pieczeni, jak dzisiaj, nie jadłem od wyjazdu z Italii. Zaiste, dzielnego masz kucharza Rhodofis, a wino twoje smakuje, jak gdyby pochodziło z Hios, lub z pod stóp Wezuwiusza.

Roześmiali się wszyscy, prócz Thanesa, który pełne wzgardy spojrzenie rzucił smakoszowi.

— Bądźcie pozdrowieni — rzekł naraz z po za otwartego okna głos jakiś.

Goście zwrócili spojrzenia w tym kierunku.

— Bądź pozdrowiony, Kaliasie!—odparli wesoło, a Rhodofis dodała:

— Czemu tak późno przybywasz?

— Spóźnienie ważną nowiną nagrodzę — odparł nowy przybysz i ku sieni postąpił.

Nie czekano długo. Zanim Sybaryta zdążył połknąć nowy puhar wychwalanego wina, Kallias stanął wśród biesiadujących. Był to mężczyzna wysoki, szczupły, o inteligentnem wejrzeniu, rodem Ateńczyk, z powodu Pejzystrata opuścił również, jak wielu oj-

czyznę. Wszedłszy, powitał wszystkich serdecznie i rzekł:

— Jeśli późne moje przyjście nie zostanie mi przez was policzonem za zasługę, powiem, że na świecie wdzięczność wygasła.

— Przynosisz nam wieści z przebiegu igrzysk olimpijskich — rzekł na to Thanes — zacznij opowiadać krótko i węzłowato.

— Cierpliwości, Spartaninie — odparł z uśmiechem Kallias — wiedz, żem głodny i znużony, najprzód posilić się i pożywić muszę.

To powiedziawszy, wyciągnął się na miękkiem wezgłowiu, a Rhodofis kazała służbie podać mu puhar wina i półmisek z jadłem. Kallias mięsem wzgardził, wychylił puhar, poczem powiódł wzrokiem po zebranych i zatrzymał go na Arystomachusie.

— Mam dla ciebie wyłącznie dobrą nowinę — rzekł. — Zgadnij, kto wziął nagrodę w czworokonnym biegu.

— Ateńczyk! — wykrzyknęło kilka głosów.

— Ateńczyk — Kallias przytwierdził — Cymon, kuzyn twój, Arystomachusie... No, cóż, nie cieszysz się? Sława twego krewnego szczęśliwym cię czyni. Jak tylko sędziowie przyznali jednogłośnie nagrodę Cymonowi, on rozkazał natychmiast ogłosić właścicielem wspaniałego zaprzęgu króla Aten. Odwdzięczając się za to, Pejzystrat pozwolił wszystkim krewnym

Cymona powrócić do kraju. Wkrótce ujrzysz przeto ojczyznę...

Słowa te nie wywołały wszakże rumieńca radości na twarzy Arystomachusa, przeciwnie, w oczach jego zapaliły się błyski gniewu.

— Co? ja miałbym się cieszyć tem, że potomek Ajaksa złożył haniebnie u stóp tyrana zdobytą chwałę? — rzekł tonem oburzonym — miałbym powracać do Aten?... Na Apolla przysięgam, iż raczej umrę z głodu na obcej ziemi, niż noga moja stanie w ojczyźnie, dopóki ją gnębi Pejzystrat... Wolałbym zostać najbiedniejszym niewolnikiem, niż pełnić najwyższe urzędy w Atenach pod rządami Pejzystrata; nam, szlachetnym rodom, należy się panowanie w Atenach. Cymon, składając swój wieniec u stóp tyrana, wycisnął na swoim czole piętno służalca. Wolę być wygnańcem, niż służalcem.

Stary Thanes z dumą spoglądał na młodego przyjaciela, Kalliasa wzrok zdawał się mówić:

— Takich ludzi wydają Ateny.

Gdy Arystomachus umilkł, on ujął jego dłoń.

— Podzielam twoje uczucia — rzekł — i ja gardzę tymi, którzy przed tyranem karki zginają ze strachu, nie potępiaj jednakże zupełnie Cymona. Pejzystrat nietylko przestrachem zdobywa sobie uległość; nie przeczę, iż wielu uległo mu, lękając się kary, lecz wielu uznało go godnym szacunku. Podstępem zdobył władzę, lecz na złe jej nie używa, lud kocha go jak

ojca, bo dobrym jest dla niego; powrócił tron, lecz praw Solona przestrzega; upiększa miasto wspaniałymi budynkami, nowa świątynia Zeusa, zbudowana w Atenach przez niego, przechodzi wszystko, co dotychczas Grecya posiadała w tym rodzaju. Pejzystrat otacza artystów i poetów opieką, popiera handel i przemysł krajowy, dobrobyt ludu wzmaga się pod jego berłem; nic dziw, że wielu uznaje w nim dobroczyńcę Aten. Tłum, jak ćma leci ku temu, co błyszczy zdala, nie bacząc, czy światło owo skrzydeł mu nie osmali. Pejzystrat pociąga serca tłumu blaskiem, jaki roztacza, lecz niechaj blask jego potęgi przyćmi inna siła, odwrócą się od niego i pospieszą do arystokracyi, o której obecnie zapomnieli... Podaj mi jeszcze raz rękę, prawy synu Ajaksa, wróżę ci, że ród twój powróci niebawem do dawnego znaczenia; nie bez podstaw jest moja wróżba, wierzaj mi!

Gdy to Kallias mówił, podniósł się Fryksos i zwolna dobitnym tonem rzekł:

— Gdy liczny hufiec spuści się ze śnieżnych wierzchołków na dolinę, wielką rzeką użyźnioną, wątła łódź zaprowadzi cię na te niwy, gdzie błądzące twe stopy czeka spoczynek...

W oczach Kalliasa odmalowało się zdziwienie.

— Słuchajcie nowiny, jaką tutaj przyniosłem dla wszystkich — rzekł głosem wzruszonym — a ty, Arystomachusie, połącz ją z wróżbą z Delf ci przysłaną... Persowie dążą do Egiptu.

Biesiadnicy opuścili miejsca. — Kallias nie mógł nadążyć odpowiadać na zadawane mu pytania.

— Zaraz, zaraz, przyjaciele!—zawołał w końcu— pozwólcie mi samemu powiedzieć wszystko, inaczej nie porozumiemy się nigdy.

Więc odstąpili go, a on zaczął opowiadać:

— Wielkie poselstwo króla Kambyzesa jest w tej chwili w drodze do Egiptu. W Samos otrzymałem wiadomość, że posłowie są już w Milecie, lada dzień spodziewać się ich przeto możemy. Są między nimi postacie godne widzenia, jak np. stary Krezus, król Lydyi... Warto pospieszyć do portu naprzeciw nich... O celu przybycia poselstwa nikt nie wie, przypuszczają wszakże, iż chodzi Kambyzesowi o zawarcie przymierza z Amazisem, mówią też, że król Persów chce prosić o rękę córki Faraona.

— Co do zawarcia przymierza, to przypuszczenie nie ma podstawy — odezwał się Thanes — wszakże Persowie opanowali już połowę świata, na co im przyjaźń Amazisa?... Cała Azya poddała się ich berłu, potrafią upokorzyć i Afrykę, a może i Europę.

— Zapomniałeś o Indyach i o wielkich wędrownych ludach azyatyckich — odparł Kallias — zapomniałeś także, że państwo utworzone ze zlepku siedmdziesięciu różnych narodowości, nosi w sobie samym zaród wojny domowej, bo w łonie swoim ma nieprzyjaciół. Kambyzes nie może oddalić się zbyt daleko ze swego państwa, bo ujarzmione ludy skorzystałyby z jego nieobecności.

— Oby twoja wróżba spełniła się, Arystomachusie — rzekła Rhodofis, zwróciwszy się do Ateńczyka — hufiec ze śnieżnych gór wierzchołków, to nikt inny tylko Persowie. Obyś wrócił w tryumfie do domu! Przeczuwam, iż ważne chwile zbliżają się dla nas wszystkich... Napełnij kielichy, Knabianie, wypijemy ostatnie ku czci Grecyi. Ranek się zbliża, rozejść się trzeba.

Goście wychylili toast na cześć Grecyi, a potem drugi na cześć gospodyni, następnie rozchodzić się poczęli.

— Czy nie pożegnam twej wnuczki?... to dziewczę miłe mi jest bardzo. Wszakże nie prędko was zobaczę, a może nigdy — rzekł Thanes — czemu obecną nie była na uczcie?

— Musiałeś zauważyć, stary przyjacielu, że ilekroć Sybaryta gości u mnie, mała nie ukazuje się w sali przyjęć — odparła Rhodofis — nie umie on panować nad językiem, a serce dziecka, jak wosk: każde złe wyrażenie, każde słowo wyciska się na niem głęboko i na zawsze pozostaje.

— Szkoda, że jej nie zobaczę—westchnął Thanes.

— Możesz śpiącą zobaczyć, chodź ze mną—odparła Rhodofis i poprowadziła starego przyjaciela do tej części domu, w której znajdowały się sypialnie. Odsunęła zasłonę, dzielącą jej pokój od drugiego, i na środku tej niewielkiej komnaty ujrzał Thanes trzcinowe łóżeczko, a na niem, na materacu z miękkiej wełny, pokrytym białym prześcieradłem, spoczywała Sapho; złote

loki wiły się na główce, uśmiech okrążał różowe jej usteczka, spała tak mocno, iż nie usłyszała wchodzących.

— Bogowie Grecyi, czuwajcie nad tem niewinnem dzieckiem — rzekł głosem wzruszonym Thanes, poczem zwrócił się do Rhodofis.—Nie taję ci, iż poselstwo perskie budzi we mnie niepokój — rzekł — wolałbym, ażebyś razem ze mną opuściła Egipt, lecz pewny jestem, iż namawiałbym cię napróżno.

— W istocie — odparła Rhodofis — mam przekonanie, że tutaj jestem wielu szlachetnym ludziom pożyteczną, a nawet nieodzowną, nie wyjechałabym przeto ztąd...—Po wyjeździe twoim pole mego działania jeszcze się rozszerzy. Amazis już stary; jeśli Psametyk obejmie tron, będziemy musieli walczyć z różnymi trudnościami. Pozostaję więc dla dobra Hellenów.

II.

W kilka dni po owym weiczorze u Rhodofis tłumy Egipcyan różnego stanu i wieku cisnęły się do portu Sais. Wojownicy i kupcy w białych, bogato obszytych sukniach, których długość odpowiadała wyższemu albo niższemu stanowisku, zmieszali się z masą ludzi, których jedyny ubiór stanowiła kolorowa przepaska na biodrach. Nagie dzieci wzajemnie wymierzanymi sobie szturchańcami walczyły o lepsze miejsca, matki zaś podnosiły wysoko swoje maleństwa, aby i one coś zobaczyły. Psy i koty cisnęły się wszędzie pod nogi zebranych, którzy stąpali ostrożnie, aby świętego zwierzęcia nie potrącić. Urzędnicy bezpieczeństwa, z długimi laskami na złoconych gałkach, na których widniało imię króla, przestrzegali porządku, polegającego głównie na tem, aby następujący z tyłu nie wepchnęli do Nilu bliżej rzeki stojących. Na szerokich wschodach, do Nilu prowadzących, ozdobionych sfinksami

znajdowało się zebranie innego rodzaju. Tutaj zasiedli na kamiennych ławkach kapłani w białych szatach, jedni w przepaskach błyszczących na głowie, w bogatych naramiennikach, inni postrojeni w pióropusze i fałszywe loki. Najwspanialszym pióropuszem wyróżniał się wielkorządca Egiptu. Na piersiach jego świecił kosztowny amulet, zawieszony na złotym łańcuchu. Dowódcy wojsk mieli krótkie, kolorowe kaftany na sobie. Oddział straży, uzbrojony w sztylety i tarcze, stał po prawej stronie wschodów, lewą zajmowali greccy żołnierze w Jońskich strojach. Nowy ich dowódca, Arystomachus razem z innymi wodzami stał około pomnika Psametyka I, wznoszącego się w pobliżu rzeki; obok nich na srebrnem krześle, w szacie złotem tkanej siedział następca tronu, otoczony dworem ojca.

Tłum krzykiem i znakami dawał znaki zniecierpliwienia, lecz kapłani i wyżsi urzędnicy państwa zachowywali się z godnością. Każdy ze swoją nastrzępioną fryzurą i utrefioną głową podobny był do statuy kamiennej, tak siedział nieruchomy. Nareszcie ukazały się na Nilu purpurowe w błękitne kraty malowane żagle i rozległy się wołania:

— Już przybywają!

— Nie pchaj, wrzucisz mnie do wody!

— Matko, podnieś w górę dziecko, niech i ono coś zobaczy!

— Precz z Grekami, do rzeki wrzucić zjadaczów świńskiego mięsa!

Strażnicy łajali jednych, drugich szturchańcami karcili.

Tymczasem purpurowe żagle przybliżały się coraz więcej do portu; następca tronu powstał z krzesła, toż samo uczynili otaczający go dostojnicy, ozwały się trąby egipskie, barka perska przybiła do brzegu... Była to długa łódź, bogato ozdobiona, na dziobie miała srebrny wizerunek krogulca.

W pośrodku wznosił się purpurowy baldachim, pod nim, na wezgłowiu, leżało sześciu ludzi w strojach wspaniałych, pół nadzy wioślarze mieli na sobie złote przepaski, drogimi kamieniami ozdobione.

Pierwszy wyskoczył na ląd młody człowiek o złotych włosach i pięknej bardzo twarzy; wśród tłumu wzbudził zachwyt. Był to brat króla Persów, Bartya. Szmer uwielbienia obiegł tłum, młody Pers nietylko urodą, lecz i bogactwem stroju olśnił wszystkich. Na głowie miał złotą tyarę, na której błyszczała wielka gwiazda z dyamentów i turkusów; wierzchnia suknia, do kolan sięgająca, z ciężkiej, złotem tkanej materyi, w biodrach ujęta była białym pasem; u boku jego wisiał złoty miecz, z rękojeścią, ozdobioną drogimi kamieniami. Wązkie spodnie z tej samej materyi co suknia, sięgały kostek, na nogach miał niebieskie trzewiki; nagie, muskularne ramiona stroiły złote naramienniki.

Za Bartyą wysiadł z łodzi Daryusz, syn Histospesa, urodziwy też wielce i z równym przepychem ubrany; potem pochylony wiekiem starzec, z białymi jak śnieg włosami, na którego poważnem obliczu malowała się wielka dobroć i wielka siła ducha. Miał on na sobie długą, purpurową szatę i żółte lidyjskie buty. Był to Krezus, król Lidyi, obecnie przyjaciel i doradca króla Persów—Kambyzesa, a także mentor młodego Bartyi.

Tuż za Krezusem dążył Preksasper, poseł króla Persyi, i dwóch jeszcze młodych ludzi, zapewne przyjaciół Bartyi; za nimi szedł Giges, syn Krezusa, który zaniemówiwszy w czwartym roku życia, odzyskał mowę skutkiem silnego wrażenia, jakiego doznał przy oblężeniu Sardes.

Psametyk postąpił parę kroków naprzeciw przybyłych, starając się nadać swej żółtej twarzy uprzejmy wyraz; dostojnicy, którzy szli za nim, skłonili się aż do ziemi, Persowie zaś, skrzyżowawszy ręce na piersiach, rzucili się na kolana przed następcą tronu.

Po pierwszych formalnościach, ku wielkiemu zdziwieniu Egipcyan, Bartya ucałował w oba policzki Psametyka, poczem wraz z towarzyszami wsiadł do czekających na poselstwo lektyk i udał się do pałacu krolewskiego. Część ludu pobiegła za nimi, część zaś czekała dalej cierpliwie na brzegu, spodziewając się, iż ujrzy może jeszcze jaką osobliwość.

— Już ja przewiduję, że ci przybysze przyniosą naszemu krajowi nieszczęście — rzekł głośno stróż jednej ze świątyń egipskich do stojącego obok niego krawca — gdzie się podziały te dobre czasy, gdy żaden cudzoziemiec, jeśli życie mu było miłe, nie ośmielił się pokazać na egipskiej ziemi?... Teraz roi się u nas od Hebrajczyków, a głównie od przeklętych Greków!... Widzisz, już trzecia barka pełna Persów do naszego lądu przybija; wiesz, co mi o nich opowiadał arcykapłan?... Toć oni jak psy nie szanują zwłok zmarłych; zamiast zagrzebać ich uczciwie w ziemi, wyrzucają ciała sępom na pożarcie, a świątyń bogom wcale nie stawiają.

Krawiec okazał wielkie oburzenie, poczem wskazując palcem na schody, zawołał:

— Na Izydę, tam szósta barka dopływa!

— No, no, czy oni nie myślą całego wojska naraz sprowadzić! — rzekł stróż. — I Amazys pozwala na to; doczeka się, że przybysze zrzucą go z tronu, a nasz biedny lud ujarzmią... Patrz, siódma barka— dodał tonem rozpaczy — niech mnie bogowie skarcą, jeśli naszego króla rozumiem!... Trzy łodzie posłał do Neukratis po służbę i pakunki posłów, aleź i ośm nie wystarczy!... Prócz naczyń kuchennych, psów, koni, powozów, przywieźli z sobą ci bezbożnicy moc niewolników; są podobno pomiędzy nimi tacy, którzy nic innego nie robią, tylko wieńce wiją i wonne olejki gotują. Przywieźli też i kapła-

nów, których magami nazywają. Ciekawa rzecz, na co im kapłani, gdy świątyń nie mają?

Lud był nieprzychylny względem Persów, lecz król Egiptu powitał ich uprzejmie, umieścił przybyłych we własnym pałacu, dostarczał rozrywek. Pewnego dnia następca tronu urządził dla niezwykłych gości przejażdżkę po Nilu.

Podczas gdy młodzi wsiadali do łodzi, Amazys z Krezusem rozmawiali pod cieniem drzew; w pobliżu nich bazaltowy krokodyl wyrzucał z paszczy strumienie wody. Amazys był to starzec przygarbiony, o twarzy pooranej zmarszczkami, lecz z małych jego oczu przeglądał duch silny. Bo też silny był duchem: z prostego żołnierza doszedł do królewskich dostojeństw. Wymowę miał twardą i urywaną, ruchy chorobliwie niespokojne. Postać Krezusa łączyła powagę z godnością, w mowie jego czuć było, iż obcował zawsze z ludźmi wykształconymi, głos jego przy gardłowym organie mowy Amazysa czynił wrażenie śpiewu.

— Powiedz mi szczerze, jak ci się podoba Egipt?—zapytał go Amazys.—Wyznaję, iż o niczyj sąd tak mi nie idzie, jak o twój... Widziałeś tyle różnych państw, miast i ludów, masz sąd wyrobiony; przeszedłeś całą drabinę szczęścia i nieszczęścia, musisz być przeto rozumny; radbym był wielce, ażeby ci się kraj mój tak podobał, ażebyś pozostał w nim na zawsze. Mam dla ciebie bardzo wiele przyjaźni i szacunku.

— Ja też poważam ciebie, Amazysie — odparł Krezus—podziwiam twoją wytrwałość, z jaką umiesz zwalczać wszystkie przeszkody, aby doprowadzić do skutku to, co uważasz za dobre; lecz nie dziw, i ty także przeszedłeś wszystkie cierpienia i radości, jakie świat człowiekowi dać może.

— Z tą różnicą—zaśmiał się Amazys—żeśmy zaczęli od przeciwnego końca; tobie przypadło w udziale najprzód dobre, potem złe, mnie zaś przeciwnie.

— Jeśli sądzisz, iż czuję się teraz nieszczęśliwym, toś w błędzie — rzekł Krezus.

— Jakże możesz być szczęśliwym po utracie tak potężnego państwa? — odparł Amazys.

— Czyż szczęściem jest posiadanie? — zapytał Krezus. — Szczęście, to pojęcie, to uczucie tylko, którem bogowie częściej obdarzają ubogiego, niż możnego.

Amazys westchnął.

— Chciałbym ci zaprzeczyć, lecz przebiegłem myślą przeszłość i uznać muszę, że masz słuszność — rzekł ciszej.

— Gdy Persowie wdarli się do mego państwa — ciągnął dalej Krezus—przeklinałem wszystkich bogów, a życie wydało mi się męczarnią. Walcząc z rozpaczą, cofałem się przed zwycięzkiemi wojskami, a perski żołnierz mieczem zamierzył się na moją głowę. W tej chwili syn mój, niemowa, wytrącił miecz z rąk

napastnika i usłyszałem z ust jego pierwsze słowo: „Ojcze!” Ach, w tej chwili strasznej uczułem, że jestem szczęśliwy, odebrałem mojemu niewolnikowi miecz, którym miał polecone zabić mnie, gdyby Persowie ostatecznie mnie złamali, zapragnąłem żyć.

Wiesz, że byłem przyjacielem Cyrusa, że syn mój chował się z jego synem. Chłopiec coraz lepiej władał językiem. Uczyłem go sam. Co tylko wiedziałem i widziałem, starałem się przelać na niego; już nie żałowałem przeszłości i coraz lepiej przekonywałem się, na czem polega prawdziwe szczęście.

Amazys słuchał uważnie, kreśląc na piasku jakieś figury.

— Ha, może i masz słuszność — odezwał się wreszcie.

— Ja, syn Izydy, słońce sprawiedliwości, jak mnie nazywają Egipcyanie, nie czuję się wszakże szczęśliwym; dawniej było mi lepiej... Syna biednego pułkownika znał cały Egipt z lekkomyślności, swobody i zuchwalstwa. Żołnierze mnie na rękach nosili, dowódcy przebaczali wszystkie figle Amazysowi, bo ich rozweselał. Poprzednik mój Hofra posłał nas na wojnę; w drodze pragnienie poczęło nam dokuczać; ktoś rzucił podejrzenie, że Hofra wysłał nas na ofiarę greckim żołnierzom, a to wywołało bunt. Wówczas ja zawołałem żartem: „Bez króla nie dacie sobie rady, zróbcie mnie waszym władcą, weselszego nie znajdziecie.” Żołnierze pochwycili te słowa i ze wszystkich stron rozległy się wołania: „Króluj nam, Amazysie!” Jeden z towarzyszy włożył mi na głowę hełm naczelnego wodza. Żart obróciłem w prawdę; pobiłem przy pomocy moich przyjaciół Hofra i tron opanowałem. Zazdrościło mi wielu, szczęśliwym nazywali wszyscy, lecz ja nie czułem się szczęśliwym, tysiące kłopotów spadło na moją głowę: moi przyjaciele nie okazywali mi dostatecznego uszanowania, musiałem ich zmusić, aby mnie jak króla czcili. Kazałem pewnego dnia postawić na stole statuę bożka, ulaną ze złota i zwołałem ich. Padli wszyscy na kolana przed posągiem: „Tę statuę, przed którą klękacie, złotnik ulał z prostego naczynia, jakie u mnie nieraz widzieliście — rzekłem. — Otóż i ja byłem dawniej takiem prostem naczyniem, ale bogowie mnie królem waszym zrobili, więc na kolana przede mną, a kto nie posłucha, ten z liczby żyjących wykreślony zostanie!” Posłuchali wszyscy, zdobyłem powagę i cześć, ale przyjaciół straciłem... Potrzebowałem straży czujnej i walecznej. Jeden grecki żołnierz starczy za pięciu egipskich, z najemnych więc Greków utworzyłem sobie straż, o co sarkali na mnie Egipcyanie. Otoczony Grekami, nauczyłem się ich języka, poznałem ich mędrców i uznałem wyższość cywilizacyi greckiej. Chciałem ją na ziemi mojej zaszczepić, lecz kapłani nie dozwolili, a tworzą oni tutaj siłę, przed którą i ja ulegać muszę.

— Na Zeusa, biedny szczęśliwcze! — przerwał mu Krezus ze współczuciem — nie zazdroszczę ci doli; zależeć od tej kasty wieszczków, to nie wesoła

sprawa. Ilu kapłanów waszych widziałem, tyle ponurych twarzy.

— To plaga mego życia — odparł Amazys — bez ich wiedzy nie mogę kroku uczynić, ręką ruszyć, szpiegują mnie wszędzie.

— Jakże możesz znosić podobny stan rzeczy?... Wypędziłbym ich z kraju, będąc na twojem miejscu.

— Gdybym mógł! — wykrzyknął Amazys, lecz natychmiast obejrzał się w około siebie niespokojnie i dodał ciszej: — Zdaje mi się, że ktoś nas podsłuchuje, zmieńmy przedmiot rozmowy.

— Ależ na Zeusa, to okropne! — wykrzyknął Krezus.

— Dzielę twoje oburzenie, lecz jako król narodu, wielbiącego tradycye, muszę być uległym — odparł Amazys. — Wiesz zapewne, że kapłani trzymają u nas sąd nad zmarłymi, że pozbawić nas mogą pogrzebu. Czyż dla uprzyjemnienia kilku dni życia mam stracić spokój na tysiące lat, na zawsze? Dusza niepogrzebanego Egipcyanina, po pokucie, którą odbywa w ciałach zwierząt, nie może powrócić do swojej cielesnej postaci, bo nie zabalsamowane ciało ulega wnet zepsuciu. Czyż mam skazać moją duszę na wieczne tułactwo?... Jeśli obrażę kapłanów, uznają mnie za niegodnego po śmierci zabalsamowania.

— Czyż tylko dlatego boisz się obrazić kapłanów? — zapytał Krezus.

— Oni są mędrcami Egiptu, oni jedni posiadają naukę — odparł Amazys — bez nich Egipt pogrążyłby się w ciemności. Oni nas ratują w chorobach, wydzierają często śmierci, im bowiem tylko znaną jest sztuka leczenia. Są potrzebni krajowi, są niezbędni; ale niestety, są tak zasklepieni w cywilizacyi, którą stworzyli, iż nic nowego, chociażby najpożyteczniejszego, zaprowadzić nie dozwalają. Cudzoziemców nienawidzą. Czy wiesz, że zapowiedzieli mi, abym nie ważył się wprowadzić was do którejkolwiek z tutejszych świątyń?... Pójdźmy do mojej żony. Ona nie lęka się cudzoziemców... Chcę, abyś poznał moją córkę. Będziesz otaczał ją swoją opieką w obcym kraju, wszak mogę na to liczyć?

— Polegaj na mnie — odparł Krezus, ściskając rękę Amazysa. — Jak ojciec, będę stał przy boku twej Nitetis. Bądź jednak pewnym, iż w Persyi krzywdy nie zazna. Kambyzes pragnął gorąco związku trwałego z tobą i wdzięczny ci jest wielce, że to przymierze utrwalasz oddaniem mu jednej z córek twoich.

— Wybrałem Nitetis — rzekł Amazys — gdyż Fachot jest tak delikatna, że nie zniosłaby rozstania się z nami i dalekiej do Persyi podróży.

Gdy to mówił, oczy jego zaświeciły się chytrze, lecz spuścił powieki natychmiast, jak gdyby się lękał, aby Krezus tego nie spostrzegł.

— Gdybym słuchał tylko mego serca i Nitetis, nie pojechałaby do Persyi — dodał — lecz Egipt potrzebuje pokoju, pierwej byłem królem tego państwa, niż ojcem mych córek. Obowiązek kazał mi dać przychylną odpowiedź Kambyzesowi.

W kilka dni potem odbyły się zaręczyny Nitetis. Amazys rozwinął cały przepych i bogactwo swego dworu, aby olśnić przybyszy. Gwarno i tłoczno było tego dnia w pałacu królewskim; poselstwo Kambyzesa zapełniło wszystkie komnaty wielkiego zamku w Sais. Na dziedzińcach roiło się od straży i dostojników, od młodych kapłanów i niewolników, a wszyscy byli w bogate świąteczne stroje przybrani.

Wysoka, wsparta na kolorowych słupach sala przyjęć, z błękitno-malowanemi freskami, czyniła wrażenie zaczarowanego pałacu. Na malowanych ścianach, na słupach galeryi wisiały lampy z kolorowego papieru, rzucając jasne snopy światła. Przestrzeń pomiędzy ścianami a słupami galeryi zapełniały obficie rozstawione szerokolistne rośliny, bogato kwieciem wonnym obsypane. Wśród tych pięknych klombów ukryta muzyka, z fletów i harf złożona, witała wchodzących gości. Na mozaikowej posadzce, z czarnych i białych kamieni ułożonej, stoły uginały się pod ciężarem półmisków, naładowanych pieczonem mięsem, koszów wypełnionych owocami i srebrnych dzbanów wina. Tłumy niewolników uwijały się, obsługując gości, którzy stojąc lub nawpół leżąc w bogatych krzesłach, prowadzili ożywioną rozmowę.

Towarzystwo składało się z mężczyzn i kobiet różnego wieku.

Młode dziewczęta miały oczy podmalowane, włosy zakręcone w loki i puszczone wolno, po bokach głowy, między okiem a uchem miały zaplecione długie warkocze. Dziwaczne to uczesanie głowy podtrzymywał szeroki dyadem. Starsze nad dyademem miały zatknięty kwiat lotosu. W delikatnych, zdobnych pierścieniami rączkach, których paznogcie zwyczaj egipski kazał malować na czerwono, damy dworu trzymały wachlarze z kolorowych piór na ramionach i nóżkach ich błyszczały złote lub srebrne obrączki.

Jedna z ostatnich weszła do sali królowa, żona Amazysa, z córkami. Królowa była Greczynką z pochodzenia. Purpurową, złotem tkaną jej szatę przysłaniała lekka koronka, na głowie miała wielki złoty dyadem. Dobroć i szlachetność malowały się na jej obliczu, ruchy pełne były powagi i majestatu.

Tuż obok niej szła po prawej stronie Nitetis, wysoka brunetka, w białej, srebrem tkanej szacie, po lewej złotowłosa, niebieskooka Fachot, w błękitnej, powiewnej sukni.

— Trudno byłoby mi domyśleć się, że to siostry rodzone — rzekł Polomis do Psametyka —

zupełnie są do ciebie niepodobne, choć obie piękne bardzo.

Psametyk zmarszczył czoło i nic nie odpowiedział.

Zdziwiło to dumnego dostojnika.

— Wydaje się być obrażonym, lecz doprawdy bez powodu — pomyślał.

Wejście tancerek zwróciło uwagę jego. Zaczął się piękny taniec. Egipscy pieśniarze śpiewali urocze pieśni, jednocześnie błazni królewscy zabawiali gości wesołymi dowcipami.

Wszyscy byli weseli, jeden następca tronu chmurne miał oblicze. Uczta trwała do późnego wieczora. Pierwsze niewiasty opuściły salę, a za niemi wkrótce wyszli i mężczyźni.

Amazys, rozochocony ucztą, pozostał z kilku gośćmi i nie myśląc o spoczynku, żartował wesoło. Głośne śmiechy odpowiadały mu co chwila, tylko syn jego siedział posępnie zamyślony. Wtem wszedł marszałek dworu, niosąc małą, złotą mumijkę, którą postawił na stole.

— Pijcie, żartujcie i weselcie się, bo niedługo będziecie do tej mumii podobni — rzekł.

— Czy to wspomnienie o śmierci podczas uczty jest zwyczajem u was, czy też marszałek twój, królu, dziś tylko na taki żart sobie pozwolił? — zapytał jeden z gości Psametyka.

— Od najdawniejszych czasów przyjętem jest u nas pokazywać biesiadującym mumię, aby przypomnieć im, iż trzeba używać życia wesoło, bo krótkiem jest — odparł Amazys. Ty masz jeszcze długie dni przed sobą, lecz ja i Krezus chylimy się już ku zachodowi życia. Napełnijcie kielichy i wychylmy je! — dodał wesoło.

— Choć wróżysz, iż my młodzi, mamy jeszcze długie dni przed sobą, towarzyszyć wam będę — rzekł Polomis.

Amazys roześmiał się.

— Podobasz mi się, chłopcze! — odparł. — Czy wiesz, że moje niewiasty zachwycone są tobą, lecz nie buduj na tem żadnych projektów. Nitetis zaręczona z twoim bratem, a Fachot nie pozwoliłbym za nic do Persyi pojechać.

Psametyk porwał się z krzesła.

— Ojcze, pilnuj języka!—zawołał.

Amazys zbladł, zachmurzył się i umilkł. Wesołość uciekła z sali, goście czuli się zmieszani, powstali przeto, aby udać się na spoczynek.

Arystomachus ujął Krezusa pod ramię i wyszedł z nim razem.

— Powiedz mi, Lidyjczyku, czy śnieg leżał na górach, gdyście opuszczali Persyę? — zapytał.

Zdziwiony Krezus z razu nic nie odpowiedział, aż Arystomachus powtórzył swoje pytanie.

— Większa część pagórków zieleniła się, gdyśmy przed czterema miesiącami wyruszali do Egiptu— rzekł wreszcie Lidyjczyk — są jednakże w krainie Kambyzesa wyżyny, na których śnieg nigdy nie taje. Widziałem białe wierzchołki zdaleka... Lecz dlaczego pytasz o to?

— Zależy mi na tem, lecz nic więcej powiedzieć ci nie mogę — rzekł Arystomachus.

— Pełni tajemnic dziś wszyscy jesteście — odparł Krezus i pożegnał młodego Greka.

Król Amazys po skończonej uczcie pozwolił sobie zaledwie trzy godziny odpoczynku.

Młodzi kapłani obudzili go, jak zwykle, gdy pierwsze kury zapiały. Poprowadzili go najprzód do kąpieli, potem ustroili w płaszcz królewski i zaprowadzili na podwórze zamkowe, gdzie w obec licznie zebranego tłumu składał codziennie bogom ofiarę w towarzystwie kapłanów, którzy śpiewali głośno modlitwy, następnie czytali królowi ze świętych ksiąg o czynach wielkich ludzi.

Z dziedzińca tego wracał Amazys do swoich pokojów, w których czekały na niego listy z prośbami, z różnych stron kraju przysłane.

Tym codziennym ceremoniom poddawał się z pokorą, pozostałą zaś część dnia spędzał wesoło. Z tego powodu kapłani zarzucali mu, iż lekkomyślne życie prowadzi. On na to pewnego razu odpowiedział:

— Widzicie ten łuk? Jeśli będziecie go naciągali bez ustanku, osłabicie cięciwę; gdy tylko przez pół dnia będziecie go używali, cięciwa dłużej wytrwa.

Właśnie król Egiptu przeczytał ostatni list, w którym proszono o wystawienie nowych budynków na miejscu zniesionych przez wylew Nilu, gdy mu oznajmił służący, że następca tronu Psametyk prosi o krótkie posłuchanie.

Oblicze króla zasępiło się, chwilę się zawahał, wreszcie polecił wprowadzić księcia.

Blady i ponury, jak zwykle, królewicz skłonił się nizko przed ojcem.

— Czego potrzebujesz?... Jestem bardzo zajęty — oburknął syna Amazys.

— Nie jesteś na mnie łaskawy, panie — rzekł Psametyk.

— Przypomnij sobie odezwanie się twoje wczorajsze — mówił Amazys — wobec gości ubliżyłeś mi.

— Ostrzegłem tylko... Dziś w tej samej sprawie przychodzę — rzekł królewicz. Pamiętaj, ojcze, że tajemnice naszej rodziny zna Thanes, który podobno jeszcze nie wyjechał z Neukratis. Nieoględnem odezwaniem się mogłeś wzbudzić wczoraj podejrzenie w posłach Kambyzesa. Thanes gotów ich oświecić.

— Nadto okazywałem mu zawsze życzliwości— rzekł Amazys.

— Więc wierzysz, ojcze, w ludzką wdzięczność?

— Wierzę w moją przenikliwość. Thanes jest moim przyjacielem.

Psametyk zmarszczył czoło.

— A moim wrogiem—szepnął.

— Więc strzeż się go... Co do mnie, nie potrzebuję się go obawiać — rzekł obojętnie Amazys.

— Może tobie, ojcze, nie grozi od niego nic złego — odparł Psametyk — lecz ojczyźnie naszej, kto wie?... Jeśli tajemnica rodzinna wyjdzie na jaw, wojna z Persyą będzie nieuniknionem tego następstwem.

Oblicze Amazysa zachmurzyło się. Nie odpowiedział tym razem synowi. Psametyk tymczasem mówił coraz głośniej:

— Musisz mi przyznać słuszność, ojcze, ten Thanes może zgubić nasz kraj, najwierniejszych naszych sprzymierzeńców może zamienić we wrogów... Kambyzes, odkrywszy prawdę, nie da ci pokoju. Wiem, że w Persyi kłamstwo jest uważane za największy występek, że kto pozwoli się oszukać, uważany jest za shańbionego.

Amazys zerwał się z krzesła.

— Nie ma lepszych nauczycieli wymowy nad nienawiść i zemstę! — rzekł drżącym głosem — wymownym jesteś, Psametyku, ale nie przekonałeś mnie. Czyż przypuszczasz, głupcze, że rozpocząłbym grę tak niebezpieczną bez dokładnego rozważenia wszystkich okoliczności?... Chociażby Thanes powiedział Persom to, czego się obawiasz, żaden mu nie uwierzy, nie uwierzy mu nawet Nitetis, którą zawsze prawdziwie rodzicielską miłością otaczałem. Nie lękam się nikogo. Chcesz mnie doprowadzić do tego, abym przyjaciela, który lat tyle służył mi wiernie, skrzywdził, lecz nie uda ci się to, gdyż bronić go będę przed twoją zemstą, której znam powody.

Psametyk cofnął się zmieszany.

— Powody?—zapytał.

— Nie udawaj, że mnie nie rozumiesz — odparł Amazys — nienawidzisz Thanesa za to, że gdym utworzył sobie straż z Greków i ciebie dowódcą jej mianowałem, nie umiałeś wywiązać się godnie z zadania. Thanes zajął twe miejsce i chlubnie pełnił służbę. Nienawidzisz go i za to, że jest przyjacielem Rhodofis, której również nienawidzisz.

— Bo jest szkodliwą wielce dla Egiptu—rzekł Psametyk. — Kiedy na naszej ziemi nie wolno było mieszkać cudzoziemcom, byliśmy potężni... Te czasy widziały, jak wielki Ramzes zwycięskim swoim orężem najodleglejsze ludy ujarzmiał, słyszały, jak cały świat nazywał Egipt najpotężniejszem pań-

stwem. Egipt był wówczas pyszną i strojną królową, dziś jest umalowaną i złotemi świecidłami obwieszoną statuą, której strzegą obcy awanturnicy, przybysze z kraju, nad którym niegdyś przewagę mieliśmy.

— Egipt nigdy nie był tak wielkim i potężnym, jak obecnie — przerwał synowi Amazys — Ramzes niósł w dalekie strony oręż, którym krew przelewał, ja zaś doprowadziłem kraj do tego, że wyroby rąk naszych znane są w całym świecie i zamiast krew rozlewać, złoto i skarby gromadzę. Ramzes żądał od poddanych, aby w ofierze krajowi życie składali, ja pracy tylko żądam. Za Ramzesa żyli Egipcyanie w ustawicznej trwodze o jutro, za moich rządów używają spokoju i dobrobytu. Dziś wznoszą się na brzegach Nilu setki ludnych wsi i bogatych miast; każda piędź kraju jest zużytkowana, żadne bezprawie nie ukryje się przed okiem zwierzchności, nawet dziecko daremnie o sprawiedliwość nie zawoła. Warownie moje nad morzem i w pustyni strzegą bezpieczeństwa poddanych. Rządy Ramzesa krwawymi łzami opłakiwały matki, dzieci i starcy.

— Dziś Grecya szydzić poczyna z nas, urągać naszej oświacie, barbarzyńcami nas nazywać! — odparł z goryczą Psametyk. — Najemnicy — Grecy, szerzą w Egipcie zepsucie, uczą poddanych naszych lekceważyć świątynie i bogów... Zdobywszy pół świata, mógłbyś, ojcze, wymagać od wszystkich monar-

chów posłuszeństwa, mógłbyś stać się tak potężnym, jak żaden z królów świata, lecz ty ulegasz słabostkom serca: Rhodofis i Thanesa protegujesz, a oni gotują powoli zgubę twemu państwu. Potężny Kambyzes chce zostać twoim sprzymierzeńcem, ty zaś kochasz nadto twą córkę, abyś ją mógł poświęcić dla Egiptu. O, bogowie, zamiast niej dajesz dziewczę — sierotę nieznaną.

— Potworze, więc nawet na rodzoną siostrę, na słodką naszą Fachot nastajesz! — krzyknął Amazys, blady ze wzruszenia. — Czy wiesz, kogo przedewszystkiem powinienem był poświęcić, aby potęga Egiptu milszą mi była? Ciebie, niegodziwcze, ciebie, ambitny, zimny, bez serca chłopcze! Posłuchaj mnie uważnie, a uznasz słuszność tych słów. Raz śniło mi się, że matka twoja leżała nad Nilem i narzekała na wielki ból w głowie. Pochyliwszy się nad nią, zobaczyłem, że z czoła jej wyrasta cyprys, który staje się coraz wyższy i grubszy, aż oplątał wkrótce korzeniami swymi całe ciało twej matki i udusił ją, po całym zaś Egipcie rzucił cień długi i ciemny.

Dreszcz mnie przeszedł na ten widok, zacząłem uciekać, lecz od wschodu zerwała się straszna burza, która cyprys przewróciła i wtrąciła do Nilu. Rzeka przestała płynąć, woda gęstniała i twardniała, aż wkrótce w mumię się zamieniła. I miasta nadbrzeżne poczęły się kurczyć, maleć, nareszcie pozamieniały się w urny do popiołów, które otoczyły

zwłoki Nilu. Obudziłem się zmęczony, kazałem przywołać tłómacza snów, ten wszakże oświadczył, iż nie potrafi mi nic wyjaśnić. Udałem się wtedy do kilku innych, lecz napróżno, dopiero kapłan Ammona Libijskiego dał mi wyjaśnienie.

„Bogowie — rzekł on — obdarzą cię synem, a za panowania tego syna lud ze Wschodu obróci mieszkańców dolin Nilu w martwe ciała, a miasta tych dolin w stosy pogrzebowe."

— Gdybym jak ty serca nie miał, nie żyłbyś — dodał król posępnie. Ponurym jesteś, jak cyprys, smutek idzie wszędzie za tobą, część przepowiedni już spełniona. Cóż uczynić powinienem, aby inne się nie spełniły?

Psametyk wybuchnął łkaniem.

— Przestań, przestań, ojcze! — zawołał błagalnie.

Amazys umilkł, spojrzał na syna, który stał przed nim z twarzą ukrytą w fałdach płaszcza, i dobre jego serce zdjęła litość. Przystąpił do płaczącego, położył dłoń na jego ramieniu i pocałował go czule w czoło.

— Serca nasze dotychczas się nie rozumiały, od dziś będziemy działali wspólnie, aby smutna przepowiednia nie ziściła się za twego panowania — rzekł tonem serdecznym. Serce mam miękkie, lecz przebiegłości mi nie brak. Poparty przez ciebie, odwrócę od Egiptu przepowiedziane nieszczęścia.

— Złamałeś mnie, ojcze, twą opowieścią, nie czuję siły do działania — odparł cichym głosem Psametyk. — Dotychczas uśmiechałem się rzadko, teraz oblicze moje będzie obrazem rozpaczy.

Amazys objął syna ramieniem.

— Rozjaśnię je, przekonasz się — rzekł. — No, pocałuj mnie!

Psametyk pochylił się do jego ręki.

— Nie tak! — zawołał król — pocałuj mnie w usta, jak przystało na syna.

A gdy Psametyk spełnił jego żądanie, dodał wesoło:

— Teraz objaw najdroższe życzenie twego serca, a niezawodnie się ziści, daję ci królewskie słowo.

Oczy Psametyka zabłysły, nie była to wszakże szlachetna radość, która zapaliła ten błysk, lecz uśmiech tryumfu.

— Oddaj mi, ojcze, w ręce Thanesa nieprzyjaciela mego — rzekł głosem zniżonym.

Amazys usunął się od syna. Bolesny zawód odmalował się w jego spojrzeniu.

— Muszę zadość uczynić twemu żądaniu, bom związany słowem — odparł głosem zgnębionym — nie taję wszakże, iż byłbym wolał, abyś był zażądał połowy moich skarbów... Tysiąc głosów szepcze mi, że dopuszczam się czynu niegodnego i drżę, że czyn ten przyniesie szkodę całemu Egiptowi, a jednak, jeśli

nie odwołasz twego życzenia, spełnić je będę musiał. Zastanów się jeszcze, synu.

— Już zastanowiłem się — odparł Psametyk.

— A więc bierz go, jeśli pochwycić zdołasz, boć wszakże miał rozkaz jak najrychlej opuścić Egipt... Postaraj się wszakże, aby nikt z Greków nie dowiedział się, iż zdradziłem przyjaciela — mówił Amazys— nie chcę też wiedzieć, co z nim zrobisz, bo nie chcę cię znienawidzić. Biedny Spartaninie, byłoby lepiej dla ciebie, aby noga twoja nie była nigdy dotknęła naszej ziemi — dodał głosem wzruszonym, poczem zbliżył się do syna i położył rękę na jego ramieniu.

— Thanes szkodzić nam nie może, wierzaj mi— rzekł.—Nitetis nie jest nieznaną sierotą, jak sądzisz. Kambyzes, chociażby dowiedział się o jej pochodzeniu, pokrzywdzonym nie będzie.

Król pochylił się i zniżonym głosem zaczął coś szeptać do ucha synowi. Na twarzy Psametyka odmalowało się wielkie zdziwienie.

Opowiadanie to musiało jednakże zmęczyć starego króla, gdyż rzucił się potem na krzesło i oczy zamknął.

Słabość, której się dopuścił, wydając przyjaciela na śmierć, bolała go. Zdawało mu się, że widzi krwawy cień Thanesa, stojący przed nim razem ze strąconym z tronu Hofrą.

— Takie widma płoszą szczęście nawet z przed stóp tronu — pomyślał z goryczą, po chwili jednakże

podniósł głowę, wstał i ze swobodnym obliczem pospieszył do gości.

Czy ten monarcha, najszczęśliwszym dotychczas zwany w Egipcie, potrafił tak prędko uspokoić swoją duszę, czy też miał dość siły, aby ból, który nim wstrząsał, ukryć pod wesołym uśmiechem, było to zagadką, dość, że dnia tego był wesoły i swobodny, jak rzadko kiedy.

III.

Opuściwszy ojca, Psametyk udał się wprost do świątyni Neity. Służący, którego zapytał o arcykapłana, prosił królewicza, aby zaczekał, gdyż wielki Neithotep obecnie oddany jest modlitwie. Po kwadransie młody kapłan oznajmił, że arcykapłan oczekuje na następcę tronu. Psametyk natychmiast pospieszył do komnat arcykapłana. Minąwszy pierwszy dziedziniec, wszedł w aleję sfinksów, prowadzącą do głównej bramy świątyni. Bramę tę ozdabiały chorągwie i obeliski; po za nią znajdował się główny dziedziniec, otoczony galeryą; w głębi wznosiła się świątynia. Cały front świętego budynku pokrywały malowidła i napisy. Wspaniałe wejście prowadziło do wielkiego przedsionka, z którego wchodziło się do hali o błękitnym w złote gwiazdy plafonie. Cztery rzędy kołumn wspierały ów pułap; ściany, słupy, nisze tej olbrzymiej sali pokryte były heroglifami i malowidłami

różnobarwnymi. Wonny dym kadzidła wydostawał się z jednej z bocznych sal, a z innej znów dźwięki cichej muzyki, którą głuszył chwilami ryk świętych krów Izydy, lub krakania sępów Horusa, których pomieszczenia znajdowały się w pobliżu. W sali tej znajdowało się kilku pobożnych Egipcyan. Na głos tych świętych zwierząt pochylali się oni i dotykali czołem kamiennych płyt posadzki. Z trwożliwą czcią spoglądali na zamknięte wnętrze głównej świątyni, gdzie w kaplicy wykutej z jednej sztuki granitu odprawiali nabożeństwo pogańscy kapłani, jedni ustrojeni w pęki piór na łysych głowach, drudzy odziani w skóry panter na ramionach. Śpiewali oni, a raczej mruczeli monotonnie, to pochylając się przed ołtarzem, to bujając w powietrzu kadzidło i wylewając wodę z naczyń na ofiary bogini.

Pozostawszy krótką chwilę w wielkiej sali, gdzie miał własne miejsce, złote krzesło, Psametyk udał się następnie do sąsiedniej, znacznie mniejszej i niższej, w której hodowano krowy Izydy i sępy Horusa. Kosztowna, złotem tkana zasłona kryła te zwierzęta przed oczyma pobożnych, bo tylko w wyjątkowych okolicznościach pozwalano ludowi napawać się ich widokiem.

Następca tronu wszedł w chwili, gdy krowom wkładano do złotego żłobu koniczynę i sól, a sępom małe o barwnem upieczeniu placki. Zajęty ciężkiemi myślami królewicz, nie spojrzawszy nawet na święte zwierzęta, udał się wprost krętymi schodami do komna-

ty, gdzie arcykapłan miał zwyczaj wypoczywać po odprawionej ofierze.

Posadzkę zaścielał tntaj kosztowny dywan babiloński; umeblowanie stanowiły złocone, pięknej roboty krzesła.

Jedno zajmował w tej chwili Neithotep, starzec siedmdziesięcioletni, opierając nogi na miękkim podnóżku.

W rękach trzymał on zwój hieroglifów, a za nim stał chłopiec z wachlarzem z piór strusich, którym odpędzał cisnące się do głowy arcykapłana owady.

Oblicze starca nosiło ślady dawnej piękności. W wielkich, niebieskich jego oczach tlił się jeszcze silny duch i pewność siebie.

Po zdjęciu sztucznych loków gładka czaszka dziwnie wyglądała przy zmarszczkami pooranej twarzy, a czoło jego wydawało się nadzwyczaj wysokie.

Jaskrawe ściany komnaty, na których widniały różne hieroglify i obrazy bóstw różnego rodzaju, w połączeniu z białością szaty arcykapłana wywierały uroczyste wrażenie.

Starzec przyjął serdecznie księcia.

— Co sprowadza mego szlachetnego syna do biednego sługi bożego? — zapytał.

— Mam ci wiele do opowiedzenia, ojcze — odparł Psametyk — przychodzę wprost od króla.

— Więc udzielił ci nareszcie posłuchania! — tonem zadowolenia wykrzyknął kapłan.

— Nareszcie — powtórzył Psametyk.

— Z twarzy twej widzę, że doznałeś łaskawego przyjęcia.

— Tak, lecz najprzód doświadczyłem gniewu, gdy wypowiedziałem, z czem przybyłem.

— A czy byłeś, jak radziłem, pokornym?

Psametyk westchnął.

— Niestety, przeczącą dać muszę odpowiedź.

— W takim razie miał słuszność Amazys, iż skarcił cię — surowo rzekł arcykapłan — syn względem ojca pokornie zawsze powinien występować, tembardziej, gdy zbliża się do niego z prośbą. Znasz nasze przysłowie: „Kto czci ojca, długi żywot mieć będzie.” Lecz ty grzeszysz zawsze szorstkością i gwałtownością; zapominasz, że jedno dobre słowo znaczy więcej, niż dziesięć złych... Słuchaj, co ci opowiem...

Przed wielu laty panował w Egipcie król Szefren. Jednego dnia miał sen, że wypadły mu wszystkie zęby. Gdy posłał po tłómacza snów, ten wysłuchawszy go, zawołał: „O, biada ci, panie, wszyscy twoi krewni pomrą przed tobą.”

Rozgniewany król, kazał dać rózgi wróżbicie i wezwał drugiego. Ten zupełnie tak samo sen wytłómaczył, lecz innymi słowy: „Cześć twemu imieniu,

wielki królu, albowiem będziesz żyć dłużej, niż cała twoja rodzina" — rzekł. Król był tym razem zadowolony z wróżby, wynagrodził wróżbitę hojnie.

— Czy zrozumiałeś moralny sens tej powieści?

Psametyk skinął głową.

— Staraj się więc w przyszłości myśli twoje w przyjemną formę przyoblekać — dodał starzec — wrażenie słuchacza zależy wiele od tego, w jaki sposób mówca się wyraża.

— Nieraz już dawałeś mi tę radę, ojcze, chciałem być ci posłusznym, lecz niestety, nigdy nie potrafiłem.

— Nie mów, iż chciałeś — rzekł surowo arcykapłan — człowiek dojrzały wykonywa zawsze to, czego chce, a gdy raz popełni coś takiego, czego żałuje, nigdy więcej nie dopuszcza się błędu... Lecz dosyć nauk... Opowiedz mi teraz, czem ułagodziłeś gniew króla.

— Gdy zobaczył, że słowa jego zraniły mnie boleśnie, że płaczę, rozczulił się i chciał za jakąbądź cenę przykrość mi wynagrodzić.

— Szlachetne ma serce — rzekł arcykapłan — lecz duch jego zaślepiony, a umysł stronniczy. Gdyby słuchał przykazań bogów i rad naszych, mógłby się stać wielkim dla Egiptu.

— Ojca łzy moje wzruszyły do tego stopnia, że darował mi Thanesa — rzekł królewicz z radością.

Kapłan spojrzał na niego badawczo.

— Nieczysta radość tli w twojem spojrzeniu — rzekł poważnie — to nie pięknie, Psametyku!... Thanes obraził bogów, musi umrzeć, lecz wymierzając sprawiedliwość, powinniśmy smucić się nad losem nieszczęsnej ofiary występku. Cóż więcej przyniosło ci to posłuchanie.

— Król odkrył mi tajemnicę pochodzenia Nitetis.

— I nic więcej?

— Nic, mój ojcze... Czyż nie pali cię ciekawość dowiedzieć się owej tajemnicy?

— Znam ją oddawna... Toć odprawiałem modły na grobie Hofry.

— Któż zdradził przed tobą, ojcze, tę tajemnicę?

— Gwiazdy, mój synu... sztuka czytania w niebieskiej księdze.

— A czy gwiazdy i wróżbici nie mylą się nigdy?

— Nigdy — stanowczo odparł arcykapłan.

Psametyk naraz sposępniał, nie uszło to widocznie uwagi arcykapłana, gdyż rzekł:

— Myślisz w tej chwili o śnie ojca, masz się za straconego człowieka... Uspokój się... Czytałem w gniazdach w dniu twego przyjścia na świat... Powiedziały mi, że nieszczęścia, które cię spotkają, wezmą w końcu dobry obrót. Jednakże...

Tu zatrzymał się.

— O, mów, ojcze! — zawołał niecierpliwie Psametyk.

— Jeśli zapomnisz o wszystkiem innem, a żyć będziesz tylko dla bogów, słuchać tylko ich głosu — rzekł arcykapłan.

Psametyk odetchnął.

— Będę posłuszny każdemu twemu skinieniu, ojcze, przysięgam — mówił z pokorą.

— Dzięki niech będą bogini Neithy!—wykrzyknął arcykapłan, wzrok w górę podnosząc. — Teraz zostaw mnie samego, mój synu — dodał spokojniej — potrzebuję odpocząć. Jeśli możesz, nie spiesz się ze śmiercią Thanesa, pragnąłbym z nim pomówić, nim umrze.

— Stanie się wedle twej woli — odparł Psametyk i ku drzwiom się zwrócił, lecz starzec go zatrzymał jeszcze.

— Posłuchaj — rzekł — wczoraj przybył do Sais oddział Etyopów; nie rozumieją oni ani po egipsku, ani po grecku, możnaby więc ich użyć pod wodzą jakiego wiernego człowieka do pochwycenia Thanesa. Nie znając języka, zdradzić nas nie mogą. Przed wyprawą nie powinni wiedzieć, gdzie i po co idą, a gdy spełnią swe zadanie, wyślemy ich z powrotem do Etyopyi. Pamiętaj, że tajemnica, o której wie więcej, niż jeden człowiek, jest już przez pół zdradzoną... Teraz możesz się oddalić.

Psametyk wyszedł.

W kilka chwil potem cichym krokiem wsunął się do komnaty arcykapłana młody kapłan ze służby królewskiej i zapytał:

— Czy, ojcze, dobrze uważałem?

— Doskonale, nie opuściłeś ani słowa z rozmowy Amazysa z Psametykiem — odparł arcykapłan.

Młody uśmiechnął się.

— Gołąb byłby zrozumiał, co mówili — odparł wesoło — król ryczał, jak zraniony lew.

— Wielka Neitha dla dobra naszego odebrała mu ostrożność, lecz z większym szacunkiem wyrażaj się o Faraonie, radzę ci — rzekł arcykapłan. Teraz wracaj do niego i czuwaj nad nim, jak zwykle. Gdyby Psametyk zamierzał wykonać zamach na Thanesa, donieś mi o tem natychmiast. Będę ciągle w domu, każ służbie, aby nie przyjmowała nikogo. Idź, niech cię nieśmiertelni prowadzą.

Podczas, gdy Psametyk gotował się do uwięzienia Thanesa, Krezus z towarzyszami wsiadł do łodzi królewskiej i pojechał do Neukratis, aby spędzić wieczór w domu Rhodofis. Syn jego Giges i trzej młodzi Persowie pozostali w Sais.

Zaproszeni przez Amazysa na pokoje królowej, razem z królewnami bawili się w różne gry i zda-

wali się wielką w ich towarzystwie znajdować przyjemność.

Zręczna Nitetis wprawiła wszystkich w zachwyt, łapiąc po raz setny może rzuconą jej przez siostrę obręcz.

— Tę grę muszę koniecznie do ojczyzny mojej wprowadzić — rzekł wesoło królewicz Bartya — my, Persowie, nie gardzimy jak Egipcyanie obcymi zwyczajami; przeciwnie, przyjmujemy chętnie od cudzoziemców wszystko co dobre. Opowiem matce mej, Kassandonie, jak się tutaj bawiłem wesoło, a nie będzie miała nic przeciwko temu, gdy spróbuję tą grą rozweselić jej dwór.

— O, uczyń to! — wykrzyknęła złotowłosa Fachot — wtedy Nitetis, rzucając kółkiem, przeniesie się myślą do nas. Doprawdy nie wiem, jak ona żyć będzie wśród obcych. Ja bez niej jednej czuję, że tęsknić będę bardzo.

Przy tych słowach cień smutku powlókł białą twarzyczkę Nitetis. Wtem Bartya zbliżył się do przyszłej bratowej.

— Będzie ci u nas lepiej, niż przypuszczasz — rzekł — my, Persowie, szanujemy kobiety i otaczamy je opieką.

— Kobiety egipskie są najszczęśliwsze — rzekła królowa — nawet w Grecyi nie jest im lepiej. Młode Greczynki wychowują się pod opieką matek i piastunek, zajmują się haftem i kądzielą, lecz dorósłszy,

tylko w nadzwyczajnych zdarzeniach mogą brać udział w większych zebraniach i usłyszeć, co się po za domem dzieje. Jakież wasze zapatrywanie, królewiczu?...

— Pięknie mówisz, królowo, i chciałbym ci również pięknie odpowiedzieć, ale wymownym nie jestem — odparł Bartya — zastąpi mnie przyjaciel mój Daryusz, który jest równie walecznym, jak wymownym.

— Przedstawiasz mnie, jako gadułę, mniejsza o to! — rzekł wesoło młody Pers — rad jestem nawet, iż pozwalasz mi zastąpić cię, gdyż oddawna pali mnie chęć stanąć w obronie zwyczajów ojczystych. Bądź spokojną, królowo, córka twoja nie będzie niewolnicą króla Persyi, ale jego towarzyszką. Wprawdzie i u nas, jak w Grecyi, w ważne tylko święta kobiety zasiadają z nami do uczt, lecz mają własne rozrywki i przyjemności. Otaczamy je szacunkiem i wygodami, czują się szczęśliwe w swej ojczyźnie. Gdy król Babilonu poślubił Persyankę, tak czuła się nieszczęśliwą wśród płaszczyzn Eufratu, iż monarcha kazał wznieść w okół swej stolicy olbrzymie podmurowanie, pokryć je zielenią i zasadzić na niem najpiękniejsze drzewa i kwiaty, aby z tej sztucznej góry żona jego mogła spoglądać na nizinę i przypominać sobie Persyę.

— Czy Persyanka przestała wtenczas tęsknić za ojczyzną? — spytała Nitetis.

— Przestała—odparł Daryusz—i ty przestaniesz się smucić po pewnym czasie i odzyskasz wesołość.

— Tymczasem idźcie zwiedzić miasto — rzekł Amazys — oddalić się muszę, gdyż dwóch pisarzy na mnie czeka.

To mówiąc, powstał.

— Sachonie, każ, aby stu żołnierzy towarzyszyło naszym gościom podczas przechadzki — dodał, zwróciwszy się do jednego z dworzan.

— Po cóż ta straż? — zapytał zdziwiony Bartya.

— Już ja wiem dobrze, co robię — odparł Amazys. — Cudzoziemiec nigdy zbyt ostrożnym nie może być u nas. Do widzenia, młodzi przyjaciele, spotkamy się przy wieczerzy!

Persowie opuścili zamek z przewodnikiem greckiem, wychowanym w Egipcie, który znał dobrze oba języki.

Ulice Sais, w części miasta przyległej do zamku, przedstawiały bardzo piękny widok. Wysokie, często pięciopiętrowe domy, pokryte były malowidłami jaskrawemi, lub hieroglifami; podwórza w części zajmowały altany, wsparte na pięknie malowanych drewnianych słupach; na zamkniętych szczelnie drzwiach wchodowych widniały imiona i nazwiska właścicieli. Płaskie domy zastawione były wazonami kwiatów; tam zwykle Egipcyanie przepędzali wieczory, albo też po krętych schodach wchodzili na wieżyczki, którymi ozdobione były prawie wszystkie domy.

Tutaj nie dokuczały im zjadliwe komary, bo te zwykły latać tylko nizko nad ziemią.

Persowie wyrażali podziw nad porządkiem w mieście. Tabliczki z imionami mieszkańców powywieszane na domach i młotki do uderzania w drzwi błyszczały jasno, a malowidła, zdobiące ściany domów, zdawały się być świeżo wykończone. Im bardziej wszakże oddalali się od pałacu królewskiego, tem mniej pokaźnie przedstawiało się im Sais. Zbudowane na pochyłości wzgórza, od półtrzecia wieku było rezydencyą królewską i w tym stosunkowo niedługim czasie wzrosło z małej osady do rozmiarów wspaniałego miasta. Zmiany jednak dokonywały się przeważnie nad Nilem, z drugiej strony wzgórza stały rzadko rozrzucone chaty biedaków, sklecone z gałęzi akacyi i szlamu rzecznego.

— Może już wrócimy — rzekł Giges, który spostrzegł, że ludność miasta kupić się za nimi zaczyna.

— Jak rozkażecie — odparł przewodnik — lecz tam, w dolinie, u stóp wzgórza, leży miasto umarłych, które warto zwiedzić.

— Idźmy więc! — rozkazał Bartya.

Właśnie zbliżali się do miasta umarłych, okrążonego budami handlarzy, gdy pomiędzy dążącym za nimi tłumem dało się słyszeć wołanie:

— Chodźcie do przedsionka świątyni, zobaczycie wielkiego czarownika, którego dobry duch Hunzu i bogini Izyda obdarzyli cudowną mocą!

— Pójdźmy i my — rzekł Daryusz.

— Chcecie, poprowadzę was — zgodził się przewodnik i począł przeciskać się szybko przez licznie zebrany tłum. Persowie, straciwszy go z oczu, zatrzymali się, nie wiedząc, w którą zwrócić się stronę. Niebawem wrócił przewodnik z młodym kapłanem, który powiódł cudzoziemców do małej świątyni, u stóp wzgórza się wznoszącej. Tam otoczony większymi i mniejszymi pudłami stał człowiek w stroju kapłana egipskiego, a koło niego klęczeli dwaj murzyni. Człowiek ten, Libijczyk, olbrzymiego wzrostu, z czarnymi przenikliwymi oczyma grał na podłużnym, dętym instrumencie, a po jego piersiach i ramionach wiło się kilka wężów, uważanych w Egipcie za jadowite. Gdy Persowie weszli do świątyni, Libijczyk powitał ich nizkim ukłonem i zdjąwszy z siebie białe ubranie, rozpoczął sztuki z wężami. Pozwalał on im się kąsać do krwi, to zmuszał je, aby w takt muzyki wykonywały różne ruchy, to dmuchał im w paszcze, a one stawały się nieruchome i proste jak laski. Nakoniec rzucił wszystkie na ziemię i rozpoczął wśród nich dziki taniec w szalonym tępie. Przeskakiwał zręcznie leżące spokojnie gady, wreszcie zmęczony, padł wśród nich na ziemię. Podniósł się szybko, świsnął i świst ten zbudził węże. Podniosły głowy, przypełzły do zaklinacza i jak żywe pierścienie, owinęły mu się około szyi, ramion i nóg. Wówczas czarownik powstał i zaśpiewał pieśń na cześć bóstwa, które obdarzyło go nadziemską mową.

Po skończonej pieśni zdjął z siebie węże, schował je do pudeł, zostawiwszy sobie tylko kilku ulubieńców.

W drugiej części przedstawienia czarownik innego rodzaju wykonał sztuki: połykał garście lnu zapalonego; tańcząc, utrzymywał w równowadze dwa miecze, które ostrymi końcami oparł w kątach swych oczu, wyciągał z siebie nieskończenie długie wstęgi, jednem słowem zadziwiał widzów, wprowadzał w zachwyt.

I Persowie do obojętnych nie należeli. Wyszli ze świątyni zachwyceni, zdawało się im, że byli w krainie cudów. Wracali zamyśleni do miasta, nie zwracając uwagi na ciągnących za nimi Egipcyan, pomiędzy którymi wielu miało obcięte uszy i nosy. Nie był to widok nowy dla nich, i w Persyi w ten sposób karano przestępców. Szpiegom zwykle obcinano uszy, fałszerzom ręce, zdrajcom nogi i t. d. Kary te miały dwojaki cel: winny ponosił zasłużoną karę i naznaczonym zostawał, można się go było strzedz.

Naraz idącym zatamowało drogę zgromadzenie ludu, które zebrało się przed jednym z piękniejszych domów, obok świątyni Neitty.

Na progu stał starzec w białem odzieniu sługi kapłańskiego i zastępował drogę kilku podobnie jak sam ubranym ludziom, nie dając im wynieść z mieszkania dużej skrzyni.

— Nie pozwolę okraść mego pana! — wołał — powierzył mi straż nad swoim dworem, nie mogę zezwolić, abyście tę skrzynię wynieśli.

— Ależ uspokój się... Arcykapłan świątyni

Neitty przysłał nas po tę skrzynię—mówił jeden z dźwigających ciężar. Ta skrzynia zawiera jakieś ważne papiery, których potrzebuje właśnie wielki Neithotep.

— Co mi tam!... Ja wiem to tylko, że pozwolić wam nie mogę zabierać własności wielkiego Nebenchazi, który pojechał nie wiedzieć po co do tej przeklętej Persyi! — wołał stary.

— Dosyć tego! — huknął jeden ze służby arcykapłana — Neithotep jest twoim i twego pana panem... Kazał, więc musisz oddać skrzynkę.

To powiedziawszy, skinął na swoich ludzi i ci wynieśli skrzynię, drzwi zatrzasnąwszy za sobą. Persowie poczęli dopytywać się tłómacza o wyjaśnienie tego zajścia. Daryusz zdziwił się, że właścicielowi można zabrać rzecz jego. Bartya począł się głośno oburzać na ten szczególny rabunek, lecz Giges przestrzegł obu, aby się nie mieszali do rzeczy, które ich nie obchodzą, i ruszyli dalej.

Gdy zbliżali się do zamku, Giges poczuł, że ktoś schwycił go za ramię. Zdziwiony obrócił się i ujrzał jakiegoś człowieka z palcem na ustach, który nań mrugał tajemniczo, więc przystanął.

— Kiedy będę mógł z tobą pomówić bez zwrócenia niczyjej uwagi? — zapytał Giges.

— Czego chcesz ode mnie?

— Nie pytaj, tylko odpowiedz — rzekł nieznajomy. — Na Izydę, ważne rzeczy mam ci odkryć... Jestem Persem i wam życzliwym. Mów, kiedy niepostrzeżony będę mógł mówić z tobą?

— Jutro rano — odparł Giges.

— To zapóźno.

— A więc za kwandrans spotkasz mnie u bramy pałacowej; mrok już zapada; noc cię osłoni.

— Stawię się niezawodnie.

Z temi słowy tajemniczy człowiek oddalił się szybko, a Giges dogonił towarzyszy, którzy nie spostrzegli, że ich na chwilę opuścił.

Wróciwszy do pałacu, Giges przypasał miecz, polecił Daryuszowi uczynić toż samo i wraz z nim udał się na tajemniczą schadzkę.

Daryusz nie zawahał się, i obaj pospieszyli do miejsca, gdzie nieznajomy czekał przy bramie.

— Niech będzie chwała Ormuzdowi, żeś przybył — wyrzekł zniżonym głosem — lecz któż towarzyszy ci?

— Przyjaciel mój, Daryusz, syn Histapesa — odparł Giges.

Nieznajomy skłonił się głęboko.

— Jego się nie lękam — rzekł.

— Mów, po coś mnie wezwał? — pytał Giges.

— Nazywam się Babores, służyłem niegdyś w wojsku wielkiego Cyrusa, byłem pułkownikiem — mówił nieznajomy. — Gdyśmy zdobyli Sardes, żołnierze chcieli miasto zrabować, lecz ojciec twój prosił Cyrusa, aby na to nie pozwolił. Król wydał rozkaz, aby

żołnierze zdobyte rzeczy wodzom oddawali, ci zaś mieli składać wszystko na placu targowym. Wkrótce też leżały tam całe stosy srebrnych i złotych naczyń, bogatych sukien męskich i niewieścich, ozdobionych klejnotami.

— Ależ prędzej, nie mam czasu słuchać niepotrzebnych szczegółów — przerwał Giges.

— Masz słuszność, trzeba rzecz przyspieszyć — rzekł nieznajomy. — Mimo rozkazu, aby oddawać wszystko, zatrzymałem sobie wysadzoną drogimi kamieniami skrzyneczkę. Cyrus, dowiedziawszy się o tem, skazał mnie na śmierć, lecz ojciec twój wyjednał dla mnie łaskę i król zamienił wyrok śmierci na wyrok wygnania. Okręt smyrneński zawiózł mnie na Cypr, gdzie wszedłem znowu do służby wojskowej, nauczyłem się po grecku i po egipsku, walczyłem przeciw Amazysowi i dostałem się w ręce Thanesa, który zabrał mnie z sobą do Egiptu i przeznaczył do pilnowania koni królewskich.

Po kilku latach dola moja poprawiła się: potrafiłem zdobyć uznanie Thanesa, pochwalił mnie przed Amazysem, a ten uczynił mnie dworskim masztalerzem. Dziś przyszła chwila, iż będę mógł się odwdzięczyć twemu ojcu.

— Więc idzie o mego ojca — rzekł wzruszonym głosem Giges — o, mów dalej!

— Czy Krezus nie obraził czem Psametyka — zapytał Babores.

— Nie wiem, lecz dlaczego pytasz o to?

— Ojciec twój spędza dzisiaj wieczór w domu Rhodofis?

— Skąd wiesz o tem?

— Od niego samego. Oświadczył mi niedawno, że jedzie do Neukratis, do Greczynki Rhodofis.

— I powiedział prawdę.

— W takim razie trzeba działać szybko... Oddział etyopskich żołnierzy wysłanym został potajemnie do Neukratis, aby dom Rhodofis otoczyć i gości jej wziąć do niewoli.

— Zdrada! — krzyknął Giges.

— Czyż ważą się najmniejszą krzywdę zrobić twemu ojcu? Zemsta Kambyzesa dosięgłaby ich niezawodnie — rzekł Daryusz. — Nie dowierzam ci, Baboresie!

— A ja ci powtarzam raz jeszcze, iż wiem napewno, że dom Rhodofis, w którym znajduje się w tej chwili Krezus, otoczonym zostanie dzisiaj przez etyopskich żołnierzy. Sam doglądałem zaprzęgów dla nich i słyszałem, jak służący następcy tronu mówił do pułkownika Pentansa: „Pamiętaj, abyś miał oczy i uszy otwarte. Otoczycie dom Rhodofis cicho, aby nie wyszedł bocznymi drzwiami. Starajcie się wziąć go żywcem; zabić go możecie tylko w wypadku, gdyby zuchwale stawiał opór. Jeśli zdołacie przywieść go żywym, każdy z was dostanie 20 sztuk złota.”

— Lecz czyż rozporządzenie to którego z nas dotyczy? — zapytał Giges.

— Nie wiem?—odrzekł Daryusz.

— Kogóż więc? — zapytał Babores.

Wszyscy trzej zamyślili się.

— W tym kraju wszystko możliwe — rzekł po chwili masztalerz Amazysa.

— Jak wiele trzeba czasu, aby na dobrym koniu dojechać do Neukratis? — zapytał Giges.

— Około trzech godzin, jeżeli koń jest rączy i wytrwały — odparł Babores.

— W dwie godziny tam będę! — rzekł Giges.

— Jadę z tobą—dodał Daryusz.

— Nie, musisz zostać, jako opiekun Bartyi — odparł syn Krezusa. — Zostaniesz i nieobecność moją usprawiedliwisz przed Amazysem. Powiesz mu, że ból głowy lub zębów przybyć mi na zabawę nie pozwala... Tak być musi... Wezmę konia Bartyi. Ty, Baboresie, pojedziesz ze mną na Daryuszowym... Pożyczysz mi go, bracie, wszak prawda?

— Gdybym miał nie jednego, lecz tysiące, wszystkie byłyby twoją własnością — odparł Daryusz.

— Czy znasz drogę do Neukratis? — zapytał Giges masztalerza.

— Jak swoją kieszeń.

— A zatem w drogę, ociąganie byłoby zbrodnią.

*

* *

W domu Rhodofis goście zasiedli do wieczerzy. Na cześć Krezusa stół przybrany był strojniej, niż

zwykle, wezgłowia otaczały wieńce z róż i bluszczu. Teodorus, Ibikus, Arystomachus, Teopompus z Miletu, Krezus i Thanes, który jeszcze nie wyjechał, prowadzili ożywioną rozmowę.

— Egipt robi na mnie wrażenie dziewczyny, która nie chce zdjąć z siebie ugniatającego ją złotego trzewika, lubo dość jej rękę wyciągnąć po ładne, wygodne pentofelki — mówił rzeźbiarz Teodorus.

— Myślisz o uporze, z jakim Egipcyanie stoją przy dawnych formach i zwyczajach? — spytał Krezus.

— Naturalnie — odrzekł Teodorus. — Jeszcze dwieście lat temu Egipt był niezaprzeczenie pierwszym krajem w świecie. Jego nauki i sztuki stały o wiele wyżej, niż nasze. Dziś, któż nie przyzna, że Grecya Egipt prześcignęła? Ugrzęźli w rutynie.

— Nie pojmuję, jak można zmusić artystę, aby dzieła swoje tworzył zawsze podług jednego wzoru — mówił Ibikus — sztuka piękna nie znosi niewoli.

— Jednakże Egipcyanie i tworzą jemu rzeczy bardzo piękne — zapewniał Krezus. Niedawno widziałem posąg, wyobrażający jakiegoś króla, który podobno przed trzema tysiącami lat zbudował największą piramidę; posąg ten pod każdym względem wzbudził we mnie podziw. Co za pewność ręki w obrobieniu kamienia, jaka harmonia rysów twarzy.

— Tak, artyzm zdumiewający. Co się tyczy sposobów obrabiania najtwardszych nawet materyałów, Egipcyanie dotąd jeszcze nam przodują — rzekł Teodorus. — Żadna grecka statua nie jest tak pięknie wypolerowana, jak posąg Amazysa, znajdujący się w dziedzińcu pałacowym, ale swobody w układzie ciała i wlania duszy w kamień — tego nie nauczą się Egipcyanie, dopóki nie zerwą z dawnymi formami... Dość przyjrzeć się posągom, które stoją długim szeregiem nad Nilem, na przestrzeni od Neukratis do katarakt. Wszystkie przedstawiają ludzi z uprzejmym jedynie wyrazem twarzy. Starcy, młodzieńcy, bohaterowie, prawodawcy, okrutnicy i przyjaciele ludzkości — wszyscy są do siebie podobni, różnią się tylko wielkością, przez którą Egipcyanie wyrażają siłę, no, i rysami twarzy, które wiernie potrafią oddawać.

— Niektóre portrety są przepyszne — chwalił Thanes — na przykład te, które w Memfis widzieć można.

— Pokazywał mi kilka Amazys, zgadzam się, że są wyborne, lepszych nie potrafiłbym zrobić — przyznał Teodorus. — Lecz dzisiejsi artyści egipscy stoją daleko po za swymi przodkami. Roboty ich są może delikatniejsze, lecz pod względem siły nie dadzą się porównać z dawnymi.

To też nie cofam tego, co powiedziałem: gubią ich formy, przepisy, niewola jednem słowem... Król zamawia swój posąg, jak ja szablę naprzykład. Zanim artysta dzieło rozpoczął, wie on już jak wyglądać będzie

jego posąg, bo podał sam wymiary. Jakże można starca modelować podług tego samego wzoru, co młodzieńca w sile wieku?... lub poetę jak rycerza?...

— Cóż mówi Amazys na twoje uwagi? — zapytał Krezus.

— Uznaje je, lecz nie czuje się dość silnym, aby znieść te prawidła.

— A jednak przeznacza znaczną sumę na świątynię naszą — rzekł Thanes — a uczynił to, jak mówi, w tym celu, aby wspierać sztukę grecką.

— Pięknie to z jego strony — odparł Krezus. — Bogi jednak greckie oszukały mnie srodze, gdy bowiem zapytałem, czy mam rozpocząć wojnę z Persyą, odpowiedziały mi, iż obalę wielkie państwo, jak tylko rzekę wielką przejdę.

— I Lidia twoja była wielkiem państwem, a więc wyrocznia spełniła się dosłownie — rzekła Rhodofis — czemu nie zapytałeś wyroczni, o jakiem państwie mówi?

— Masz słuszność, próżność własna mnie zgubiła, nie chciałem przypuścić, aby Lidią mógł ktoś zburzyć, wolałem mniemać, że Persyi grozi zagłada. Bogi wasze nie myliły się, ofiaruję na waszą świątynię cały talonton.*)

*) Talent (talonton) za Solona wart był około 15,000 rubli, w onym czasie nie było pieniędzy bitych, płacąc, ważono pewną ilość srebra, największą wagą był talent.

Fryksus z Delf podziękował, a Thanes rzekł:

— Lidyjczycy stworzą istotnie piękne dzieło, są żądni chwały i bogaci; nie tracę nadziei, że wypędzą tyranów i sami zawładną państwem; do ich bogactw przyczyniłeś się podobno ty, Krezusie!

— Opowiedz mi, jak to było? — prosiła Rhodofis.

— Ateńczyk Alkimeon przybył na mój dwór, gdy byłem jeszcze potężnym królem Lidyi—począł opowiadać Krezus — i zabawił czas dłuższy u mnie. Pewnego dnia pokazałem mu moje skarby, które wywołały w nim taką zazdrość, iż wpadł w rozpacz; nazywał się odtąd nędznym żebrakiem, utrzymywał, że dość byłoby jednej garści moich klejnotów, aby szczęście na zawsze kupić sobie. Pozwoliłem mu przeto nabrać ze skarbca mego tyle złota, ile tylko unieść zdoła. Alkimeon wciągnął wysokie buty na nogi, przypasał fartuch na plecy, wziął kosz i tak ustrojony udał się do mego skarbca; napełnił kosz, fartuch, buty kosztownościami. w usta nawet nabrał pieniędzy, głowę złotym proszkiem osypał, w każdą rękę wziął po kosztownym półmisku, i tak obładowany, próbował wyjść ze skarbca, lecz upadł pod ciężarem. Nie pamiętam, abym kiedy śmiał się tak serdecznie, jak wówczas.

— I pozwoliłeś mu zabrać te skarby? — spytała Rhodofis.

— Naturalnie, kochana przyjaciółko, zasłużył na nagrodę, nauczył mnie bowiem, iż złoto może ogłupić najmądrzejszego człowieka.

— Byłeś najhojniejszym z władców! — zawołał Thanes.

— A dziś jestem względnie zadowolonym żebrakiem — rzekł król Lidyi.

— Który jednak hojny datek złożył na naszą świątynię — odparł Thanes.

— A Psametyk cóż ofiarował?... — zapytało kilka głosów.

— Powiedział, że gdy będę zbierał składki na obalenie świątyń greckich, wówczas da dwa razy tyle, co dał Amazys — odparł delfijczyk.

— Nędznik — rzekł Krezus.

— Powiedz raczej: Egipcyanin, który nienawidzi cudzoziemców — rzekła Rhodofis.

— A ileż zebrali Grecy z Neukratis? — zapytał Thanes.

— Każda gmina ofiarowała po 20 min.

— To za wiele.

— Philosinus z Sybarysu przysłał 1000 drachm— rzekł Arystomachus. — Czy można przeczytać jego list? — zwrócił się z zapytaniem do Rhodofis.

Ona skinieniem głowy dała pozwolenie.

— Przekonacie się, iż tego hulakę boli jego postępek — rzekła.

— Czytajże, zwrócili się wszyscy do Delfijczyka, do którego list był przysłany.

— Fryksus zaczął czytać głośno:

Przykro mi, że na ostatniej wieczerzy u Rhodofis tak dużo piłem, moje przeklęte nieumiarkowanie

sprawiło, iż muszę się wyrzec nadal najwspanialszych zebrań w całym Egipcie, bo wiem, iż Rhodofis była ze mnie niezadowolona. Wdzięcznym nie przestanę być wszakże za miłe chwile spędzone u niej, a na pamiątkę wyśmienitej wołowej pieczeni, jaką u niej jadałem, posyłam ci 12 złotych rogów. Umieść je w skarbcu Delf, jako dar Rhodofis. Na składkę przeznaczam tysiąc drahm z warunkiem, aby ta ofiara została publicznie ogłoszoną. Pozdrów Rhodofis i Thanesa, a od dziś za rok przyjedź do mnie do Sybarysu na ucztę. Zwykle wcześnie rozsyłam zaproszenia, aby mieć czas na małe przygotowania. List ten dyktuję mojemu niewolnikowi, ile razy bowiem sam wezmę pióro do ręki, chwyta mnie natychmiast kurcz w palce.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, a Rhodofis rzekła:

— Mnie list ten sprawił przyjemność, gdyż przekonał, że Philosinus nie jest złym człowiekiem, lubo...

Nie dokończyła rozpoczętego zdania, gdyż na progu komnaty biesiadnej stanął niespodziany gość, Giges.

— Jestem synem Krezusa — rzekł młody człowiek głosem wzruszonym i podszedł z ukłonem do pani domu.

— Knabianie, miejsce dla nowego gościa! — zawołała Rhodofis, a zwróciwszy się do Gigesa, dodała uprzejmie:

— Bądź serdecznie pozdrowiony!

Na twarzy Krezusa malowało się niezadowolenie.

— Dlaczego opuściłeś Bartyę — rzekł surowo do syna —wszakże prosiłem cię, abyś czuwał nad nim... Jak ty wyglądasz!... Czy przytrafiło ci się jakie nieszczęście?... mów prędzej!...

Niepokój odbił się w jego oczach.

— Nieszczęście grozi dopiero—odparł Giges.— Nie opuściłbym powierzonego mi przez ciebie, ojcze, stanowiska, gdyby nie konieczność. Przybyłem tutaj, jak ptak złowróżbny, który spłoszy wesołość z waszych twarzy... Słuchajcie, czyha na was zdrada!

Obecni zerwali się z miejsc, Arystomachus położył bezwiednie dłoń na rękojeści miecza, a Thanes wyprostował ramiona, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nie opuściła ich dawna, atletyczna siła.

— Cóż nam grozi? — pytano.

— Wierny człowiek doniósł mi, że następca tronu rozkazał porwać kogoś z waszego kółka, a nawet w razie oporu zabić — odparł Giges — lękałem się o ciebie, ojcze, i dla tego pospieszyłem tutaj. Dom twój, Rhodofis, jest otoczony przez Egipcyan, widziałem w ogrodzie błyszczące z po za krzewów ostrza broni.

— Ważna wiadomość!—zawołał Knabian, wchodząc do sali i przerywając opowiadanie Gigesa. —

Spieszyłem ze dzbanem po świeżą wodę do rzeki — mówił dalej zdyszanym głosem — a wtem jakiś człowiek wpadł na mnie i omal nie przewrócił. Poznałem go, był to wioślarz Thanesa. Rzekł, że kąpał się w Nilu, gdy nagle ujrzał zbliżającą się barkę królewską, a w niej kilku ludzi. Ci, stanąwszy w przystani, pytali ludzi Thanesa komu służą.

„Thanesowi" — odparli. — Barka odbiła od brzegu, a jeden z siedzących w niej rzekł: — „A więc jest jeszcze tutaj, niebawem schwytamy ptaszka... Trzeba baczyć, aby nie uszedł. Hojną nagrodę obiecał nam za niego Psametyk."

Z niewzruszonym spokojem słuchał tej mowy Thanes, Rhodofis pobladła, a Arystomachus zawołał:

— Nie pozwolę, ażeby włos spadł z głowy mojego przyjaciela, chociażbym nawet miał cały Egipt do walki pobudzić, jeszcze go obronię.

Krezus radził ostrożność.

Wzruszenie opanowało wszystkich, nakoniec Thanes zabrał głos.

— W niebezpieczeństwie rozwaga najpotrzebniejsza — rzekł — zastanowiłem się nad mojem położeniem. Widzę, że uratować się jest niepodobieństwem. Egipcyanie wiedzą, że jutro mam opuścić Neukratis, lecz nie ustąpię stąd, póki mnie nie schwytają. Gdybym pozostał w tym domu, wtargnęliby tutaj przemocą. Okręt z Focydy, który ma mnie jutro stąd unieść,

jest zapewnie równie pilnie strzeżony, jak ten dom; ponieważ nie chcę, aby krew płynęła z mego powodu...

— Więc może dobrowolnie oddasz się w ręce Egipcyan? — przerwał mu Arystomachus.

— O, nie!... gdyż mam sposób ocalenia się. Jutro o wschodzie słońca odpływa mój okręt do Miletu, zbożem egipskiem wyładowany. Wypłynie nie z Neukratis, lecz z Kanopy; weźmiesz konia dzielnego — my zaś utorujemy ci drogę przez ogród.

— Nie damy sobie rady z siłami Egipcyan — rzekł Giges — jest nas tylko dziesięciu, a Egipcyan stu od stóp do głów uzbrojonych.

— Jesteś tchórzem — odparł Arystomachus — choćby ich było dwustu, pójdę bronić przyjaciela.

Thanes uścisnął mu rękę, Giges zbladł.

— Chodź ze mną, Spartaninie, mam ci coś do powiedzenia — rzekł do Thanesa, a gdy ten postąpił ku niemu, zwrócił się do Arystomachusa.

— Nie zarzucisz mi w przyszłości tchórzostwa — rzekł gniewnie.

Opuścili salę godową, a zebrani w niej wzrokiem się pytali, gdzie poszli; po chwili usłyszano tętent oddalającego się konia, a potem przeciągły świst i wołanie o pomoc od strony Nilu. W sali zapanowało głuche milczenie, wzrok Krezusa pełen był niepokoju.

— Gdzie Knabian? — zapytała Rhodofis.

— Wyszedł razem z Gigesem i Thanesem — odparł Teodorus.

Milczenie znowu zapanowało, nareszcie zmęczyło wszystkich. Rhodofis wstała, aby dowiedzieć się o starego niewolnika, lecz za nim doszła do drzwi, Knabian stanął przed nią.

Był blady i drżący.

— Gdzie syn mój? — zapytał Krezus.

— Gdzie Thanes? — pytała Rhodofis.

— Obaj przesyłają wam pożegnanie — odparł Knabian.

— Jakto, więc uszli?

— Tak, dzięki fortelowi... Thanes wziął ubranie Persa i jego spiczastą czapkę, Giges włożył hiton i okrył się płaszczem Spartanina — opowiadał Knabian. — Dotarłszy do furty ogrodu, Thanes wskoczył na konia, a tamten zawołał: „Bądź zdrów, Gigesie, bądź zdrów, kochany Persie, szczęśliwej podróży.” Spartanin znikł naraz z oczu, a myśmy wrócili do domu. Chwilę wsłuchiwał się Giges, czy Thanes pomocy nie zawoła; szczęk broni nas doszedł, lecz nic więcej: „Uszedł szczęśliwie — rzekł Giges — teraz zaprowadź mnie do łodzi Thanesa, a przyprowadziwszy, nazwij mnie głośno jego imieniem.” Odpowiedziałem mu, że to niebezpiecznie, bo wioślarze znają Thanesa. Wówczas kazał mi iść naprzód i zapowiedzieć, aby mnie przewieźli jako swego pana. Prosiłem, aby mi pozwolił zastąpić się, nie chciał o tem słyszeć; powiedział, że ruchy moje zdradziłyby mnie.

— Miał słuszność, tylko wolny człowiek stąpa prosto, z podniesioną głową, kark niewolnika zawsze bywa zgięty — rzekł Arystomachus.

— Lecz cóż się stało z moim synem? — zapytał Krezus.

Knabian westchnął.

— Odrzucił moją ofiarę, wsiadł do łodzi, poleciwszy mi przedtem, abym zaniósł ci, królu, tysiączne pozdrowienia. Gdy łódka odbiła od brzegu, zawołałem: „Bądź zdrów, Thanesie!” Wtem chmura zasłoniła księżyc i straciłem go z oczu. Naraz usłyszałem wołanie o pomoc, jakiś plusk złowrogi, potem długi świst, lecz krótko to trwało, poczem równomierne uderzenia wioseł doszły mnie znowu. Uspokojony, zwróciłem się ku domowi; już dochodziłem, gdy usłyszałem, że ktoś biegnie za mną. Obejrzawszy się, poznałem Sebeka, wioślarza Thanesa. Woda ciekła z niego strumieniem; powiedział mi, że Egipcyanie przedziurawili czółno Thanesa, że wskutek tego zaczęło tonąć, jak tylko wypłynęło na środek rzeki. Majtkowie poczęli wołać o pomoc, nadpłynęła barka królewska, lecz wcale nie w przychylnych zamiarach. Załoga jej porwała mniemanego Thanesa, a majtkom pomogła iść na dno rzeki. Potonęli wszyscy z wyjątkiem dzielnego pływaka — Sebeka.

— Więc Giges jest na statku królewskim, a Thanes uszedł szczęśliwie? — zapytał Arystomachus.

— W ogrodzie niema już nikogo, a na drodze do Sais słyszałem głosy powracających żołnie-

rzy — odparł Knabian — przypuszczać należy, że uciekł.

Goście Rhodofis z gorączkową ciekawością słuchali opowiadań starca. Na razie ucieszyła wszystkich wieść o szczęśliwej ucieczce Thanesa, potem jednakże przypomnieli sobie Gigesa i zatroszczyli się o los śmiałego Lidyjczyka. Wysławiano głośno jego odwagę, winszowano królowi takiego syna, nakoniec zgodzono się na jedno, że gdy omyłka wyjdzie na jaw, Psametyk nietylko będzie zmuszony wypuścić Gigesa na wolność, ale jeszcze dać mu odpowiednie zadośćuczynienie.

Uspokojony Krezus opuścił dom Rhodofis, Arystomachus pogonił za nim.

— Pozdrów ode mnie Gigesa, gdy go zobaczysz— rzekł, podawszy rękę staremu królowi — powiedz, iż pragnę, aby mnie nazwał swoim przyjacielem, albo wyzwał do walki. Starłbym chętnie broń moją z jego, jako z najszlachetniejszym nieprzyjacielem.

Nazajutrz o świcie, gdy jutrzenka przeglądała się jeszcze w świecących kroplach rosy, strojących liście i kwiaty ogrodu Rhodofis, wyszła z pałacu Greczynki stara niewolnica Melita i mała Safo.

Dziewczynka biegła naprzód, lekka jak motylek, świeża, jak w maju rozkwitła róża, z figlarnym uśmiechem

na twarzy. To nad kwiatkami się pochylała, aby je podziwiać, to ku wchodzącemu słońcu zwracała spojrzenie. Złote jej włosy wysuwały się z pod czerwonej chusteczki, którą miała na głowie, a białe ramiona co chwila się odsłaniały z szerokich rękawów rannego jej stroju. Spostrzegłszy świeżo rozkwitły pąk róży, zerwała go i rosą na nim błyszzzącą prysnęła w twarz starej niewolnicy, wybuchnąwszy przytem srebrzystym śmiechem.

— Cicho, nie śmiej się tak głośno, zdaje się, że ktoś kołacze do furty ogrodowej! — rzekła niewolnica.

Safo ucichła.

— Słyszałam tętent konia przed chwilą — rzekła — ktoś przyjechał. O tak wczesnej porze, to rzecz dziwna... Chybaby Thanes... Poczciwy, może chce się ze mną pożegnać, wczoraj nie byłam na uczcie.

— Thanesa już niema — odparła stara poważnie — to ktoś obcy; idź do domu. Wiesz przecie, iż Rhodofis nie pozwala ci obcych spotykać.

Safo oddaliła się, lecz zamiast wrócić do domu, ukryła się za krzewem róży. Ciekawa była wczesnego gościa.

— A może to Thanes — myślała — wybiegnę wówczas z ukrycia i rzucę mu się na szyję.

Tymczasem Melita podążyła do furty. Do ogrodu wszedł zamiast starego Spartanina jakiś młodzie-

niec, najwięcej szesnastoletni. Suknia jego błyszczała od złota, na piersiach miał gwiazdę, świecącą klejnotami.

Łamaną greczyzną przybysz zapytał o Krezusa i jego syna. Teraz dopiero dowiedziała się Safo o smutnem zakończeniu wczorajszej uczty i zadrżała o Thanesa. Dla Gigesa poczuła wdzięczność i dla tego obcego, który zdawał się bardzo interesować losem jej starego przyjaciela. Wielce też ciekawą była dowiedzieć się, kim on być może.

— Czyżby to był Pers, jeden z tych, którzy przyjechali po córkę Faraona? — pytała się w duchu.

Mileta oddaliła się, aby uwiadomić Rhodofis o przybyciu gościa. Dziewczynkę zdjął strach, gdy została sama z nieznajomym. Postanowiła uciec z ogrodu i w tym celu wyskoczyła z za krzewu, lecz niestety, suknia jej uczepiła się kolczastych gałęzi róży. Młody człowiek spostrzegł to i pospieszył jej z pomocą. Safo zaczerwieniła się, lecz niebawem odzyskała odwagę, roześmiała się i wesoła, swobodna pobiegła szybko ku domowi. Tymczasem nieznajomy pogonił za nią i drogę jej zastąpił.

— Kto jesteś?—zapytał.

— Safo, wnuczka Rhodofis — odparła dziewczynka, hardo główkę podniósłszy — babcia nie pozwala mi z obcymi rozmawiać.

— Lecz zapewne i niegrzeczną względem nich być ci zabroniła — rzekł obcy — odczepiłem ci suknię

a nie podziękowałaś mi nawet... Daj mi tę różę w nagrodę.

Safo spełniła jego życzenie.

— Więc ci nie wolno z obcymi rozmawiać?

— Greczynką jestem, nie wolno mi nikogo widywać prócz babki, Milety i Thanesa — odparła mała.

— A czy nie masz jakiej towarzyszki, przyjaciółki?

— Ani jednej.

— Biedne dziecko!... Gdybyś mieszkała u nas, znalazłbym ci łatwo przyjaciółkę. Mam siostrę w twoim wieku, Atosa jej na imię.

— Szkoda, że jej nie przywiozłeś ze sobą — odparła Safo — a tobie jak na imię?

— Bartya — odparł Pers z uśmiechem.

— Ładne imię — rzekła Safo. — Czyś ty Pers?

— Tak.

Dziewczynka cofnęła się.

— Boisz się Persów?

— Boję się, oni nie czczą bogów—odparła Safo— nie stawiają świątyń i posągów.

— Alboż posąg—to Bóg — rzekł Bartya. — My czcimy bóstwa; człowiek, który w Boga nie wierzy, to nie człowiek. Nie stawiamy świątyń, gdyż wierzymy, że świat cały jest świątynią bóstwa najwyższego, które jest wszędzie.

— Więc gdzie się modlicie i składacie ofiary?

— Na wierzchołkach gór. Tam jesteśmy najbliżej Mitry, twórczego słońca i Ormuzda, jasnego światła. Tam najpóźniej się ściemnia i najwcześniej dzień świta. Czy stałaś kiedy na wierzchołku góry?... Ach! jak tam pięknie...

— Chciałabym kiedy pójść z tobą na wierzchołek góry — odparła Safo — lecz babka już mnie woła, muszę być posłuszną.

— Za różę weź ode mnie tę gwiazdę — rzekł Bartya — dostałem ją od ojca, gdy pierwszego niedźwiedzia zabiłem.

To mówiąc, zdjął z piersi łańcuch, na którym miał zawieszoną brylantową gwiazdę i włożył ją na szyję Safo.

— A babcia nie będzie się gniewała? — zapytała dziewczynka — to taki kosztowny dar!...

— Powiesz jej, że dał ci tę gwiazdę królewicz perski — odparł Bartya.

Mała oniemiała na chwilę ze zdziwienia.

— Królewicz — powtórzyła, patrząc ciekawie na stojącego przed nią — ja pierwszy raz widzę królewicza.

— Safo! — dało się słyszeć wołanie.

— Idę! — odparło dziewczę i skinąwszy wdzięcznie główką Bartyi, zniknęło w drzwiach domu.

W chwilę potem królewicz ujrzał spieszącą ku niemu Rhodofis.

Przyjęła go bardzo uprzejmie i opowiedziała o losie jego przyjaciela.

Bartya odjechał natychmiast. W drodze spotkał Daryusza i Zefirusa, którzy spostrzegłszy jego tajemniczą wycieczkę, udali się za nim.

Krezus po powrocie do Sais udał się natychmiast do króla i opowiedział mu zgodnie z prawdą, czego się dopuścił jego syn i jaki los go spotkał. Amazys zapewnił gościa, że Giges zostanie natychmiast uwolniony. Gdy Krezus oddalił się, posłał po syna.

Psametyk stanął przed nim blady i posępny.

— Chytry Grek nie dał się zgnębić prostodusznemu Egipcyaninowi — rzekł z tryumfem Amazys — oddałbym chętnie dziesięć miast w mojem państwie, gdybym mógł widzieć twoją minę, gdyś zamiast Spartanina pochwycił tego jąkałę — Gigesa.

Psametyk niespokojnie patrzył przed siebie.

— Więc ciebie cieszy, ojcze, moje upokorzenie — rzekł z wymówką — gdyby mi nie szło o Kambyzesa, ten przeklęty Lidyjczyk już by nie żył — dodał z gniewem. — Nikczemni, odpokutują oni jeszcze za zniewagę syna królewskiego!

— Nie lżyj tych, którzy są mądrzejsi od ciebie— odparł Amazys.

— Mądrzejsi — powtórzył z gniewem Psametyk. — O, nie, mój plan był wielce zręczny... Nie byłby mi uszedł z pewnością ten lis, gdyby wbrew wszelkim przewidywaniom poseł obcego mocarstwa nie był się poświęcił dla jego ocalenia... Proszę cię, oj-

cze, abyś dla zadość uczynienia mi, zażądał od króla perskiego ukarania Gigesa, który przeszkodził Egipcyanom spełnić twoje rozkazy. Takie przestępstwa bywają w Persyi surowo karane.

— Nie mam zamiaru donosić Kambyzesowi o tej błahej przygodzie — rzekł Amazys — przyznaję nawet, że cieszy mnie ucieczka Thanesa, czuję wdzięczność dla Lidyjczyka, iż uwolnił mnie od wyrzutów sumienia, nie pozwalając przelać krwi niewinnego człowieka, który był moim przyjacielem.

— Jakto, więc zamilczysz o tem zdarzeniu przed Kambyzesem? — zapytał Psametyk.

— Niezupełnie — odparł Amazys — doniosę mu, że niejaki Thanes, wygnany przeze mnie, będzie nasz dwór przez zemstę oczerniał.

— A ja mam strawić wyrządzoną mi zniewagę?... Odmawiasz mi, ojcze, wszelkiego zadość uczynienia? — zapytał głosem wzburzonym królewicz.

— Powiedziałem już, co zrobię — odparł Amazys.

— Idę więc na skargę do kapłanów... Czy wiesz, ojcze, że mamy sprzymierzeńca w lekarzu Nebeuchazysie.

Amazys pobladł, a Psametak ciągnął dalej.

— Posłałeś tego człowieka do oddalonej Persyi, ponieważ znał tajemnicę pochodzenia mojej tak zwanej siostry. Nie przypuszczałeś wówczas, iż król Persów zażąda ręki twej córki. Wszystkie papiery Nebeuchazysa są w moich rękach, wraz z listem twoim

własnoręcznym do ojca Nebeuchazysa, w którym obiecujesz mu tysiąc sztuk złota, jeśli nie zdradzi, iż Nitetis nie jest twoją córką.

Amazys zwiesił głowę na piersi.

— U kogo są te papiery? — zapytał posępnie.

— U arcykapłana — odparł Psametyk.

— Więc żądasz, abym wymógł na Kambyzesie ukaranie Gigesa?

— I pozwolił mi ścigać Thanesa — dodał Psametyk.

Amazys zamyślił się.

— Dobrze — rzekł po chwili — lecz wzamian musicie oddać mi list, który pisałem do lekarza. Spokojnym nie będę o siebie, dopóki ten list będzie w rękach arcykapłana.

Psametyk przyklęknął.

— List dziś jeszcze mieć będziesz, ojcze! — rzekł uroczyście — ale...

Amazys porwał się z krzesła.

— Żadnych a żadnych warunków!... Wstań i odejdź, nie chcę tych oznak szacunku, bo szczere nie są! — wykrzyknął.

— Wczoraj odzyskałem syna, dziś straciłem go znowu. Idź do wróżbitów, niech ci ojca zastąpią. Powiedz Neithotepowi, że dziś uległem, lecz strzeżcie się mnie w przyszłości... Jeszcze wam pokażę, że jestem królem i panem Egiptu...

Następca tronu oddalił się zmieszany. Najprzód udał się do wojska i polecił wyprawić Murzynów, krórzy dokonali zamachu na nieznanego Thanesa z powrotem do ich ojczyzny, a pułkownika ich skazał na śmierć. Następnie pospieszył do Neithotepa i powtórzył mu całą rozmowę z ojcem.

Arcykapłan zamyślił się nad pogróżkami króla i prędko odprawił królewicza, który rozdrażniony powrócił do swego mieszkania... Nieudana zemsta, ponowne zerwanie z ojcem, śmieszność, jaką się okrył w oczach ludzi, poczucie zależności od kapłanów, nakoniec wiara w złowróżbną przepowiednię, która towarzyszyła jego urodzeniu, wszystko to razem cisnęło się do jego głowy. Czuł się zgnębionym, pragnął wśród najbliższych odpocząć.

Z rodziny, złożonej niegdyś z żony i pięciorga dzieci, została mu tylko córka i mały synek, którego nadewszystko i wszystkich kochał. Błyszczące oczka i uśmiechnięta buzia malca, potrafiły jedynie rozgrzewać kamienne serce Psametyka i pocieszać go w każdej trosce, do niego więc pospieszył.

— Gdzie syn mój? — zapytał dworzanina, stojącego u wejścia do pałacu.

— Król Amazys przysłał przed chwilą po księcia Nechao i jego piastunkę — odpowiedział jeden z niewolników i zgiąwszy się w pół, podał mu zwitek papieru zapieczętowany.

— Rozkazał jednocześnie oddać ci ten list — dodał.

Psametyk rozerwał pieczęć z godłem Faraona i zaczął czytać.

„Zabieram twego syna do siebie, aby wyrósł na zacnego króla — pisał Amazys — aby pamiętał, co winien ojczyźnie i sobie samemu... Jeśli zechcesz widzieć Nechao, bronić ci tego nie będę, lecz będziesz musiał uprzedzić mnie zawsze pierwej o twojem żądaniu, bez mego bowiem pozwolenia nie wejdziesz do dziecka pokoju."

Psametyk zagryzł usta aż do krwi, walczył ze sobą, aby nie zdradzić cierpienia przed dworzaninem i niewolnikami. Czuł, iż żal tak wielki wzbiera w jego piersi, że gotów łzami wybuchnąć, więc krzyknął na strzelców, aby przygotowali psy, łuki i lance. Po chwili, wskoczywszy na wóz lekki, udał się w stronę pustyni, aby gniew swój wywrzyć na dzikiej zwierzynie.

Giges został wypuszczony na wolność, a Amazys podwojoną uprzejmością starał się zatrzeć w jego pamięci przykre zajście: podarował mu kosztowny wóz, zaprzężony w dwa szlachetnej krwi rumaki, pięknej roboty warcaby i małe kręgielki z kości słoniowej i hebanu misternie rzeźbione. Król żartował razem z gośćmi z podstępu Gigesa, zapraszał młodych Persów jak i dawniej na pokoje królowej, jednem słowem niczem nie okazywał, aby miał czuć jaką urazę do swych gości. To też gdy dnia jednego oznajmił, iż za dwa tygodnie Nitetis uda się do Azyi, Persowie zaczęli ubolewać, że zbliża się koniec miłej gościny.

Krezus polubił niezmiernie towarzystwo Amazysa, Giges samijskiego poety i rzeźbiarza, Daryusz zaznajomił się z arcykapłanem, który zapoznawał go z nauką astronomii. Spędzał on codziennie długie godziny w towarzystwie starca. Psametyk niechętnie patrzał na te odwiedziny i zapytał raz Neithotepa:

— Jak możesz wprowadzać cudzoziemca w świat tajemnic, Egipcyanom tylko znany?

— Mylisz się, uczę go rzeczy, które znane są każdemu Chaldelczykowi w Babilonie, a jednocześnie zyskuję przyjaciela w człowieku, którego w przyszłości bardzo potrzebować będziemy — odparł spokojnie arcykapłan — gwiazda Daryusza świeci jasna, zostanie on z czasem potężnym władcą... — pamiętaj o tem. — Mądry nie myśli tylko o teraźniejszości, lecz bacznie w przyszłość spogląda. Badałem gwiazdę Daryusza i wywróżyła, że młoda ta roślina wyrośnie w drzewo wielkie, potężne.

Podczas, gdy przyjaciele Bartyi zabawiali się, jeden astronomią, drugi sztukami pięknemi, a inni polowali na pelikany, królewicz spędzał miłe chwile w domu Rhodofis, która go zachwycała rozumem i zacnością swoją. Safo przyznała się babce, jak wypadkowo poznała królewicza i jaki piękny podarek otrzymała od niego, więc babka przywoływała często dziewczynkę, gdy Bartya przyszedł ją odwiedzić. Mała po kilka godzin bawiła się z młodzianem w różne gry i zabawy, za co on polubił niezmiernie to miłe dziecko.

Raz rzekł do dziewczynki:

— Czy chciałabyś być królową?

— Królową?... Ależ to wielkie szczęście! — odparła.

— Gdy zasiądę na tronie perskim, przyślę po ciebie poselstwo — rzekł Bartya.

Safo roześmiała się.

— Czy słyszałaś, babciu?... będę królową—rzekła, zwróciwszy się do Rhodofis.

Lecz twarz Greczynki bynajmniej radości nie wyrażała.

— Bywają korony bardzo ciężkie — odparła — nie pragnij, dziecię, tego klejnotu, bo rzadko komu szczęście przynosi.

To powiedziawszy, objęła wnuczkę ramieniem i przytuliła do piersi, jak gdyby obronić chciała przed niebezpieczeństwem.

W pałacu Amazysa nikt nie domyślał się, gdzie Bartya spędza wolne godziny.

Fachot gorąco kochała Nitetis. Myśl rozstania się z siostrą przykrą jej była. Jakżeby rada była podążyć za Nitetis do Persyi!... Zwierzyła się siostrze ze swych trosk, lecz ta pocieszyła ją, że gdy zostanie królową Persyi, namówi Bartyę, aby wybrał się po raz wtóry do Egiptu po Fachot.

Dziewczęta budowały zamki na lodzie i roiły o czasach, w których jak bratowe mieszkać będą razem na dworze perskim.

Nareszcie nastał dzień odjazdu Nitetis. Rodzina, dwór i tłum ludu odprowadzili ją do portu. Lud żegnał z żalem córkę Faraona. Pokazało się, że mimo podżegań kapłanów, Amazys posiadał miłość ludu. Gdy statki odbiły od brzegu, niejedno przekleństwo pogoniło za cudzoziemcami, ktorzy uwieźli ze sobą córkę Amazysa, a gdy Fachot, łkając, wyciągnęła ramiona za oddalającymi się, a król, chcąc ukoić jej żal, objął ją ramieniem i ucałował czule, lud wykrzyknął:

— Niech żyje Amazys!

Zazdrośnie przysłuchiwał się tym wołaniom Psametyk. Obecny tej scenie arcykapłan ujął królewicza za rękę i do ojca przyprowadziwszy, dłonie ich złączył. Drgnęło dobre serce króla, przebaczył krnąbrnemu synowi i przycisnął go również do serca.

Neithotep rzekł głosem uroczystym:

— Niech Izyda ześle na was spokój, szczęście i dobrobyt!

— Czy odebrałeś list z papierów Nabeuchetego? — zapytał Amazys syna, któremu przyszła na myśl nieszczęsna tajemnica.

— Wszak okręt korsarski ściga Thanesa, on jeden przedstawia niebezpieczeństwo. Pewien być możesz, iż pochwyconym zostanie — odparł arcykapłan.

Amazys westchnął i zgnębiony podążył do pałacu.

* * *

Zamieszkali w Neukratis Grecy żegnali uroczyście córkę Faraona. Dziewice greckie ofiarowały jej złoty dyadem, ozdobiony fijołkami. Safo, uznana jednogłośnie za najpiękniejszą, podała królewnie ten ślubny wieniec. Nitetis uścisnęła ją serdecznie. Safo chciała wzrokiem poszukać Bartyi, aby go pożegnać, lecz w tej chwili wioślarze za wiosła ujęli, i dzieweczka musiała spiesznie opuścić statek.

Z brzegu więc tylko chustką powiała, a królewicz tym samym znakiem ją pożegnał.

Wróciwszy do domu, zmówiła modlitwę do Afrodyty, patronki podróżnych.

IV.

W pięknej alei ogrodu królewskiego, która prowadziła do Babilonu, posuwał się długi korowód, złożony z jeźdźców pieszych, konnych i wozów... Pod złoconym dachem obszernej lektyki siedziała Nitetis, córka Faraona, a obok na dzielnych rumakach jechali znani nam już młodzi Persowie i stary król lidyjski z synem. Dalej posuwało się 50 paradnych ekwipaży, należących do różnych osób dworu Kambyzesa, długie szeregi wojsk pieszych i konnych, nakoniec wozy wyładowane ciężko sprzętami różnymi i naczyniami, lub służbą królewską zajęte.

Droga biegła wśród pięknie uprawnych łanów pszenicy i jęczmienia, wśród palm daktylowych i winogron ze zwieszającymi się soczystemi kiściami.

Liczne kanały i rowy przecinały uprawne pola, w których gromadzili Babilończycy wodę podczas

deszczu, aby mieć czem zwilżać ziemię, gdy nastaną dni suszy.

Mimo chłodnej pory słońce jasno świeciło i odbijało się w falach bystrej rzeki, zdobnej tysiącem większych i mniejszych łodzi, które wiozły do Babilonu zdobycze z różnych państw.

Niezmiernie staranna uprawa pól, ożywiona żegluga, zamożne wioski, rozsypane po wybrzeżu Eufratu, dowodziły, że podróżni znajdują się w centrum wysokiej kultury.

Po kilku chwilach ukazał się w dali długi, murowany budynek, pokryty warstwą smoły. Krezus, zbliżywszy się do Nitetis, rzekł:

— Oto ostatnia stacya.

I wzrokiem wskazał dom.

Orszak dotarł niebawem do stacyi.

— Nim słońce zajdzie, staniemy u bram Babilonu — dodał Krezus. Na horyzoncie już widać wieżę sławnej świątyni Bela, która po waszych piramidach jest bez zaprzeczenia najpiękniejszem dziełem rąk ludzkich.

To mówiąc, pomógł wysiąść Nitetis.

— Odwagi, dziecko — rzekł serdecznym tonem, spostrzegł bowiem, że w oczach królowej łzy błyszczą — wspomnij rady, których udzielałem ci podczas podróży, a wszystko będzie dobrze!

— Jakże mam ci podziękować, drugi mój ojcze i zacny doradco! — wzruszonym głosem odparła

Nitetis — o, nie opuszczaj mnie i nadal, bądź zawsze moim opiekunem i przewodnikiem!

Przy tych słowach zarzuciła białe rączki na szyję starca i jak strwożona ptaszyna, przytuliła się do niego.

W tej samej chwili drzwi długiego budynku rozwarły się i na spotkanie podróżnych wyszedł jakiś człowiek. Był to przełożony niewolników, wysłany przez Kambyzesa naprzeciw przyszłej jego żony, jeden z najpierwszych urzędników królewskich.

Pełna jego twarz uśmiechała się uprzejmie, z uszu zwieszały się kosztowne zausznice, złote obrączki zdobiły jego ręce i nogi, suknia błyszczała od klejnotów, a woń różnych olejków już zdala biła od niego.

— Kambyzes, król Persyi i pan świata, przesyła ci przeze mnie pierwsze pozdrowienie, królowo — rzekł, chyląc głowę na znak szacunku przed Egipcyanką — przywiozłem też od króla dar wspaniały dla ciebie: szaty niewiast perskich, abyś odziana jak królowa, stanęła przed obliczem twego pana i władcy. Znajdziesz wszystko w tym domu, gdzie czekają na ciebie służebnice... Pójdę oznajmić im o twojem przybyciu.

To powiedziawszy, oddalił się, a do Nitetis przystąpił właściciel domu i ofiarował jej kosz najpiękniejszych owoców perskich, oświadczając, że czuje

się wielce szczęśliwym, iż córka Faraona spocznie pod jego dachem.

Nitetis udała się do wskazanej jej komnaty i zaczęła się przebierać, tymczasem służba jej, zsiadłszy z wozów, zabrała się do przygotowania obiadu. Wkrótce wspaniale zastawiony stół oczekiwał na zgłodniałych podróżnych.

Co tylko służyć mogło do wygody i przyjemności, zaczynając od kosztownego, nieprzemakalnego namiotu, aż do złotego podnóżka, to wszystko wieziono ze sobą na wozach. Obok kucharzy, piekarzy, krojczych, siedzieli także służący, przeznaczeni do przyrządzania wonnych olejków, wicia wieńców i trefienia włosów. Co cztery mile, oczekiwały przytem na podróżnych dobrze urządzone oberże, w których zmieniano konie, przepędzano gorące godziny południa, lub znajdowano przytułek podczas burz i zawiei.

Te zajazdy perskie powstały za Cyrusa, który urządzeniem wygodnych dróg starał się ułatwić komunikacye w olbrzymiem swojem państwie. On również zaprowadził w Persyi pocztę. Od stacyi do stacyi dniem i nocą pędzili konni posłańcy, wioząc listy. Ci posłańcy uważani byli za najpierwszych jeźdźców w świecie całym.

Gdy przebrana w szaty perskie Nitetis ukazała się w namiocie, w którym zastawiono stół do obiadu, szmer zachwytu dał się słyszeć. Zapłoniła się biedaczka i oczy spuściła. Wnet atoli odzyskała

śmiałość. Uszanowanie, którem Persowie otaczali ją podczas podróży, a przytem rady Krezusa i przykład, jaki stawiała sobie przed oczyma, przypominając pełną godności królowę egipską, zmieniły nieśmiałą dziewczynkę, w pełną powagi i pewności siebie kobietę. Podniósłszy dumnie głowę, zwróciła się do Rogesa.

— Spełniłeś gorliwie swój obowiązek — rzekła uprzejmym, lecz wymuszonym tonem — jestem zadowoloną ze stroju i z wyboru służebnic. Nieomieszkam powiedzieć o tem królewskiemu małżonkowi, tymczasem przyjmij w nagrodę ten złoty łańcuch.

Roges spojrzał zdziwiony. Żony Kambyzesa, azyatki rodem, do niewolnictwa nawykłe, zwykle z pokorą zwracały się do niego, uważały go za drugiego swego pana.

Pierwszy raz spotykał się z dumą kobiecą, nie wiedział, co o tem myśleć.

Niepewny jednakże, jak się spodoba to postępowanie Kambyzesowi, skłonił się poraz wtóry przed Nitetis i słowa podziękowania wymówił. Lecz ona już nie patrzyła na niego, albowiem podeszła do Krezusa.

— Ciebie, drogi przyjacielu, ani słowem, ani żadnym darem dostatecznie nagrodzić nie mogę — rzekła — weź jednakże ten skromny pierścionek, który stanowi drogą dla mnie pamiątkę: mędrzec Pytagores, w czasie bytności w Egipcie, ofiarował go

podobno mojej matce, ona zaś w dniu rozstania włożyła mi go na palec. W turkusie złotnik wyrył liczbę siedem, oznaczającą u nas zdrowie ducha i ciała.

To rzekłszy, podała Krezusowi złoty pierścionek.

Roges uważnie przysłuchiwał się słowom młodej królowej, a w oczach jego migotały jakieś złowrogie blaski.

Podczas obiadu Bartya nie odstępował przyszłej bratowej, zobowiązując ją sobie rozmową, co sprawiało Nitetis wielką przyjemność.

Wspomniała Fachot i pokazała królewiczowi piękny amulet z lapis lazuli, który miała przy sobie.

— Zapewnia ten amulet słodkie, ciche szczęście temu, kto go posiada — mówiła — z płaczem podarowała mi go siostrzyczka... O, biedna moja Fachot, będzie tęskniła za mną!... Weź ten amulet ode mnie na pamiątkę... Ręczę, że nie pogniewa się o to siostra moja, lubiła cię bardzo...

Bartya przyjął dar z wdzięcznością.

— Powinna cię kiedy odwiedzić — rzekł — rozkaż, a pojadę po twoją siostrę.

— Może cię kiedy o to poproszę—odparła Nitetis.

Roges i teraz uważnie śledził królowę i chwytał jej słowa. Nie wszystkie dosłyszał, lecz widział, jak dawała królewiczowi amulet, słyszał, jak

go zapewniała, iż szczęście daje on temu, kto go posiada.

Po obiedzie Nitetis rozdała upominki wszystkim obecnym, poczem zwróciła się do Krezusa:

— Proszę, odprowadź mnie do powozu, czas jechać — rzekła.

Starzec pospieszył na jej wezwanie.

— Czyś zadowolony ze mnie? — zapytała go zniżonym głosem.

— Zajmiesz pierwsze miejsce po królewskiej matce na dworze perskim, wróżę ci to — odparł Krezus. — Uprzejmością i darami zdobyłaś sobie serca całego twego otoczenia, a Kambyzesa łaski zyskasz uczciwością swoją. Pokorne niewolnice, którymi jest otoczony, to nie towarzyszki życia... Lecz cóż to? — wykrzyknął naraz — od strony miasta widać tumany kurzu, czy to nie Kambyzes wyjechał na twoje spotkanie?

Nitetis zbladła i wsparła się nawpół omdlała na ramieniu Krezusa.

— Odwagi, dziecko, lepszy on, niż mówią o nim — szepnął jej do ucha Krezus i umieścił w powozie. — Na koń, przyjaciele! — krzyknął, zwróciwszy się do towarzyszy — król jedzie naprzeciwko nas!

Orszak ruszył z miejsca. Nitetis otrząsnęła się już z wrażenia, napozór siedziała wyprostowana i dumna w złotym powozie, obiema rękami przyciskając gwałtownie bijące serce.

Tumany kurzawy zbliżały się z każdą chwilą.

Z szarych obłoków wynurzyły się jakieś postacie, zniknęły za kępą drzew na zakręcie drogi i ukazały się znowu, już bardzo blizko i bardzo wyraźnie. Cały orszak przedstawiał różnobarwną, błyszczącą masę, złożoną z ludzi, koni, purpury, złota i drogich kamieni. Na przodzie orszaku widać było jeźdźca na czarnym koniu. Piękny ogier czarny, jak kruk, próbował chwilami ponosić jeźdźca, ale żelazna ręka umiała zawsze w porę go pohamować, a silne kolana ściskały tak mocno konia, że szlachetne zwierzę drżało całem ciałem. Jeździec miał na sobie długą, szkarłatną szatę wschodnią, srebrem haftowaną, buty żółte; u złotego pasa, który mu obciskał biodra, wisiał miecz z rękojeścią, wysadzaną drogiemi kamieniami; na głowie błyszczała tyara, opasana białą w niebieskie pasy wstęgą, znak Achamenidów. Krucze bujne włosy sięgały ramion jeźdźca; twarz miał bladą; z czarnych jego oczów tryskał ogień posępny; ogromna, czarna broda spływała na jego piersi. Gdyby nie czerwona szeroka blizna, która przecinała jego czoło, pamiątka z jakiejś bitwy, zakrzywiony nos i wązkie wargi, pięknym nazwaćby go było można.

Cała postać nosiła na sobie piętno siły najwyższej i niezmiernej dumy.

Nitetis odgadła przeczuciem, że to pan jej życia i śmierci. Podniósłszy na niego oczy, nie mogła już oderwać spojrzenia od tego człowieka, którego siła

i potęga olśniły ją i przygniatały zarazem. Czuła, że ludzkość cała musi mu służyć i ulegać, nie zdawała sobie sprawy, czy tak powinien wyglądać straszny Sat, ojciec wszystkiego złego, czy też dobry Ra, dawca światła i ciepła. Rumieniec i bladość przechodziły kolejno po jej obliczu.

Oczy Kambyzesa zwróciły się na nią. Nitetis nie spuściła powiek, a chociaż drżała ze strachu, pomna na rady Krezusa, nie spuszczała czoła pokornie.

Spojrzenie króla poczęło łagodnieć, ona jednakże nie zmieniła postawy; nakoniec skinął jej ręką na znak powitania, poczem bliżej podjechał. Persowie, którzy razem z Nitetis przybyli, pozsiadali z koni. Część ich rzuciła się na kolana przed władcą, część zaś, złożywszy ręce na piersiach, głowy tylko pochyliła.

Kambyzes zsiadł powoli z konia, służba rozesłała na ziemi ponsowe sukno, na które król wstąpił i począł się witać z przyjaciółmi, oraz krewnymi, podając im usta do pocałunku; poczem wezwał Krezusa, aby towarzyszył mu, jako tłumacz, do pojazdu Nitetis.

— Podoba mi się, bo piękną jest — rzekł do króla lidyjskiego — lecz chciałbym z nią pomówić, aby ocenić wartość jej duszy. Musisz więc tłumaczyć mi wiernie, co będzie odpowiadała na moje pytania.

Nitetis usłyszała, co król mówił i zanim Krezus zdążył dać odpowiedź, odezwała się sama łamaną perszczyzną:

— Jakżeż mam bogom dziękować, żem znalazła łaskę w twoich oczach, panie. Znam nieco mowę twoją, bo szlachetny Krezus uczył mnie jej w czasie podróży. Przebacz, iż płynnie odpowiedzieć nie umiem, gdyż nauka trwała zbyt krótko.

Uśmiech rozjaśnił surowe oblicze króla. Zdziwiła go i ucieszyła pilność, oraz zdolność Nitetis. W ojczyźnie swojej widywał tylko leniwe kobiety, zajmujące swój tępy umysł jedynie strojami lub intrygami. To też odpowiedział z widocznem zadowoleniem:

— Cieszy mnie to, iż możemy rozmawiać bez pośredników; staraj się poznawać codzień lepiej mowę moich przodków, w czem i nadal może ci dopomagać mój przyjaciel Krezus.

— Uszczęśliwiasz mnie tym rozkazem — zawołał starzec — nie mógłbym znaleźć pilniejszej i zdolniejszej uczennicy nad córkę Amazysa.

— Usprawiedliwia ona dawną sławę egipskiej mądrości — rzekł król — ufam, iż okaże się równie chciwą nauki naszych magów, którzy ją wtajemniczą w zasady naszej wiary.

Nitetis spuściła oczy; przybliżyło się to, czego najwięcej się obawiała: swoich bogów miała porzucić.

Kambyzes spostrzegł jej wzruszenie.

— Matka moja nauczy cię, jakie są obowiązki moich żon — rzekł łagodnie — sam cię do niej zaprowadzę. Nie wątpię, że ją pokochasz, a przez nią i wszystko, co ona kocha... Zanim ruszymy w dalszą drogę, dam ci jedną radę: bądź uprzejmą dla Rogesa, którego wysłałem naprzeciw ciebie. Wiedz, iż w wielu razach będziesz musiała mu być posłuszną, jako przełożonemu wszystkich kobiet mego dworu.

— Niech Roges rozkazuje wszystkim kobietom twego dworu, gdy taka twoja wola, panie, ale ja mu ulegać nie będę — odparła Nitetis, głowę dumnie znowu podniósłszy.

— Jam małżonka twoja — mówiła dalej — od nikogo prócz ciebie rozkazów przyjmować nie powinnam. Będę słuchała każdego twego skinienia, lecz pamiętaj, żem córka królewska i że pochodzę z kraju, w którym kobiety są szanowane... Tobie, memu władcy, ulegać będę, ale nikomu więcej...

Zdumienie Kambyzesa wzrosło: żadnej kobiety prócz matki swojej nie słyszał nigdy podobnie mówiącej. Duma zjednała dumę, skinął głową i rzekł:

— Masz słuszność, otrzymasz oddzielne mieszkanie, prócz mnie nikt rozkazywać ci nie będzie. Dziś jeszcze każę ci przygotować komnaty nad wiszącymi ogrodami.

— Tysiączne dzięki!—zawołała Nitetis.—O, nie wiesz, jak mnie uszczęśliwiłeś!... Brat twój Bartya tyle mi opowiadał o wiszących tutejszych ogrodach...

O, jakże się cieszę, że ja w nich codzień będę się przechadzała, jak sławna niegdyś królowa Semiramis.

— Jutro obejmiesz nowe mieszkanie, a teraz powiedz mi, jakie wrażenie sprawili moi posłowie w Egipcie — rzekł Kambyzes.

— Wzbudzili zachwyt, lecz brat twój podobał się najbardziej ze wszystkich — odparła Nitetis. — Egipcyanie nie lubią cudzoziemców, jednakże Bartya zdobył serca wszystkich, bo też w istocie jest pięknym, dobrym i rozumnym.

— Ruszamy w drogę! — rzekł głośno Kambyzes tonem nieco podrażnionym i postąpił do swego rumaka.

Najwięksi dostojnicy skoczyli pomódz królowi. On skinął i orszak ruszył powolnym krokiem ku stolicy. Wzrok Kambyzesa był posępny, a koń szarpał się i zrywał niespokojnie, gdyż pan ściskał go kolanami i bódł ostrogą.

— Czegoś wpadł w gniew — szepnął sam do siebie Roges — podobno Egipcyanka nie dobre na nim wrażenie zrobiła.

I brzydka radość zaświeciła w jego oczach.

* * *

Chociaż królewna egipska przyzwyczajoną była do wielkich budowli, jednakże olbrzymi Babilon

wprowadził ją w podziw... Mury miasta zdawały się nie do zdobycia, wysokość ich wynosiła 50 łokci, a tak były grube, że dwa wozy swobodnie mogły się na nich mijać; nad murami wznosiło się 250 wieżyczek.

Stolica rozciągała się po obu stronach rzeki Eufratu, obwód jej wynosił 9 mil; wiele gmachów przechodziło wielkością piramidy egipskie. Przed dostojnymi gośćmi otwarła się wielka, wysoka na 50 łokci brama, przy której, jakby na straży, stał ogromny kamienny wół z ludzką głową. Miasto na cześć Nitetis przybrało świąteczne szaty; zebrane na ulicach tłumy mieszkańców na widok króla i świetnego orszaku wydały długi okrzyk radości, który spotęgował się jeszcze za zbliżeniem ulubieńca ludu, Bartyi. Kambyzesa dawno nie widzieli: zwyczajem medyjskim władca rzadko ukazywał się ludowi, aby tajemniczością podnosić swój urok. Widok króla był tutaj świętem dla ludu, nie dziw więc, że okrzyki radości wywołał. Bartyę lud kochał... Cały Babilon wyległ witać władcę swego i ulubieńca: powychylane z okien kobiety, rzucały jadącym kwiaty i oblewały ich pachnącymi olejkami; bruk był zasypany gałązkami palm i mirtów, powietrze przesycone zapachem róż, fijołków i jaśminów, w drzwiach domów powystawiali mieszkańcy kwitnące krzewy, z okien dywany bogate powywieszali.

Po obu stronach ulicy stały tysiące ludzi w białych, szerokich szatach, lub w kolorowych, wełnianych

i w płaszczykach krótkich, trzymając w ręku laski ze złotemi i srebrnemi gałkami, w kształcie granatów, róż, lub ptaków.

Ulice, przez które orszak dążył, były proste i szerokie, domy budowane z cegły, wysokie niezmiernie, lecz nad najwyższymi górowała świątynia boga Bela, olbrzymi okrągły budynek. Do wnętrza tej świątyni wiodły schody, wijące się piętrami, nakształt ogromnego węża, coraz węższe ku górze; na szczycie jej znajdowało się miejsce święte.

Orszak zbliżał się do zamku, którego wielkość odpowiadała rozmiarom całego olbrzymiego grodu; mury, otaczające go, pokryte były malowidłami, przedstawiającemi dziwną mieszaninę ludzi, zwierząt, ryb, ptaków, łowów myśliwskich, scen wojennych i pochodów uroczystych. Od północy, naprzeciw rzeki, widać było sławne wiszące ogrody, a po stronie wschodniej, za Eufratem, wznosił się drugi, mniejszy zamek królewski, połączony z głównym olbrzymim mostem kamiennym.

Orszak królewski minął trzy bramy potrójnych murów, otaczających pałac, wreszcie Nitetis znalazła się w części zamku przez niewiasty zajętej, gdzie chwilowo miała zamieszkać.

Z głębi domu, za zbliżeniem się orszaku, doleciały gości głosy kobiece. Po chwili śliczna, młoda Persyanka, kosztownie ubrana, ze sznurami jasnych pereł we włosach, wybiegła na pokryty dywanami

dziedziniec. Kambyzes, zeskoczywszy z konia, zastąpił jej drogę, lecz ona wyminęła go zręcznie i rzuciła się Bartyi na szyję.

— Jesteś wreszcie! — rzekła.

Towarzyszące jej starsze niewiasty, padły tymczasem na kolana przed Kambyzesem, którego spojrzenie niezadowolenie wyrażało; on nawet skinieniem głowy nie odpowiedział na ich korne powitanie, lecz zwrócił się surowy do ślicznego dziewczęcia.

— Wstydź się, Atoso — rzekł — pamiętać powinnaś, że odkąd nosisz złote zausznice, przestałaś być dzieckiem; dziewczyna z królewskiego rodu powinna właściwą miarę zachować; nie przystoi ci okazywanie tak głośnej radości. Wracaj natychmiast do matki; wychowawczyniom powiedz, że w dniu dla mnie radosnym przebaczyłem ci twoje wykroczenie, lecz jeśli jeszcze kiedykolwiek przyjdziesz tutaj, gdzie wejście jest ci wzbronione, każę Rogesowi zamknąć cię na dwa dni w więzieniu. Teraz powiedz matce, że ją powitam niebawem wraz z Bartyą.

Ostatnie słowa wymówił znacznie łagodniej, zbliżył się do siostry i dodał z uśmiechem:

— No, pocałuj mnie, mała!

Nitetis odetchnęła, lecz widząc zagniewaną wciąż twarz króla, znowu zbladła i serce jej zabiło mocno.

Atosa widocznie mniej się bała Kambyzesa od niej; na jego wezwanie wydęła wzgardliwie różowe usteczka i odwróciła się.

— Pocałuj mnie, trzpiocie! — powtórzył Kambyzes rozdrażnionym tonem, i pochwyciwszy siostrę za obie ręce, przyciągnął jej śliczną główkę do piersi i złożył pocałunek na skrzywionych, jak do płaczu, usteczkach.

Atosa wyrwała mu się z rąk i uciekła do domu.

— Za mocno ścisnąłeś ręce tej małej, Kambyzesie — rzekł Bartya — z bólu aż syknęła i miała łzy w oczach.

Twarz króla pociemniała, zwrócił się do brata, lecz powstrzymał szorstką odpowiedź.

— Chodźmy do matki — rzekł — ty zaś, Rogesie, zaprowadź Egipcyankę do gotowych dla niej pokojów. Jutro zajmie apartamenty nad ogrodami wiszącymi.

Rozeszli się wszyscy. Król z bratem podążyli do matki.

— Mówiła mi Nitetis, iż oczarowałeś wszystkich w Egipcie — mówił Kambyzes ironicznie — różowa twoja, dziecinna twarz i złote loki zdobywają ci łatwo serca.

Bartya zmarszczył czoło.

— Czy chcesz powiedzieć, że ludziom miłą jest tylko moja powierzchowność, iż lubią mnie, jak ładne dziecko, lecz cnót nie widzą żadnych we mnie, nie szanują mnie? — zapytał.

— Nie objaśniam nigdy słów moich — odparł Kambyzes — tłómacz je sobie jak chcesz.

— Ja jednakże poproszę cię, abyś mi dał raz sposobność przekonania wszystkich, iż w męstwie nie ustępuję innym Persom, że dzieckiem już nie jestem— rzekł Bartya podrażnionym głosem.

— Poco masz ich przekonywać — odparł Kambyzes — czyż radosne okrzyki Babilończyków, gdy cię ujrzeli, nie dowiodły ci, że nie potrzebują twych czynów? Proś tylko Mitry, aby cię wieczną młodością obdarzyła, aby zachowała twą białą twarzyczkę od zmarszczek starości.

— Kambyzesie! — wykrzyknął obrażony królewicz i zatrzymał się. Niebieskie jego oczy błyszczały w tej chwili, jak czarne dyamenty. Kambyzes zmierzył go wyniośle.

— Królowa matka prosiła, aby zaraz po powrocie przyprowadzić cię do niej — rzekł dumnie, a gdy Bartya mimo to nie ruszał się z miejsca, dodał:

— Wojna z Massagetami jest nieuniknioną, niebawem pokażesz nam co umiesz.

Bartya skłonił się bratu i w milczeniu podążył za nim. Obaj weszli do pokoju matki. Biedna, niewidoma królowa, usłyszawszy głos ulubieńca, wyciągnęła do niego ramiona; z radości, iż powrócił wreszcie, zapomniała o wszystkiem innem na świecie. Bartyę tylko tuliła do serca, syna starszego imienia nie wymówiła. Kambyzes stał zdala posępny.

— Ten dzieciak wszystkie serca ci wydziera, strzeż go się! — szeptała doń zazdrość.

Kambyzes, upajany od dzieciństwa hołdami wszystkich, jako przyszły władca Persyi, o serca ludzi nie dbał; spełniali jego wolę, to mu wystarczało.

Cyrus, ojciec jego, zdobywca całego świata, który Persyę wyniósł do najwyższej potęgi, pochłonięty całkiem sprawami olbrzymiego państwa, nie mógł zajmować się wychowaniem dzieci.

W Kambyzesie uznał swego następcę, więc kazał poddanym okazywać mu ślepe posłuszeństwo. Królewicz nie wiedział, że chcąc rozkazywać, trzeba nietylko umieć bojaźń obudzać w sercach ludzi, lecz i miłość. Cyrus prócz Kambyzesa miał jeszcze trzy córki i najmłodszego syna Bartyę. Tego ostatniego matka chowała, rozumna i tkliwa niewiasta, rozwijając jego umysł i serce.

Będąc łagodnego usposobienia, Bartya potrafił sobie zdobyć serca nietylko rodziców i sióstr, lecz i poddanych.

Kambyzes spełniał czyny często prawdziwie bohaterskie, lecz będąc dumnym i samowładnym, chłód rozlewał w około siebie. Szanowali go wszyscy i bali się, gotowi byli na każde jego skinienie skoczyć w ogień, lecz serca niktby nie otworzył przed nim. Póki Bartya był dzieckiem, Kambyzes nie widział różnicy w postępowaniu poddanych względem siebie a brata, lecz odkąd brat począł dorastać, spostrzegł, że widok Bartyi rozjaśnia wszystkie twarze, dosłyszał nutę serdeczną, brzmiącą w głosach ludzi, gdy królewicza witali, i ziarno zazdrości wpadło do jego serca i burzył się nieraz, że

chłopiec, który żadnym jeszcze czynem głośnym się nie wsławił, był witany jak bohater, jak dobroczyńca. Dziś więcej, niż kiedykolwiek, zebrało się powodów do rozbudzenia ziarna zazdrości w jego sercu. Gorące słowa sympatyi, które Nitetis o Bartyi wypowiedziała, ostatecznie usposobiły niechętnie Kambyzesa dla brata. Nitetis podobała się mu: córka wielkiego króla, dumna jak on, wykształcona i piękna, głębokie na nim wywarła wrażenie.

Gdy wyszedł z Bartyą od matki, rzekł doń:

— Otrzymałem dzisiaj wiadomość, że Tapurowie zbuntowali się, wysłałem już przeciw nim wojsko, spiesz za nimi i dowództwo obejmij.

— Dziękuję ci — rzekł Bartya, schyliwszy czoło z szacunkiem — czy mogę zabrać ze sobą moich przyjaciół: Gigesa, Daryusza i Zefirusa?

— Nie odmówię ci tej łaski, lecz nie zwlekajcie z odjazdem — odparł Kambyzes — na wiosnę gotuję wyprawę na Massagetów, weźmiesz w niej także udział.

Postanowił on trzymać teraz brata zawsze zdala od domu.

— Jutro wyjadę — rzekł Bartya — lecz jeśli wrócę zwycięzcą, nie odmówisz jeszcze jednej mej prośbie.

— Jakiej?

— Pozwolisz mi odwiedzić powtórnie Egipt, ten kraj zachwycił mnie.

— Nic nie będę miał przeciwko temu — rzekł Kambyzes, tym razem wesołym tonem, w duszy zaś dodał: — Bodajżeś tam został na zawsze.

Bartyi spojrzenie zaświeciło niekłamaną radością.

— W takim razie zwyciężę, chociażbym miał nawet walczyć na czele tysiąca ludzi przeciw dziesięciu tysiącom! — wykrzyknął.

Kambyzes spojrzał mu w oczy przenikliwie.

— Możnaby sądzić, iż spodziewasz się znaleźć w Egipcie szczęście najwyższe, tron, królestwo—rzekł.

Bartya uśmiechnął się znacząco.

— Kto wie?... — odparł.

Bracia rozstali się. Kambyzes udał się do przystrojonej złotem, purpurą i klejnotami sali, gdzie oczekiwali nań licznie zebrani dowódcy wojsk, satrapowie, sędziowie, skarbnicy, pisarze, szatni, podczaszowie, koniuszowie, strzelcy, lekarze, posłowie i policya, zwana w Persyi: „oczami i uszami króla.” Poprzedzali władcę heroldowie z laskami, za nim zaś szedł cały sznur służby, niosącej lektykę, wachlarze, podnóżki i dywany; za służbą dążyli pisarze, których obowiązkiem było zapisywać pilnie każdy wyraz królewski, każdy jego rozkaz, uwagę, naganę lub pochwałę... Z tych notatek, naprędce kreślonych, układali potem urzędnicy porządne sprawozdania z odbytej rady królewskiej.

W sali był tłok; gorzała ona od świateł sztucznych; w pośrodku stał olbrzymi, pozłacany stół, który

uginał się pod ciężarem srebrnych mis, kubków i talerzy. W bocznej, niewielkiej komnacie, oddzielonej od sali purpurową zasłoną, nakryty był mały stolik. Nakrycie jego stanowiło jednak wartość kilku milionów. Tam obiadował zawsze król, zasłonięty od niedyskretnych spojrzeń, podczas gdy sam mógł widzieć jak najlepiej ruch każdego ze swoich współbiesiadników.

Należeć do liczby owych królewskich współbiesiadników było w Persyi najwyższym zaszczytem, nawet resztka potrawy z talerza królewskiego uważana była za wielką łaskę przez obdarowanego.

Gdy Kambyzes wszedł do sali, większość zebranych padła przed nim na twarz, tylko krewni jego, których odróżniała biała wstęga na tyarze, złożyli ukłon głęboki.

Król, zasiadłszy na tronie, oznajmił wszystkim, że Bartya obejmie dowództwo w najświeższej wyprawie i że poszedł teraz spocząć. Wydał każdemu stosowne na dzień następny rozporządzenia, które pisarze zapisali skwapliwie na tabliczkach, poczem wezwał wszystkich do uczty i przeszedł do bocznej komnaty. Zebrani otoczyli stół, nakryty w wielkiej sali, i biesiada się rozpoczęła.

Całe pieczone barany i woły znikały w jednej chwili. Gdy nasycono się mięsem, służba przyniosła moc rozmaitych łakoci, których podawanie po obiedzie przejęli z czasem Grecy od Persów.

Gdy się już wszyscy nasycili dostatecznie i niewolnicy sprzątnęli resztki, król wrócił do sali, zasiadł napowrót na tronie, a podczaszowie zaczęli z olbrzymich dzbanów rozlewać wino do złotych pucharów, kosztując je najprzód, na dowód, że nie zawiera trucizny. Kambyzes był wyjątkowo milczącym; około północy wezwał Rogesa i oddalił się do swoich komnat.

— Czy pomyślałeś o urządzeniu pałacu przy wiszących ogrodach? — zapytał go.

— Jutro wszystko będzie gotowe — odparł sługa, zginając się — lecz racz powiedzieć mi, panie, jakie pokoje przeznaczyłeś dla Nitetis?

— Te, które dawniej Amites zajmowała.

— Pierwsza małżonka ojca twojego Cyrusa, zanim śmierć ją powołała do siebie? — zapytał Roges.

— Tak — odparł Kambyzes — pamiętaj też, że masz okazywać Nitetis wyższe uszanowanie, niż innym kobietom mego dworu; sam nie będziesz dawał jej żadnych rozkazów prócz tych, jakie ja prześlę jej przez ciebie.

Roges znowu skłonił się nizko.

— Pamiętaj jeszcze, aby nikt z nią nie rozmawiał, nawet Krezus. Chcę, abyś wiedział o każdym jej kroku.

Oczy Rogesa błysnęły przebiegle.

— Był u niej dzisiaj wieczorem Krezus — rzekł,

ręce złożywszy na piersiach — o twojem życzeniu nie wiedziałem jeszcze, panie.

— Czegóż chciał? — zapytał obojętnie Kambyzes.

— Rozmawiali bardzo długo ze sobą.

— O czem?

Roges wzruszył ramionami.

— Rozmawiali wprawdzie po grecku, ale tak cicho, że nie wszystko pochwycić mogłem — rzekł — wiem tylko, iż oboje często wymawiali imię Bartyi i Fachot, siostry Nitetis. Ta Fachot, to podobno ulubienica Amazysa. Miał rzec, iż Fachot nie byłby dał tobie, panie, za żadne skarby świata.

Brózdy, rysujące czoło króla Persów, pogłębiły się.

— Odejdź! — rzekł tonem szorstkim.

A gdy przestraszony Roges, czy zawiele nie powiedział, oddalił się, król mruknął sam do siebie:

— Przeklęty język, bodajby mu bogowie go pokaleczyli!

Poczem opadł na krzesło i pogrążył się w zadumie.

Długo tak siedział milczący, nareszcie powstał.

— Jutro was wybadam — szepnął z ponurem w dal spojrzeniem — biada wam, jeśli odgadłem wasze zamiary.

Następnego dnia rano Kambyzes przywołał Bartyę do siebie.

— Jesteś gotów do wyprawy? — zapytał.

— Za dwie godziny wyruszamy w drogę — odparł Bartya wesoło.

— Będę się cieszył szczerze, jeśli powrócisz sławą okryty, przygotuję ci tymczasem nagrodę, pewnym będąc, że zwycięstwo sprzyjać ci będzie. Powinieneś się już ożenić. Dorosła właśnie Roksosa, córka szlachetnego Hidormesa, piękna i godna ciebie.

— Nie myślę jeszcze o żonie — przerwał bratu Bartya — wszakże gdy jednych wrogów pokonam, czeka mnie wyprawa przeciw Massagetom.

— A jednak o podróży do Egiptu marzysz. Prosiłeś, abym ci pozwolił odwiedzić ten kraj daleki? — zapytał Kambyzes.

Bartya nie zmieszał się.

— I pozwolenie twoje otrzymałem — rzekł — nie cofniesz chyba królewskiego słowa?

— Nie cofnę — odparł posępnie Kambyzes — gdy pobijesz nieprzyjaciół, odwiedzisz Egipt, lecz razem z Roksosą, którą przedstawisz Amazysowi, jako żonę.

— Nie pojmuję cię, bracie! W chwili, gdy mam złożyć dowody męstwa i odwagi, każesz mi myśleć o ognisku rodzinnem — odparł niecierpliwie Bartya — odłóżmy tę rozmowę na później.

— Nadzieja szczęścia rodzinnego doda ci bodźca do zwycięztw—rzekł Kambyzes ironicznie—walcz więc

mężnie, Roksosę sam uprzedzę o tem, że twoją żoną ma zostać.

— Kiedyż dla mnie najwyższą nagrodą będzie podróż do Egiptu! — wykrzyknął Bartya.

— Nie jestem przyzwyczajony spotykać oporu, gdy co postanowię — rzekł Kambyzes. Gdy wrócisz, spełnisz to, co zechcę, oto ostatnie moje słowo.

— Ależ, bracie!

— Bądź zdrów — przerwał mu Kambyzes i oddalił się szybko.

Tegoż dnia, w samo południe, Bartya wyruszył na wyprawę przeciw nieprzyjaciołom. Giges, Daryusz i Zefirus towarzyszyli mu. Krezus odprowadził ich aż do bram Babilonu, tutaj pożegnał każdego z kolei. W ostatnim uścisku królewicz szepnął do starego przyjaciela:

— Gdyby posłaniec z Egiptu przywiózł dla mnie jakie pismo, przyślij mi go natychmiast.

— A czy umiesz czytać po grecku? — zapytał go Krezus.

— Giges będzie moim tłómaczem—odparł Bartya.

— Niech bogowie cię prowadzą — rzekł Krezus — bądź jak ojciec twój łagodnym dla powstańców, pamiętaj o tem, że walczą nie przez chęć grabieży i mordów, lecz w obronie wolności, tego najszczytniejszego bogactwa człowieka... Pamiętaj i o tem, że lepiej jest świadczyć dobrze ludziom, niż gnębić i łzy wyciskać; że dobroć i łagodność władcy zdobywa mu serca nietylko podwładnych, lecz i sąsiadów. Kończ wojnę,

jak będziesz mógł najprędzej; wojna jest zamachem przeciw naturze, bo krzewi śmierć tych, którzy w pełni sił są jeszcze. Podczas pokoju synowie ojców przeżywają, podczas wojny ojcowie synów. Bywajcie zdrowi, młodzi rycerze! — dodał, obiegłszy smutnym wzrokiem wszystkich — wracajcie zwycięzcami!

Kambyzes z okien pałacu odprowadzał wzrokiem bohaterów, a gdy ujrzał Bartyę na czele rycerstwa — rzekł głosem drżącym:

— Pomieszałem twoje zamiary, młodzieńcze!... Gdybyś nie był moim bratem, posłałbym cię chętnie tam, skąd się już nie wraca.

V.

Nitetis źle spała. Z początku przeszkadzały jej hałasy i śmiechy zgromadzonych na wspólną zabawę kobiet, potem myślała o opuszczonej na zawsze ojczyźnie, o rodzicach i milszej nad wszystkich Fachot. Gdy zaś nad ranem usnęła, przykre miała widzenia. Zdawało jej się, że stała nad brzegiem Nilu i patrzyła na trup Bartyi. Wtem konno nadjechał Kambyzes. Rumak jego przestraszył się zabitego i poniósłszy jeźdźca, wskoczył z nim w fale Nilu, które raptem poczerwieniały. Nitetis zaczęła wołać o pomoc, lecz głos jej napróżno odbijał się echem coraz głośniej i coraz żałośniej o piramidy.

Straszne to wołanie zbudziło w końcu królewnę. Otworzywszy oczy, posłyszała w dalszym ciągu zdziwiona ten sam głos na jawie, więc wyskoczyła z pościeli i pobiegła do okna. Przed pałacem ciągnął się piękny ogród, cisza zupełna w nim panowała, zdala tylko dochodził ów dziwny głos, lecz zamilkł powoli.

Wówczas z kobiecych komnat wyszły do ogrodu dwie osoby. W jednej z nich Nitetis poznała Rogesa, drugą była jakaś piękna, jasnowłosa kobieta.

— Egipcyanka śpi jeszcze — mówił Roges — podróż ją zmęczyła.

— Czy doprawdy przypuszczasz, że grozi nam z jej strony niebezpieczeństwo? — zapytała Persyanka.

— Z pewnością — odparł — król nie pozwolił mi wydawać jej żadnych rozkazów.

— I to wszystko? — zapytała obojętnie.

— Ależ to dosyć! — wykrzyknął niemal Roges — to świadczy, że jest potężniejszą od was wszystkich, nawet ode mnie. Gdy zechce, wypędzi nas.

— W takim razie trzeba się jej pozbyć — zadecydowała Persyanka.

Roges westchnął.

— Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać — gdyby tak wyprawić gdzie tego starego Krezusa, jej przyjaciela, możebym potrafił nastawić pułapkę.

Więcej Nitetis nie słyszała, zrozumiała jednak, iż grozi jej życiu niebezpieczeństwo. Pomimo tego postanowiła nie okazać, że wie o tem; wierzyła, iż cnota i dobroć muszą odnieść zwycięztwo nad złem. Nie przeraziła ją bardzo podsłuchana rozmowa, zawołała na służące i kazała się ubierać.

— Co znaczył ten dziwny głos, który dziś rano słyszałam? — zapytała.

— Mówisz pewno o dzwonie spiżowym?... Budzi on każdego ranka chłopców ze znakomitszych rodzin, którzy wychowują się pod opieką króla — odparła jedna z niewolnic. — Przyzwyczaisz się, pani, do tego dźwięku... Z pałacu przy wiszących ogrodach będziesz mogła widzieć te dzieci, gdy prowadzić je będą do kąpieli. Zabierają te biedactwa już w szóstym roku życia i wychowują w pałacu królewskim.

— A czy to dobrze, że od dzieciństwa nawykają do zbytku dworskiego? — spytała Nitetis.

Niewolnica westchnęła.

— Biedne dzieci, czyż one w zbytku rosną tutaj — odparła tonem współczucia — sypiają na gołej ziemi, żywią się chlebem i wodą, czasami tylko mięso dostają, łakoci nie widzą nigdy. Bywają dni, w których wcale im jeść, ani pić nie dają, aby je zahartować. Gdy dwór mieszka w Ekbatanie, muszą się kąpać w najchłodniejsze dni w rzece; przeciwnie w Suzie, podczas upałów odbywają najforsowniejsze marsze.

— I z tych, tak surowo wychowanych dzieci, wyrastają z czasem rozmiłowani w zbytkach ludzie?— pytała zdziwiona Nitetis.

— Zwykle tak bywa — odparła jedna ze starszych niewolnic — im dłużej kto cierpi głód, tem lepiej smakuje mu obiad. Młodzi Persowie, dorośli, wynagradzają sobie przykrości, jakich doznawali w latach dziecinnych, lecz na wojnie potrafią znosić głód i pragnienie, śpią smacznie na kamiennych łożach i śmiało w dnie najchłodniejsze zanurzają się w błota i bagna.

— Żebyś widziała, królowo, jak zręcznie wykonywają różne ćwiczenia—rzekła młoda niewolnica— poproś Kambyzesa, ażeby cię kiedy zabrał ze sobą na manewry, jest co widzieć.

— Znam to dobrze. U nas, w Egipcie, dziewczęta oddają się ćwiczeniom gimnastycznym — odparła obojętnie Nitetis — ja sama brałam w nich udział.

— Dziwne rzeczy! — wykrzyknęły niewolnice — u nas dziewczęta uczą się tylko haftu i przędzenia.

— Słyszałam, że podobno w Egipcie większość kobiet umie czytać i pisać, czy to prawda?—zapytała jedna z młodszych kobiet.

— Czytać i pisać uczą się wszystkie córki szlachetnych rodów — odparła Nitetis.

— Ach, jakiż wasz naród mądry!—wykrzyknęły dziewczęta.

— U nas czytać i pisać umieją tylko magowie — dodała jedna — perscy młodzieńcy ćwiczą się tylko w prawdomówności i posłuszeństwie, uczą się przytem czcić bogów, pływać, polować, sadzić drzewa i siać zboże.

Podczas tej rozmowy Nitetis ubrała się powoli.

— Wyglądasz jak bogini — rzekła starsza niewolnica, gdy Egipcyanka powstała z krzesła — widać wszakże, żeś nie przyzwyczajona do naszych szerokich szarawarów i obcasów wysokich, lecz oswoisz się z czasem. Dla wprawy przejdź się parę razy po komnacie.

Nitetis wykonała radę. Wtem do drzwi ktoś zakołatał i nie wezwany, zjawił się Roges. Przyszedł po Nitetis, aby ją zaprowadzić do Kasandony, gdzie, jak mówił, oczekiwał na nią Kambyzes.

Roges skłonił się uniżenie przed Egipcyanką i nazwał ją słońcem, krzewem róży, kwieciem osypanej, i mnóstwo innych jeszcze komplementów jej powiedział. Z wyrazem pogardy na ustach wysłuchała go Nitetis, poczem udała się dumna i milcząca, lecz z sercem mocno bijącem do starej królowej.

W komnacie Kasandony okna przysłonięte były zielonemi firankami, gdyż światło raziło chore oczy staruszki. Podłogę zaścielał gruby, babiloński dywan, ściany wykładane były mozaiką z kości słoniowej, szylkretu, złota, srebra i lapis lazuli... W pośrodku komnaty stało złote krzesło, wysłane lwiemi skórami, a przed nim stół, wykuty z czystego srebra.

Kasandona siedziała na złotem krześle, miała na sobie suknię fioletową, srebrem przetykaną. Siwe jej włosy przysłaniał długi welon z cienkiej koronki, zawiązany pod brodą na wielką kokardę. Mimo wieku podeszłego, twarz staruszki zdradzała ślady dawnej piękności, wysoki wzrost i cała postawa godne też były wdowy po wielkim Cyrusie.

Na stołeczku, u stóp królowej, siedziała ze złotem wrzecionem w ręku piękna Atosa, a obok niej stał Kambyzes, posępny, jak zwykle; dalej nieco lekarz egipski Nebeuchazi.

Nitetis zatrzymała się nieśmiało na progu komnaty. Kambyzes ujął ją za rękę i poprowadził do matki.

— Powitaj, matko, twoją synowę—rzekł chłodno.

Nitetis przyklękła wzruszona i ucałowała ręce staruszki.

— Bądź pozdrowioną! — rzekła Kasandona serdecznym tonem i dłoń swoją na głowie dziewczęcia położyła — słyszałam o tobie wiele dobrego i mam nadzieję, że córkę prawdziwą w tobie znajdę — dodała.

— Dzięki ci za te słowa, królowo — odparła Nitetis — słodko mi będzie nazwać cię matką, bo tęskno mi bez matki; wszystkiemi siłami postaram się być godną twej dobroci i łaski. Czuwaj, jak matka nade mną!

Kasandona poczuła łzy, spadajace na jej ręce, i wzruszona, objęła ramieniem Nitetis i przy-

cisnąwszy ją do serca, czuły pocałunek złożyła na jej czole.

— Zastąpię ci matkę, dziecię biedne — rzekła — uciszę tęsknotę twego serca.

Kambyzes badawczo przypatrywał się scenie powitania. Chłodny zrazu, musiał w końcu doznać wzruszenia, gdyż wyraz twarzy jego złagodniał.

— Cieszy mnie, że ci się podobała, matko, przyszła moja żona — rzekł łagodnie. Mam nadzieję, że jej u nas źle nie będzie. Gdy pozna zasady naszej wiary, za miesięcy cztery ucztę weselną wyprawię.

Według praw perskich, ta, która żoną króla zostać miała, musiała pierwej wtajemniczyć się w przepisy religii Zoroastra. Wymagalny był zwykle rok zwłoki, lecz Kambyzes, uważając się sam za najwyższego prawodawcę, skrócił ten termin.

Nitetis powstała z kolan, Atosa ustąpiła jej miejsca na złotym podnóżku, a sama obok na dywanie usiadła.

— Czekałem na przyszłą moją żonę, aby wam oznajmić, że Bartya opuścił Babilon — rzekł Kambyzes, zwróciwszy znowu badawcze spojrzenie na Nitetis — kazał was pożegnać wszystkie trzy i udał się na wojnę przeciw zbuntowanemu plemieniu.

Nitetis stanął w pamięci przykry sen, myśl jej pobiegła do Egiptu, do Fachot, i smutek powlókł jej oczy, nic wszakże nie rzekła.

Atosa otarła cicho kilka łez, które zaświeciły w jej oczach i główkę na kolanach przyszłej bratowej ukryła.

Jedna Kasandona odważyła się wypowiedzieć głośno wymówkę:

— Mógłbyś był zostawić nam Bartyę, choć przez parę miesięcy — rzekła — jeszcześmy się nie nacieszyły jego powrotem. Dowódca wojsk Megobines byłby uśmierzył bez niego powstanie.

— O tem nie wątpię — odparł z ironią Kambyzes—dawałem sobie dotychczas radę bez pomocy młodzieniaszka Bartyi... Lecz on sam pragnął sławy wojennej, zabraniać mu tego nie miałem powodu.

— Dlaczegóż nie poczekał na wojnę z Massagetami? — zapytała stara królowa.

— Jeśli padnie od miecza Tapurów, pozbawisz go możności spełnienia świętego obowiązku pomszczenia śmierci ojca — mówiła Atosa — nie Tapurowie zabili wielkiego Cyrusa, lecz Massagetowie.

I dziewczyna, podniósłszy raptem główkę, zwróciła pełne wymówki spojrzenie na Kambyzesa.

W oczach jej zaświecił gniew.

— Milcz!—odpowiedział król gwałtownie—nie zapominaj, żem ja nietylko twój brat starszy, lecz twój król i pan! Czy chcesz, abym ci przypomniał, co wolno u nas kobietom i dzieciom?... Zresztą —

dodał łagodniej, spostrzegłszy, iż gniew jego przestraszył tak Nitetis, że pobladła — to dziecko szczęścia powróci zdrowe z wyprawy, możesz być pewną tego.

— Jesteś królem, więc wolno ci czynić i mówić co chcesz — rzekła z powagą Kasandona — lecz mnie wolno synowi zrobić wymówkę, że pozbawiłeś mnie największej mojej radości: towarzystwa najmilszego mi dziecka.

Kambyzes zbladł śmiertelnie, z oczu jego błysnął gniew.

— Proszę cię, matko, nie mów mi więcej o Bartyi! — rzekł i opuścił komnatę.

Niebawem z liczną świtą udał się do sali przyjęć.

Nitetis długo zabawiła w pokoju matki. Kasandona i Atosa słuchały ciekawie jej opowiadania o osobliwościach Egiptu.

— Jakżebym pragnęła poznać wasz kraj — mówiła Atosa — musi to być zupełnie coś innego niż Persya. Brzegi Nilu, tej wspaniałej rzeki, większej od Eufratu, ustrojone świątyniami i olbrzymiemi piramidami, wspaniały przedstawiać muszą widok. Lecz najmilsze muszą być wasze uczty, w których kobiety uczestniczą.

— My, biedne Persyanki, tylko w dzień nowego roku i w dzień urodzin królewskich bierzemy udział w ucztach, ale nie wolno nam wówczas odzywać się wcale... Ach, chciałabym być Egipcyanką!... Uczyłabym się strzelać, fechtować, łuk napinać. To mówiąc, odepchnęła kądziel od siebie i zerwała się z ziemi. Piękne jej oczy błyszczały szlachetnym ogniem.

— Czemu traktują mnie, jak niewolnicę, matko? — rzekła z żalem. — Czyż nie jestem równie jak Bartya i Kambyzes dzieckiem wielkiego Cyrusa?

— Opamiętaj się, dziecko — rzekła tonem lekkiej nagany Kansandona — kobieta powinna przyjąć z pokorą swoje przeznaczenie i nie wzdychać do praw, które tylko mężczyznom służą.

— A jednak są kobiety—odparła Atosa—które chodzą na wojnę i zbroję noszą.

— Może ja lepiej cię obznajmię z życiem tych kobiet — rzekła Nitetis. — Amazonki ubierają się wprawdzie, jak rycerze, ale na wojnę nie chodzą. Są to kapłanki bogini wojny, służą w świątyni tej bogini, ubraniem swoim chcą tylko modlącym się obraz wojny uprzytomnić. Krezus mówił mi, iż nie było wojska Amazonek, że to wymysł Greków, którzy potrafią ze wszystkiego tworzyć piękne powieści. Zobaczywszy te kapłanki, w wyobraźni swojej stworzyli z nich kobiece wojsko.

— Powiedz mi, czy Grecy w istocie znają się najlepiej ze wszystkich ludów na sztukach pięknych i najpiękniejsze dzieła tworzą? — zapytała Kasandona.

Nitetis zamyśliła się chwilę, zanim odpowiedziała.

— W naszych olbrzymich świątyniach egipskich czułam się zawsze nędznym robakiem wobec bóstw— rzekła — wreszcie w Grecyi, gdzie mnie tyle pięknych rzeczy otaczało, czułam, żem stworzona, aby używać przyjemności życia.

— Opowiedz nam teraz co o Grecyi! — wykrzyknęła Atosa — lecz prawda, przedtem Nebeuchazi musi oczy mamy opatrzyć.

Na te słowa wysunął się ukryty dotychczas w cieniu lekarz egipski. Nitetis powitała go serdecznie, jak rodaka. On milcząco odpowiedział na to powitanie i zwróciwszy się do królowej, zaczął opatrywać jej oczy, a gdy spełnił swój obowiązek, usunął się znowu na dawne miejsce.

Nitetis miała zamiar przemówić do niego, gdy nagle wszedł niewolnik z zapytaniem, czy Krezus może złożyć matce Kambyzesa swoje uszanowanie.

Wkrótce ukazał się zacny ten starzec. Kobiety powitały go, jak dawnego przyjaciela: żywa Atosa rzuciła się mu na szyję, Nitetis ucałowała go jak ojca.

— Bogom niech będą dzięki, iż was widzę znowu — rzekł Krezus — młodzi uważają życie, jako dar przynależny, w moim wieku każdy rok życia darem niezasłużonym się wydaje.

— Zazdroszczę ci tej pogody serca i umysłu — odparła Kasandona — jestem młodsza od ciebie, jednakże każdy nowy dzień, który mam przeżyć na ziemi, uważam, jako karę za grzechy moje zesłaną.

— Odkądże to odwaga opuściła serce żony dzielnego Cyrusa? — zapytał Krezus — tobie nie przystoi taka mowa. Odzyskasz jeszcze wzrok, a wówczas podwójnie będziesz dziękowała bogom, że obdarzyli cię starością. Wyobraź sobie chwilę, gdy po długiej ślepocie, ujrzysz znów światło słońca, twarze twoich najdroższych i ten piękny świat... Ta chwila wynagrodzi całe lata nocy i cierpień, przyznasz wówczas słuszność słowom mego przyjaciela Solona.

— A cóż on powiedział? — spytała ciekawie Atosa.

— Chciał, aby poeta, który głosił w pieśniach swoich, że życie może być pięknem tylko do lat 60, poprawił tę liczbę na 80.

— O, nie! — zawołała Kasandona — tak długo nie chciałabym żyć, nawet wówczas, gdybym wzrok odzyskała... Bez małżonka mego jestem jak wędrowiec, który błądzi po pustyni.

— Zapominasz o dzieciach i o tem państwie, które przy tobie wzrosło — odparł Krezus.

— Dzieci już mnie nie potrzebują, a władca państwa gardzi radą starej kobiety — ze smutkiem odparła Kasandona.

— Nie mów tak!... Ach, bo ja twojej opieki potrzebuję, bardzo! bardzo! — rzekła wzruszonym gło-

sem Nitetis, której rozmowa Rogesa z Persyanką przypomniała się w tej chwili.

I rękę królowej ująwszy, poniosła ją do ust.

— A ja, matko, czyż mogłabym obejść się bez ciebie?... Jestem dzieckiem jeszcze — dodała Atosa, uklęknąwszy u nóg matki.

Kasandona objęła obie ramieniem.

— Prawda, wam mogę jeszcze być potrzebną — szepnęła — więc chcę żyć dla was...

— Po tych słowach poznaję małżonkę Cyrusa! — wykrzyknął Krezus, całując kraj szaty królowej — nietylko dzieciom twoim potrzebną jesteś: Kambyzes— to twarda stal, która krzesze iskry... Twojem zadaniem jest myśleć, aby te iskry nie wznieciły pożaru w kółku najmilszych ci osób. Ty jedna potrafisz wpłynąć na króla, aby się opamiętał, gdyż tylko ciebie uważa za równą sobie. Sądem innych gardzi. Powinnaś być pośrednikiem między królem, a państwem i twoim ukochanym, powinnaś starać się o to, aby duma twego syna nie wywołała ciężkiej kary bogów.

Kasandona westchnęła.

— Niestety, on tak rzadko słucha rad moich! — odparła.

— W każdym razie wysłuchać musi — rzekł Krezus — a jeżeli w danym wypadku nie odniosą twoje rady skutku, znajdą niezawodnie z czasem odgłos w sercu króla i wpłyną na jego postępowanie. Jestem twoim sprzymierzeńcem wiernym i ośmielam się nieraz

wypowiadać Kambyzesowi co myślę. Czynię to przez pamięć Cyrusa, który obdarzył mnie niegdyś życiem, wolnością i cenną swoją przyjaźnią, a umierając, wskazał Kambyzesowi, jako przyszłego doradcę. Bądźmy odważni i trzymajmy się na naszem stanowisku... Wiem, że żałujesz, królowo, nieraz, że sama nie zajmowałaś się usilniej wychowaniem starszego syna. Człowiek rozumny, gdy spostrzeże popełniony błąd, usiłuje poprawić go i nie dozwoli szerzyć się następstwom tego błędu.

— U nas w Egipcie żal próżny, to jest taki, który nie pobudza nas do naprawienia winy, liczy się do 42-ch grzechów śmiertelnych — rzekła Nitetis.—„Nie osłabiaj serca bezowocnym żalem“ — mówi przykazanie.

— Przypomniałaś mi temi słowy, iż mam się zająć kierunkiem twych nauk — rzekł Krezus — polecił mi to Kambyzes. Będę nadal twoim nauczycielem języka perskiego i kierownikiem w sprawach codziennego życia. Kasandona wtajemniczy cię w zwyczaje i obowiązki kobiet tutejszych, a Oropastes wyłoży ci zasady nowej twojej religii. On będzie twoim przewodnikiem w sprawach duchownych, a ja w świeckich.

— Więc mam koniecznie opuścić moich bogów?— pytała ze smutkiem Nitetis — czyż mogę?... Czyż powinnam to uczynić?...

— Możesz, powinnaś i musisz — odparła z mocą Kasandona — żonie króla Persyi nie wolno jest mieć innych przyjaciół, prócz męża; ponieważ zaś bogowie

są najlepszymi przyjaciółmi ludzi, gdybyś więc perskich nie uznawała, byłoby to tak samo, jakbyś przyjaźniła się z wrogami męża.

— Nie sądź, abyśmy cię bóstwa pozbawić chcieli— dodał Krezus—nauczymy cię tylko czcić je pod innem mianem i postacią. My uczuć religijnych nie chcemy cię pozbawić, dziecko... Zachowaj swoje uwielbienie dla bóstwa, lecz nie myśl, że światem rządzą bogowie egipscy, perscy, lub greccy, stanowią oni tylko jedną najwyższą istotę boską, która pod różnemi nazwami dzierży w swej dłoni losy ludzi i całych narodów.

Persyanki słuchały mowy starca ze zdziwieniem, Nitetis zaś zawołała żywo:

— Matka moja, uczennica Pytagoresa, to samo mówiła mi zawsze, lecz kapłani egipscy nazywają takie pojęcie występnem, a ludzi, którzy je wyznają, bezbożnikami. Jednakże nie będę dłużej przeciw wam walczyła; niech przyjdzie Oropastes, gotowam słuchać jego nauki i zacząć czcić Ormuzda, bo jak powiadasz, to inna tylko nazwa bóstwa, które czczę oddawna.

Krezus uśmiechnął się do niej.

— Pojętną jesteś uczennicą — rzekł, kładąc rękę na głowie dziewczęcia — w nagrodę będzie ci wolno spędzić codziennie kilka godzin u Kasandony, lub Atosę przyjmować w wiszących ogrodach.

Dziewczęta okrzykiem radości odpowiedziały na te słowa, Krezus zaś dodał:

— Przywiozłem wam z Egiptu obręcze i piłki, będziecie miały się czem bawić.

— Piłki? — zawołała Atosa — ależ to ciężkie, drewniane kule.

— Nie obawiaj się — odparł Krezus — moje piłki są zrobione z pęcherza, napełnionego powietrzem, lub z cienkiej skóry, nie z drzewa, jak te, któremi bawią się tutejsi chłopcy... No, cóż, czyś zadowolona ze mnie, Nitetis?

— Nie wiem, jak ci podziękować, ojcze? — odparła królewna.

— Nie dziękuj, tylko z nauk moich korzystaj — rzekł Krezus — teraz posłuchaj, jak będziesz czas spędzała: Najpierw odwiedziny Kasandony i z nią nauka, potem zabawy z Atosą...

Niewidoma skłoniła głową na znak zgody, a Krezus ciągnął dalej:

— Koło południa będę przychodził do ciebie na lekcye języka perskiego, wtedy porozmawiamy nieraz o Egipcie i twej rodzinie. Czy masz co przeciwko temu?

Nitetis uśmiechnęła się.

— Wieczorami odwiedzać cię będzie Oropastes, który wyłoży ci zasady religii perskiej — mówił Krezus — do tych lekcyi pilnie przykładać się powinnaś. Po obiedzie pobawisz się zawsze z Atosą w piłkę lub w obręcz. Czy jesteś zadowoloną z takiego zakończenia dnia?

Nitetis w miejsce odpowiedzi ucałowała z wdzięcznością rękę starca.

* * *

Następnego dnia Egipcyanka przeniosła się do pałacu przy wiszących ogrodach i wiodła życie jednostajne, lecz spokojne i pracowite.

Codziennie w zamkniętej lektyce noszono ją do Kasandony.

Były to dla niej najmilsze dnia godziny: królowa tyle jej życzliwości okazywała, drugą matkę znalazła w niej, gdy Atosa zastąpiła jej Fachot. Dobre i miłe to dziecko, wesołością swoją potrafiło rozpogodzić czoło Nitetis, ilekroć tęsknota je zachmurzyła. Dziewczęta dopełniały się wzajemnie. Żywość jednej wpływała dodatnio na zbytnią powagę drugiej, roztrzepana i swawolna Atosa, przez codzienne obcowanie z Nitetis, stała się milszą i lepszą.

Krezus i Kasandona zarówno byli zadowoleni z uczennicy.

Oropastes wielbił codziennie jej zdolności i postępy przed królem. Słuchając tych pochwał, Kambyzez odsunął z serca niegodne podejrzenia, rzucone przez Rogesa, i był uprzejmym dla dziewczęcia. Często całemi godzinami przypatrywał się z widocznem zadowoleniem zabawom dziewcząt, a gdy pewnego razu piłka, rzucona przez Nitetis, wpadła do wody, skoczył

za nią w swej długiej szacie do rzeki. Nitetis krzyknęła z przestrachu, a król, oddając jej piłkę, rzekł z uśmiechem:

— Uważaj, bo w przeciwnym razie będę zmuszony częściej cię przestraszać.

Powiedziawszy to, podał zarumienionemu dziewczęciu kosztowny łańcuch, który zdjął z szyi. Nitetis podziękowała mu wdzięcznem spojrzeniem.

Wszyscy w Babilonie spostrzegli wkrótce korzystną zmianę w postępowaniu Kambyzesa i cieszyli się tą zmianą.

Król był teraz o wiele łagodniejszym niż dawniej, starał się czynić każdemu jak najwięcej dobrego. Poddani nie drżeli na jego widok, jak dawniej, a wrony krakały głodne przy placu, na którym ścinano głowy przestępców i składano je dla postrachu mieszkańców stolicy. Gdy dnia pewnego przyszła wiadomość do Babilonu, że Tapurowie pokonani zostali i że zwycięskie wojsko zbliża się do stolicy, król życzliwie wspomniał imię Bartyi, a kiedy w trzy dni potem młody bohater powrócił do stolicy i lud okrzykami radości go powitał, okrzyki te nie zasępiły czoła Kambyzesa: uścisnął brata serdecznie i przyprowadziwszy go do matki, gdzie znajdowała się właśnie Nitetis, rzekł wesoło:

— Powinszujcie mu zdobytej sławy.

Wszyscy cieszyli się zmianą, jaką spostrzegli w królu, jeno Roges się martwił.

Nienawidził Nitetis, gdyż niedość, że wyłamała

się z pod władzy jego, lecz jeszcze odebrała mu łaski króla. Kambyzes unikał go teraz.

Zmianę w postępowaniu władcy Persyi przypisywał ten naczelnik niewolników wpływowi Nitetis. Dzień i noc myślał nad sposobami usunięcia jej z Babilonu, naradzał się czasami z ulubienicą swoją Fatymą, która również nie cierpiała Egipcyanki, szukał wszędzie sprzymierzeńców. Gdy który augar zjawił się w Babilonie z listami, pytał go natychmiast, skąd przybywa, czy nie ma wiadomości z Egiptu. Spostrzegł on, że Nebeuchazi jest nieprzychylnie usposobiony dla Egipcyanki. Sama Nitetis to spostrzegła. Raz zapytała lekarza, czy go czasem mimowolnie nie obraziła.

— Nie — odparł jej — lecz obcą jesteś dla mnie!... Kto tak łatwo odstępuje od wiary i zwyczajów przodków, tego ja nie znam.

I Roges usiłował dowiedzieć się, jaki jest powód niechęci Nebeuchazisa do Nitetis, lecz ten uchylił się z godnością od zwierzeń. Roges nie zrażał się wszakże niepowodzeniami i nie ustawał w knuciu intryg przeciw tej, która go obraziła.

Pewnego razu, spotkawszy Fatymę, pochylił się ku niej i rzekł:

— Bartya powrócił, wezmę się do dzieła, mam planik gotowy, pozbędziemy się tej przybłędy.

To powiedziawszy, zatarł ręce na znak zadowolenia.

— Jaki? — spytała zaciekawiona Fatyma.

— Wolałbym włożyć głowę w paszczę ryczącego lwa, niż powierzyć tajemnicę uszom kobiety — odparł — ciesz się tem, co ci powiedziałem i czekaj cierpliwie.

W tym czasie właśnie wypadała uroczystość urodzin królewskich. Zjechali na dwór liczni satrapowie, dowódcy i kapłani z różnych prowincyi, aby złożyć władcy życzenia i podarki, i aby wziąć udział w wielkich uroczystościach religijnych, które w dniu tym odprawić miano.

Wszyscy dworzanie otrzymali kosztowne podarki, każdemu oznajmiono, że w dniu urodzin królewskich będzie mógł otrzymać łaskę monarszą.

Lud z prowincyi został zaproszony na ucztę. Bito woły, barany, czyniono przygotowania wspaniałe.

Kambyzes postanowił w rocznicę urodzin odbyć zaślubiny swoje z Nitetis.

Porozsyłał zaproszenia do wszystkich dostojników państwa. Ulice Babilonu roiły się od dążących na uroczystość. Pałace, wznoszące się po obu stronach Eufratu, przepełnione były; wszystkie domy przybrały pozór świąteczny.

W dzień urodzin króla odbyło się nabożeństwo. Na sztucznym pagórku zbudowano srebrny ołtarz, skąd wraz z modłami pobożnych wznosiły się ku niebu płomienie rozpalonego ogniska i wonny dym kadzidła.

Biało ubrani magowie podsycali ogień kawałkami drzewa sandałowego; mieli oni na głowach przepaski, których końce spadały im na usta, aby nieczysty ich oddech oderwać od świętego ognia. Na łące nad rzeką zabijano zwierzęta, przeznaczone na ofiarę, ćwiartowano je i rozkładano na darninie, posypanej koniczyną, liśćmi mirtowymi i laurowymi, bo nic skrwawionego nie mogło dotknąć ziemi, pięknej córy Ormuzda.

Oropastes, najstarszy kapłan, przystąpił do ogniska i wrzucił w nie kawał świeżego masła, poczem roztłukł w moździerzu liście pewnej rośliny, której sok uważali Persowie za pokarm bogów, i sok ten wylał w płomienie. Podsycany ciągle ogień, wybuchał co chwila silniej, a Oropastes czytał tymczasem z wielkiej księgi długą modlitwę, wzywając błogosławieństwa bogów na wszystko dobre i piękne, na króla i państwo perskie; sławił duchy światłości, prawdy i szlachetnych czynów; życie, wodę, ziemię, ogień, łąki i drzewa; przeklinał kłamstwo, choroby, śmierć i grzechy wszelkie.

Gdy kapłan zamknął książkę, obecni odśpiewali hymn, zaczynający się od słów:

„Czystość i piękność jest nagrodą sprawiedliwego.”

Na zakończenie nabożeństwa król odmówił modlitwę głośno, poczem siadł do złotego powozu, bursztynem i ametystami ozdobionego i udał się do swego

pałacu, aby przyjmować dostojników miejscowych i przybyłych z prowincyi.

Gdy król ze świtą swoją się oddalił, kapłani wybrali dla siebie najlepsze kawałki mięsa ofiarnego, resztę zaś pozwolili zabrać ludowi, gdyż bogowie perscy gardzili ciałem zabitych zwierząt, chodziło im tylko o ich dusze.

Prócz nabożeństwa, odbytego na wzgórzu, odbyły się w wielu innych miejscach dnia tego w Babilonie nabożeństwa innych wyznań. W Persyi była wielka tolerancya. Pokonane przez Cyrusa ludy modliły się do dawnych swych bogów: wolno im było przodków obyczaje zachowywać.

Miasto dnia tego wyglądało, jak w ogniu, tyle stosów ofiarnych w nim płonęło, a przy każdym modlono się za pomyślność króla.

Ciemne słupy dymu zasłoniły słońce majowe.

Gdy Kambyzes wrócił do pałacu, powiedziano mu, że zbliża się pochód tryumfalny przedstawicieli podległych jego berła prowincyi. Ulice, któremi postępował pochód, zasypane były liśćmi palm, mirtów i laurów, kwiatami róż i oleandrów; chorągwie i dywany powiewały ze wszystkich domów; tłum cisnął się zewsząd; okrzyki ludu, radosne rżenie koni, dźwięki fletów, cymbałek, harf i fanfar medyjskich zlewały się w jedną głośną, hałaśliwą muzykę; zapach wonnych olejków, blask złota i drogich kamieni, wszystko to razem tworzyło atmosferę dziwnie upajającą.

Żadne poselstwo nie przybyło z próżnemi rękoma. Jedni prowadzili stada wspaniałych rumaków, drudzy olbrzymie słonie, lub figlarne małpy, inni nosorożce w pięknie haftowanych czaprakach, lub dwugarbne wielbłądy ze złotemi obręczami na długich szyjach. Inni jeszcze ciągnęli za sobą wozy, wyładowane kosztownymi gatunkami drzewa, kością słoniową, drogiemi tkaninami, złotymi i srebrnymi naczyniami. Wieźli też rzadkie rośliny na ozdobę ogrodów królewskich, nieznane w Persyi zwierzęta, ptaki różnobarwnie upierzone, wanny pełne piasku złotego.

Podarki uważane były, jako danina ludów podległych Persyi. Król najprzód oglądał je, potem podskarbi zabierał, porządkował i uznawał, czy dar od tego lub owego plemienia jest dostateczny. Zbyt skromne zwracał, żądając większych. Skąpy musiał płacić potrójną daninę.

Wspaniały to był widok patrzeć na króla, jadącego na nabożeństwo, gdy pięćset bogato ubranych rumaków prowadzono za jego wozem; pięknym też był widok sali tronowej, w której król przyjmował hołdy posłów państw obcych.

W głębi, na podwyższeniu, do którego prowadziło sześć stopni, wznosił się pod purpurowym baldachimem złoty tron, wsparty na słupach, wysadzonych drogimi kamieniami. Za tronem stała służba z wachlarzami, a po obu stronach krewni i przyjaciele króla, dostojnicy państwa, wyżsi kapłani i dworzanie.

Ściany sali ubrane były złotemi blaszkami, podłogę zaścielał purpurowy dywan, przed srebrnemi drzwiami, jako straż, leżały dwa wykute z kamienia woły o ludzkich głowach, ze skrzydłami. W dziedzińcu czuwała gwardya przyboczna, zbrojna w lance ze złotemi i srebrnemi ozdobami. Żołnierze mieli purpurowe suknie, złote pancerze, ostre miecze w złotych pochwach i wysokie, perskie czapki. Wzrostem i postawą wyróżniał się hufiec nieśmiertelnych.

Służba z krótkimi pałeczkami z kości słoniowej prowadziła posłów do sali i po kolei doprowadzała do stopni tronu. Tu padał każdy twarzą na ziemię, z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, z dłońmi ukrytemi w szerokich rękawach ubrania. Służba zawieszała mu na dolnej części twarzy chustkę, aby—gdy mówić zacznie do króla, oddech jego nie dosięgnął osoby królewskiej.

Kambyzes witał uprzejmie wszystkich, którzy mu podarki piękne złożyli, surowo i chłodno tych, którzy skąpymi się okazali. Na samym końcu długiego szeregu posłów stało dwóch Żydów. Jeden z nich ubrany był, jak bogaci Babilończycy, drugi miał na sobie purpurową szatę z szerokim pasem w trzech kolorach: białym, niebieskim i ponsowym. Na piersiach miał woreczek, ozdobiony dwunastoma drogimi kamieniami, z wyrytymi nazwami plemion Izraela, czoło obwiązane białą przepaską, której końce spadały mu na ramiona.

Kambyzes skinął na nich, a gdy przystąpili do tronu i kolana zginać poczęli przed nim, rzekł uprzejmie:

— Cieszy mnie, Baltazarze, że cię znowu widzę. Od śmierci ojca mego nie pokazywałeś się wcale tutaj.

Zaczepiony poseł w stroju Babilończyka, Żyd rodem, pochylił głowę.

— Dobroć pana przejmuje radością serce jego pokornego sługi — odparł — lecz jeżeli chcesz, panie, aby zaświeciło nam słońce twej łaski, to racz skłonić swe ucho do prośby ludu naszego.

Ten starzec wyjaśni ci życzenia Żydów.

Powiedziawszy to, wskazał stojącego obok kapłana w szacie purpurowej.

— Zdaje mi się, że wiem, o co chcecie prosić — rzekł król — idzie wam o budowę nowej świątyni w waszej ojczyźnie.

— Żadna myśl nie może być tajną naszemu władcy — rzekł poważnie kapłan żydowski — twoi słudzy tęsknią za twoim widokiem, panie, proszę cię więc przez moje usta, abyś raczył kraj nasz odwiedzić, a przytem pozwolić łaskawie na dalszą budowę świątyni, której nie bronił nam budować ojciec twój, wielki król Cyrus.

Kambyzes uśmiechnął się.

— Umiecie nawet prośby z właściwym wam sprytem przedstawiać — odparł — trafiliście na dobrą

chwilę. W dniu moich urodzin nie odmawiam prośbom moich poddanych. Postaram się odwiedzić jak najrychlej Jeruzalem.

— Uszczęśliwisz lud twój, panie — odparł kapłan—nasze winnice i drzewa oliwne za twojem zbliżeniem się piękniejsze wydadzą owoce, bramy otworzą się szeroko na twoje przyjęcie, a słudzy twoi podwójnie będą szczęśliwi, mogąc podziękować ci jednocześnie za pozwolenie...

— Zaczekaj — przerwał mu Kambyzes — pierwszą prośbę waszą spełnię, bo dawno już pragnę poznać Tyr, Sydon i wasze Jeruzalem, gdybym jednakże dziś obie prośby wasze zadowolnił, z czemże przyszlibyście do mnie na rok przyszły?

— Tylko z darami — odparł kapłan — dziś spełnij oba życzenia pokornych sług twoich: pozwól nam dokończyć dom Boga naszego.

Kambyzes ruszył ramionami.

— Dziwni zaprawdę z was ludzie — rzekł — wierzycie w Boga jedynego, niewidzialnego, który duchem jest, nie przedstawiacie go w rzeźbach, a domy mu budujecie. Czyż sądzicie, że ta nadziemska istota potrzebuje schronienia? Wasz wielki Bóg musi być jednakże słaby, gdy szuka schronienia przed wichrem i burzą?... Toć on sam tę wichry i burze sprowadza, toć wierzycie, że jest wszędzie, gdziekolwiek więc padniecie na kolana i modły do niego wzniesiecie, usłyszy was zawsze.

— Bóg Izraela słyszy wszędzie głos ludu swojego — odparł poważnie kapłan — wysłuchał nas, gdyśmy jęczeli w niewoli egipskiej i babilońskiej. Twojego ojca wybrał za narzędzie naszego oswobodzenia, a dziś pomoże zmiękczyć nam twoje serce, o, synu Cyrusa!... Pozwól nam, panie, mieć wspólny dom modlitwy dla dwunastu pokoleń rozdzielonych, a wszyscy będziemy w nim błagali Boga o pomyślność twoją i zagładę twoich nieprzyjaciół!

— Panie, daj braciom moim pozwolenie na budowę świątyni! — rzekł błagalnie Baltazar.

— Jeśli przychylę się do waszej prośby, zacznie-cie się zaraz swarzyć — odparł Kambyzes — mój ojciec pozwolił wam rozpocząć budowę, dostarczył nawet środków na jej wykonanie, opuściliście z radością Babilon, zabraliście się do pracy i poswarzyliście się przy budowie domu Bożego. Ojciec mój otrzymał prośby od wielu możnych tyryjczyków, aby cofnął pozwolenie na budowę świątyni, a ja zmuszony byłem to uczynić na słuszne narzekania waszych rodaków, Samarytan... Módlcie się, gdzie chcecie, ale ponieważ życzę wam dobrze, nie mogę się zgodzić, abyście wrócili do dzieła, które sieje wśród was niesnaski.

— Więc w dniu twoich urodzin, królu, odbierasz nam łaskę, którą ojciec twój dał nam na piśmie? — zapytał kapłan.

— Na piśmie? — powtórzył tonem zdziwionym Kambyzes.

— Znajdziesz je z pewnością w twojem archiwum, gdy zechcesz poszukać — rzekł Baltazar.

— Jeśli mi je przedstawicie, nietylko oporu nie będę stawiał, co do wykończenia budowy świątyni, lecz nawet przyłożę dłoń do tego dzieła. Wola ojca mojego jest dla mnie równie świętą, jak rozkaz bogów.

— Więc pozwalasz, aby twoi pisarze przejrzeli archiwum w Ekbatanie? — zapytał kapłan.

— Nie bronię, lecz obawiam się, czy cośkolwiek znajdziecie — odparł Kambyzes — powiedz twoim ziomkom, kapłanie, że spodziewam się od nich wyborowo uzbrojonych żołnierzy na wyprawę przeciw Massagetom — dodał tonem rozkazu — chciałbym, aby się popisali, jak w wojnach mego ojca.

To rzekłszy, zwrócił się do Baltazara.

— Ciebie zapraszam na uroczystość mego wesela — rzekł znowu wesoło — a powiedz ode mnie Alesachowi i Abedowi, najpierwszym po tobie rodom waszym w Babilonie, że z przyjemnością ujrzę ich dzisiaj u mego stołu.

Baltazar skłonił się głęboko.

— Niechaj Bóg mój ześle ci szczęście i błogosławieństwo! — odparł.

— Przyjmuję te życzenia, gdyż Boga waszego mam za potężnego — rzekł król — lecz przypomniałeś mi mimowoli, co chciałem wam jeszcze powiedzieć: Żydzi babilońscy zbezcześcili naszych bogów i zostali za

to ukarani. Persowie wszakże pałają jeszcze ku nim nienawiścią. Ostrzeż o tem rodaków i poradź, aby brali z nas przykład: mamy własną wiarę, ale innym pozwalamy też mieć swoją... Bądźcie zdrowi i pewni mej życzliwości!

Hebrajczycy odeszli rozczarowani, lecz nie bez nadziei, iż świątynię będą mieli. Baltazar był pewny, że pozwolenie piśmienne Cyrusa znajdzie się w archiwum.

Za nimi przystąpili Syryjczycy i Grecy, poczem ukazali się ludzie odmiennego typu, odziani w skóry zwierzęce. Ich pasy i naramienniki zrobione były ze złota, a wysokie czapki również złotem ozdobione.

Król spojrzał na nich ze zdziwieniem.

— Czego chcą ci ludzie? — zapytał — zdaje mi się, że należą do plemienia Massagetów? Na równinie Medyjskiej stoi uzbrojone moje wojsko, które da im odpowiedź na każde żądanie.

Massagetowie nie cofnęli się wszakże, przewodnik ich zbliżył się do tronu i skłoniwszy się nizko, rzekł:

Przyszliśmy z bogatymi darami, aby przedstawić ci, królu, życzenia naszego narodu.

Twarz króla pociemniała.

— Ciekawy jestem, co mają mi do powiedzenia mordercy ojca mego? — odparł.

Najwyższy i najstarszy z posłów począł mówić głośno w ojczystym języku, a wódz ich, dzielny Massageta, wzięty do niewoli przez Cyrusa, tłómaczył królowi zdanie po zdaniu wolno i wyraźnie.

— Wiemy, że gniewasz się na nas, wielki królu — mówił z pokorą — wiemy, że ojciec twój zginął, walcząc z nami, lecz nie myśmy go zaczepili.

— Wasza królowa go obraziła, odmówiwszy mu swej ręki — przerwał Kambyzes. — Cyrus za radą Krezusa postanowił przejść rzekę Arakses i wziąć przemocą waszą Tomizys.

— I posłał przeciwko nam najprzód małą garstkę wojska — począł mówić znowu Massageta, tłómacząc dalej słowa posła — pozwolił nam je wytępić i zająć swój obóz, a gdyśmy, żołnierze, przy wesołej uczcie spróbowali słodkiego napoju, pozostawionego w namiotach przez Persów, wpadliśmy w stan upojenia i posnęliśmy wszyscy. Wówczas Cyrus napadł śpiących z licznem wojskiem i kazał jednych mordować, drugich brać do niewoli. Syn Tomizys w więzach uprowadzony został do Ekbatany. Królowa wpadła w rozpacz, chciała zawrzeć pokój z wami za cenę wolności jej syna, lecz dzielny młodzieniec, dowiedziawszy się o tem, odebrał sobie życie własnym mieczem. Dowiedziawszy się o śmierci syna swej królowej, Massagetowie chwycili powtórnie za broń, i wszyscy, nawet starcy i dzieci, na bój pospieszyli. Nastąpiło spotkanie, Cyrus poległ, zwłoki jego u stóp Tomizys złożono: „Teraz może nareszcie, nienasycony królu, będziesz miał dosyć krwi?” — zapytała, spojrzawszy na zabitego.

Hufiec, zwany u was „nieśmiertelnym," napadł na nas wkrótce i odebrał zwłoki twego ojca. Ty go prowadziłeś, poznaję cię, walczyłeś jak lew. Wiedz, że blizna, która zdobi twoją twarz, pochodzi od mojego miecza.

Zebrani zadrżeli o życie śmiałego mówcy, lecz Kambyzes odparł spokojnie:

— Teraz i ja ciebie poznaję... Jechałeś wówczas na karym, pięknym rumaku. My, Persowie, umiemy cenić męztwo... Patrzcie, przyjaciele, nigdzie nie widziałem lepszego miecza i pewniejszej ręki.

To mówiąc, wskazał ręką na posła Massagetów.

— Skłońcie głowy przed tym człowiekiem — dodał. — Cnota i zasługa uczczone wszędzie i zawsze być winny, nawet przez nieprzyjaciół. Tobie, Massageto, radzę wracać do swoich i zbroić się razem z brać-mi pospiesznie, bo wspomnienie waszej waleczności dodało mi jeszcze ochoty do walki z wami. Wolę silnych nieprzyjaciół, jak wy, niż słabych przyjaciół. Pozwolę wam wrócić swobodnie do ojczyzny, lecz nie zwlekajcie z odjazdem, gdyż żądza pomszczenia duszy mego ojca, mogłaby narazić życie wasze na niebezpieczeństwo.

Gorzki uśmiech przebiegł po ustach sędziwego starca.

— My, Massageci, jesteśmy przekonania, iż dusza twego ojca aż nadto pomszczoną została — rzekł.

— Myśmy stracili królewicza, chlubę naszego narodu, który nie był wcale mniej wart od waszego Cyrusa. Pięćdziesiąt tysięcy naszych rycerzy legło na brzegach Araksesu, waszych zaś tylko trzydzieści. Walczyliśmy równie dzielnie, ale wasze zbroje lepiej, niż nasze opierały się strzałom; nakoniec zabiliście naszą królowę Tomizys.

— Więc Tomizys nie żyje! — wykrzyknął Kambyzes — my, Persowie, zamordowaliśmy kobietę?... Opowiedz, jak się to stało.

— Tomizys umarła z rozpaczy po śmierci syna i ją więc liczymy do ofiar wojny — odparł poseł.

Kambyzes zamyślił się posępnie.

— Zaiste, bogowie okrutnie pomścili śmierć mojego ojca — rzekł po chwili — lecz Tomizys, królewicz i pięćdziesiąt tysięcy waszych rycerzy nie starczą dla nasycenia mojej zemsty...

— Jeśli zechcesz napaść nas obecnie, nie zdołamy stawić oporu... W tym celu przybyliśmy prosić cię za jakąbądź cenę o pokój.

— Więc chcecie się poddać bez walki? — zapytał król. Zgadzam się na pokój, odwołam wojska moje, a wam przyślę namiestnika. Bądźcie pozdrowieni, jako nowi poddani mego państwa... Dary

wasze przyjmuję, jako należną od was dla mnie daninę.

— Mylisz się, królu, jeśli sądzisz, żeśmy zapomnieli dawnej waleczności — odparł z godnością poseł — na razie do wojny nie jesteśmy przygotowani, lecz uznać cię władcą swoim wcale nie mamy zamiaru, pragnęlibyśmy tylko zawrzeć rozejm z tobą na lat parę. Satrapów twoich zupełnie znać nie chcemy!

Kambyzes zmarszczył czoło.

— Macie do wyboru: albo poddać się i przyjąć ulegle satrapę przeze mnie przysłanego — odparł wyniośle — albo przygotować się do zbrojnego ze mną spotkania.

— Wolni synowie stepów wybierzemy raczej śmierć, niż niewolę — odparł poseł. — Słuchaj, co nasza rada starców kazała ci oznajmić. Naród nasz nie z własnej winy, lecz z dopuszczenia boga słońca jest obecnie tak słaby, że nie może oprzeć się Persom. Chcemy doroczną daniną okupić pokój. Jeśli na to się nie zgodzisz, poniesiesz największą szkodę, jaką ponieść możesz, gdyż jeśli nas pokonasz, nic na tem nie zyskasz, zabierzemy nasze żony, dzieci nasze, mienie i oddalimy się w inne strony... My miast nie budujemy, wsi nie mamy, mieszkamy w namiotach, a te łatwo przenieść, gdzie się spodoba. Przyszedłszy do nas, znajdziesz jedynie step pusty.

— Namyślę się jeszcze nad odpowiedzią, podczas uczty ją usłyszycie — odparł posępnie Kambyzes — teraz się oddalcie.

A gdy posłowie odeszli, rzekł do jednego z dworzan:

— Chcę, aby tym ludziom na niczem w pałacu moim nie zbywało.

VI.

Nitetis poraz pierwszy spróbowała się modlić pod gołem niebem, przy dźwięku pieśni, do cudzych bogów. Tłum pobożnych ją otaczał, czuła wszakże, że większość nie myśli o modlitwie, jeno na nią zwraca ciekawe spojrzenia. To ją mieszało i rozpraszało myśli.

Tuż obok niej klęczały Kasandona i Atosa, łącząc swe głosy z chórem kapłanów. Było widocznem, że modlą się pobożnie. Monotonna melodya hymnów perskich nieprzyjemne czyniła wrażenie na Nitetis, która miała zepsuty smak pod tym względem, gdyż znała i umiała nucić greckie pieśni.

Ranka tego otrzymała list od matki, którego przeczytać nie zdążyła, gdyż kazano jej spieszyć się na nabożeństwo. Obecnie myślała nad tem, co zawiera, i w żaden sposób serca zwrócić nie mogła ku Ormuzdowi. Wreszcie nabożeństwo się skończyło. Nitetis odetchnęła, z radości uściskała Atosę, poczem do domu

pospieszyła. Młoda służąca przyjęła panią z figlarnym uśmiechem, który zamienił się jednakże w wyraz zdziwienia, gdy Nitetis, nie zwracając uwagi na wspaniały strój rozłożony na stole, schwyciła z gorączkową niecierpliwością list obok leżący.

— Chyba jesteś chora? — zapytała — lub ten zwitek papieru oczarował cię? — Czyż nie widzisz tych bogactw, które król przysłał ci w darze?... Przysłał je z prośbą, słyszysz z prośbą, nie z rozkazem, abyś na dzisiejszą ucztę te szaty włożyć raczyła... Patrz, co za piękna suknia purpurowa ze srebrnym haftem... A ta tyara z królewskimi dyamentami olśniewa wzrok... Dotąd tylko Kasandonie przysługiwało prawo noszenia purpury i tyary, tym podarkiem stawia cię Kambyzes na stanowisku królowej. Wszystkie kobiety w pałacu królewskim pochorują się z zazdrości.

Nitetis odłożyła list, nie rozłamawszy nawet pieczęci i przebrała się. Królewska purpura podniosła jej mejestatyczną piękność, a wysoka tyara powagi dodała.

Gdy stanąwszy przed metalowem zwierciadłem, ujrzała swoje odbicie, duma przejęła jej serce i hardo podniosła czoło. Żywo wyrażająca swe uczucia pokojowa uległa też wrażeniu i rzuciła się przed nią na kolana.

Nitetis spojrzała na klęczącą z pewnem zadowoleniem, lecz w tejże chwili zawstydziła się uczucia, którego doznała, i podniósłszy dziewczynę, pocałowała

ją w czoło, poczem obdarzyła złotym naramiennikiem.

— Teraz możesz mnie zostawić samą — rzekła.

Mandona chętnie ten rozkaz spełniła, gdyż pilno jej było pochwalić się pięknym podarkiem przed towarzyszkami, Nitetis zaś, rzuciwszy się na krzesło z kości słoniowej, zmówiła najprzód dziękczynną modlitwę do ulubionej swojej bogini Hator, poczem sięgnęła po list i rozłamawszy pieczęć, czytać zaczęła. Zadowolony wyraz jej twarzy, gdy przebiegała ręką matki skreślone słowa, znikał z jej oczu, smutek wystąpił na czoło, a po chwili z pod jej powiek stoczyły się łzy. Dziwne przeciwieństwo stanowił teraz jej wspaniały strój z przygnębieniem, które w całej postaci przyszłej królowej Persyi się malowało. Bo też bardzo smutny otrzymała list:

„Nie nasza wina, kochana córko, że tak długo nie miałaś od nas wiadomości — pisała żona Amazysa — okręt, który wiósł pismo nasze do Sydonu, został napadnięty w drodze przez jakiś statek korsarski. Zuchwalstwo Polikratesa przechodzi wszelkie granice: żaden nasz okręt nie jest w tych czasach bezpieczny, gdyż Polikrates ma na swoje rozkazy 20 tysięcy korsarzy. Synowie zmarłego w Atenach Pejzystrata są jego przyjaciółmi, nikt więc nie waży się przeciw niemu wystąpić. Lecz mnie bliższe troski trapią. Oto Fachot i ojciec twój są chorzy. Od łoża twej siostry przechodzę do nieszczęśliwego twego ojca, który ślepotą jest zagrożony. Całe dnie na pielęgnowaniu tych drogich chorych mi schodzi. Korzystam z nocy, aby te słów kilka do ciebie napisać. Fachot w gorączkowych majaczeniach często twe imię wspomina i przechowuje starannie twój wizerunek, który z wielkim talentem ulepił z wosku Teodorus. Mamy tę statuetkę posłać na Eginę, aby ją tam ze złota odlali, gdyż miękki wosk uszkadza się pod dotknięciem gorących rąk i spieczonych warg twej biednej siostry. Po twoim odjeździe Fachot przez trzy dni ciągle płakała, nie pomagały ani napomnienia ojca, ani moje pieszczoty, ani modlitwy, aby zmniejszyć cierpienia biednego dziecka. Czwartego dnia ucichła, nietylko przestała płakać, lecz nawet nie odpowiadała na nasze pytania, jeno całymi dniami siedziała bezczynna i milcząca, ze splecionemi na kolanach rękoma, zapatrzona w dal. Próżno ojciec wesołemi żartami próbował zbudzić ją z tej smutnej zadumy, próżno do rozsądku jej przemawiałam, dopiero gdy dnia jednego rozpłakałam się z żalu, rzuciła mi się na szyję, ucałowała mnie z uniesieniem i zasiadła przy kądzieli. Niebawem jednakże ręce jej opadły bezwładnie. Zmuszaliśmy ją do rozrywki, spraszaliśmy gości, wychodziła do nich blada i milcząca, zasiadała przy stole i jakby bez ducha. Nie poznałabyś jej: zeszczuplała i urosła, cerę ma białości przezroczystej, na policzkach jej kwitną zawsze dwa słabe rumieńce, przypominające płatki bladej róży, oczy płoną dziwnym blaskiem, czynią wrażenie, jakgdyby patrzyły w świat doziemski. Ponieważ dłonie jej były coraz gorętsze, a wargi coraz bardziej spieczone, wezwaliśmy

przeto najsławniejszego doktora z Teb, Inhotepa. Doświadczony kapłan, spojrzawszy na Fachot, westchnął i rzekł: „Ciężka to choroba!“ Nie pozwolił biedaczce ani prząść, ani mówić, kazał brać lekarstwa, zażegnywał cierpienie. Radziliśmy się też wyroczni i gwiazd. Kapłani Izydy przysłali Fachot poświęcany amulet, kapłani Ozyrysa promień włosów boga, wyrobiony ze złota. Sam arcykapłan odprawił w świątyni bogini Hator wielkie nabożeństwo na intencyę chorej...

Lecz niestety, nie pomogły ani modły, ani ofiary, ani zaklęcia. Neithotep nie ukrywa przede mną, że gwiazdy nic dobrego nie wróżą; mówi też, że nietylko naszemu domowi smutek grozi, lecz całemu Egiptowi. W tych dniach zakończył życie wół poświęcony bogom; kapłani nie znaleźli w jego wnętrzu serca, co jest złym znakiem; podobno ostrzega, że nad Egiptem wisi nieszczęście... Amazys wyjeżdżał na pielgrzymkę pobożną do Babartis, w drodze dostał zapalenia oczu, na co nie zwracał z początku uwagi. Zwolna choroba przybrała stan groźny, lekarze lękają się, iż nie przywrócą mu wzroku. Te wszystkie zmartwienia oddziałały bardzo źle na twego ojca: z wesołego i pełnego życia człowieka stał się starcem zgrzybiałym. Wszystkie godziny spędza na modlitwie w świątyni Neity, a cały tłum robotników pracuje nad budową jego grobu. Inni robotnicy obalają rozpoczętą w Memfis grecką świątynię Apollina. Nieszczęście swoje i Fachot nazywa Amazys sprawiedliwą karą za grzechy. Jego

odwiedziny sprawiają chorej tylko przykrość, gdyż usiłuje przekonać biedne dziewczę, że zasłużyło na karę bogów i mówi jej ciągle o śmierci, nagli, aby myślała o duszy, a biedna Fachot tak pragnie żyć... Mało jednak robi nadziei sławny lekarz z Teb, dziwi się nawet, że tak wątłe ciało, tak długo opierać się śmierci potrafi. Mowi, że chorą podtrzymuje już tylko gwałtowna chęć życia i nieustanna za czemś tęsknota, którą jeśli potrafimy zaspokoić, wówczas Fachot będzie mogła jeszcze przyjść do siebie. W przeciwnym razie koniec może nastąpić bardzo prędko.

Wczoraj prosiła mnie Fachot, aby przesłać ci od niej uściśnienia, a dziś dołączyła małą karteczkę z wielkim trudem napisaną, gdyż chciała koniecznie zwierzyć ci się z jakąś tajemnicą. Takbym pragnęła donieść ci co pocieszającego, lecz gdziekolwiek myśl zwrócę, wszędzie zmartwienia. Brat twój objął obecnie rządy nad krajami Amazysa i spełnia je z arcykapłanem. Amazys pod tym względem nie stawia oporu, mówi, że wcześniej czy później Psametyk po swojemu rządzić zacznie. Nawet obojętnie wysłuchał tego, że arcykapłan uprowadził przemocą z domu Rhodofis dzieci Thanesa, które zacna ta niewiasta otoczyła prawdziwie macierzyńską opieką. Arystomachus zagroził, że opuści służbę razem ze wszystkimi Grekami, jeśli dzieciom Thanesa nie wróci Psametyk wolności. On w odpowiedzi kazał zabić starszego chłopca. Na drugi dzień Arystomachus zniknął. Nie wiadomo dokąd pojechał i w jakich zamiarach. Amazys modli się ciągle i składa

bogom ofiary, Psametyk naraża nieustannie siebie na niechęć podwładnych, gdyż czyny jego są okrutne. Bezwiednie dąży on do zerwania dobrego stosunku, który od tak dawna łączył w Egipcie naród z Faraonami.

Bądź zdrowa, córko moja, pomyśl czasem o biednej twojej matce i przebacz, że cię zasmucę tym listem. Módl się za Fachot, pozdrów od nas Krezusa i znanych nam młodych Persów. Bartyi oświadcz pozdrowienie od umierającej twej siostry...

Raz jeszcze bądź zdrowa, dziecko moje, i szczęśliwa w swej nowej ojczyźnie!”

* * *

Złota jutrzenka nie zawsze poprzedza dnie pogodne, a radosne oczekiwanie bywa często zwiastunem przykrych zawodów. Nitetis z taką radością rozłamała pieczęć listu, a jakżeż ta radość prędko pierzchła! Wyobraźnia malowała przed jej oczami obraz zmartwionej matki, cierpień fizycznych i moralnych ojca, chorej siostry; świetna przyszłość, która ją czekała, straciła dla niej cały urok... Słońce skłaniało się już ku zachodowi, gdy niewolnica wróciła do swojej pani.

— Śpi — pomyślała, spojrzawszy na nieruchomą królewnę — zmęczyło ją dzisiejsze nabożeństwo.

Niechże jeszcze chwilę odpocznie, aby wieczorem pięknością swoją zaćmiła cały dwór niewieści, jak wschodzący księżyc—gwiazdy.

Rzekłszy to, wysunęła się do ogrodu, gdzie wabił ją krzak róży kwieciem osypany. Przechodząc wśród szpalerów, nie zauważyła, że ktoś w ogrodzie się znajduje. Jakiś człowiek bogato ubrany stał tuż przy pałacu i wspinał się na palce, aby wygodnie zajrzeć przez okno do komnaty Nitetis. On jednakże posłyszał kroki biegnącej niewolnicy i odskoczył od okna, spojrzał na nią badawczo, a przekonawszy się, że nie widziała, co robił, rzekł wesoło:

— Dzień dobry!

— Niewolnica zatrzymała się zdziwiona, poznawszy Rogesa i uśmiechnęła się.

— Nie pięknie jest tak straszyć biedną dziewczynę, panie Roges — rzekła uprzejmie — w naszej samotności wszystko przeraża!

— Prawda, iż żyjecie, jak łabędzie na pustyni — odparł Roges — lecz cierpliwości, niedługo się to skończy. Gdy pani twoja królową zostanie, będziecie inne prowadziły życie. Egipcyanki nie są przyzwyczajone do takiej samotności.

— Czyż król pozwoli zmieniać tutejsze zwyczaje? — spytała niewolnica.

— Nitetis — to szyja, Kambyzes — głowa — odparł Roges — już dzisiaj król robi to, co chce ta Egipcyanka.

Niewolnica spojrzała na niego z nieufnością.

— Nie wzdychamy za swobodą — rzekła, czoło zmarszczywszy.

— Dla czego się gniewasz?... Czyż nie jestem twoim przyjacielem i opiekunem?... twoim rodakiem?... — zapytał Roges.

— Medów jest w Persyi tylu, co gwiazd na niebie. Gdyby każdy rodak chciał być moim przyjacielem, miałabym ich za dużo — odrzekła tonem podrażnionym Mandona. — Opiekunem moim nie ty jesteś, lecz Oropastes, który polecił mnie Kasandonie. Między nami niema nic wspólnego, chyba to, że oboje mamy oczy, uszy i nosy.

Roges roześmiał się przymusowo.

— I to jeszcze, że król kazał mi czuwać nad wszystkiemi kobietami, mieszkającemi w pałacu jego — rzekł napozór wesoło — czuwam więc i nad tobą, Mandono... Nie zapominaj o tem, że beze mnie żadna służąca miejsca na dworze królewskim nie dostanie, i że, gdy zechcę, usunąć mogę każdą.

W Mandony oczach łzy zaświeciły.

— A ty, panie Roges, nie zapominaj, iż nie mówisz do prostej dziewczyny — odparła — nie jestem pierwszą lepszą...

— Wiem o tem dobrze, że ojciec twój był magiem, a matka córką maga — rzekł — wiem i to, że twoi rodzice pomarli wcześnie i polecili cię

opiece Oropastesa, w którego domu chowałaś się razem z jego rodzeństwem, że pokochali cię bracia jego i siostry, jakby najbliższą krewną. A czy ty wiesz, że twój brat, którego tak dawno oczekujesz, rówieśnik i towarzysz twych zabaw dziecinnych, przyjechał do Babilonu?

— Nie zwodzisz mnie? — zapytała Mandona, zapominając o urazie. — Gamota przyjechał?

I oczy świecące radością podniosła na Rogesa.

— Mówiłem z nim, pytał się o ciebie, chce cię odwiedzić.

Mandona westchnęła.

— To nie podobna, król nie pozwala nikomu z obcych tutaj przychodzić.

— A jednak obiecałem Gamocie, że go tutaj przyprowadzę — rzekł Roges.

— Odważysz się? — spytała dziewczyna.

— Dla przyjaźni wiele się robi — odparł Roges — teraz może wierzysz, że jestem ci życzliwy.

Mandona spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Czy to prawda, że Gamota jest bardzo podobny do Bartyi? — zapytał Roges.

— W istocie — odparła Mandona — gdy pierwszy raz zobaczyłam Bartyę, przy wjeździe Egipcyanki do Babilonu, byłam przekonaną, że towarzyszy jej Gamota.

— No, znów tak bardzo podobni nie są, aby jednego brać za drugiego — przerwał jej Roges.

— Więc mówisz, że Gamota mnie odwiedzi?— zapytała Mandona.

— Przysiegam ci to, że będziesz z nim rozmawiała w tym ogrodzie—odparł Roges, położywszy rękę na sercu, może wówczas powiesz, że nie jestem tak złym, jak myślałaś.

— Nie, nie, ty żartujesz ze mnie!... Niczem nie zasłużyłam sobie na twoją życzliwość — mówiła Mandona — tyś nie widział Gamoty.

W miejsce odpowiedzi Roges ukazał naraz dziewczynie białą, haftowaną szarfę.

— Czy to znasz? — zapytał.

— Tę szarfę sama haftowałam i podarowałam Gamocie? — wykrzyknęła Mandona.

— To znak, który wziąłem, aby cię przekonać, że Gamota jest w Babilonie.

— Mów, o czem rozmawialiście ze sobą, lecz spiesz się, słońce zachodzi, muszę wracać do mojej pani.

— Będę się spieszył — odparł Roges, wymawiając te słowa z takim wyrazem twarzy, iż Mandona mimowoli się cofnęła.

Roges spostrzegł, że ją przestaszył i uśmiechnął się.

— Jutro wieczorem odwiedzi cię Gamota i opowie, o czem rozmawialiśmy. Dziś zbyt krótko mógłby tutaj zabawić, gdyż i on będzie na uczcie.

— Za przysługę ci oddaną wtrąć do twej pani przychylne słówko za mną.

— Nitetis jest dobrą dla wszystkich, względem mnie tylko okazuje niechęć. A Gamocie co mam powiedzieć od ciebie?

— Pozdrowić go — odparła Mandona.

Roges skinął jej głową.

— Teraz spieszę dowiedzieć się, czy wszystkie kobiety są gotowe na ucztę — rzekł i udał się ku furtce ogrodowej.

Naraz zwrócił się.

— Jeszcze jedno zapomniałem ci powiedzieć — Gamota pojutrze wyjeżdża.

Rozeszli się wreszcie. — Roges przez aleję dotarł do skrytych drzwiczek, które prowadziły do podziemnego przejścia na brzeg Eufratu.

— Teraz musi mi się udać — szepnął sam do siebie, zatarłszy ręce na znak zadowolenia — jutro Egipcyanka wpadnie w sidła przeze mnie zastawione. O, Roges umie się mścić!

Wtem na tajemnej drodze, prowadzącej do wiszących ogrodów, spostrzegł ogrodnika.

Podszedł do niego z uprzejmym uśmiechem.

— Jakże tam błękitna lilia? — zapytał.

— Rozwija się wspaniale — odparł z zadowoleniem ogrodnik — jutro wieczorem dojdzie do szczytu piękności. Egipcyanka ucieszy się, ona tak lubi kwiaty!... A proszę cię, powiedz też królowi i Achamenidom, że dzięki moim staraniom zakwitła jedna z roślin, która tylko raz na sto lat przez jedną noc pozwala ludziom podziwiać swój piękny kielich.

— Spełnię twoje życzenia — rzekł Roges. — Król zapewne przybędzie do ogrodów i pozwoli przyjść niektórym Achamenidom podziwiać rzadką roślinę. Może i Krezusa nakłonię, aby przyszedł. Ten zna się na sztuce ogrodniczej, jak rzadko kto.

— Przyprowadź go, a będzie ci wdzięczny z pewnością. Kwiat ten przejdzie pięknością wszystko, coście widzieli dotychczas w ogrodach wiszących.

Roges skinął mu głową.

— Sam Ormuzd mi ułatwia pomstę! — rzekł do siebie, gdy ogrodnik się oddalił.

Minąwszy podziemne przejście, Roges wsiadł na dwukonny wózek i kazał się zawieść do jednego z pałaców królewskich. Panował tam właśnie wielki ruch. Kobiety przygotowywały się do uczty. Najprzód udały się wszystkie razem do łaźni.

Tu i owdzie biegały niewolnice, mieszając swe głosy z głosami pań. Używszy dowoli parowej kąpieli, kobiety opuściły łaźnię i wyciągnęły się wygodnie na miękkich wezgłowiach.

Do sali wtargnął cały pułk niewolnic z flaszkami, grzebieniami i szpilkami. Po skończonem uczesaniu pań, służące przyniosły wspaniałe stroje.

Gdy Roges przybył do pałacu, już wszystkie były ubrane. Głośny okrzyk radości powitał wchodzącego. Podawszy sobie ręce, strojne i uszczęśliwione myślą, że niebawem zasiądą do uczty, oto-

czyły swego opiekuna i śpiewać zaczęły ułożoną przez jedną z pośród siebie piosenkę, na cześć tego dowódcy niewolników. Wychwalały dobroć tego człowieka.

— Dobrze, bardzo dobrze — rzekł — teraz słuchajcie. Król przyrzekł, że spełni dzisiaj prośbę każdego. Nie macie jakich życzeń?... Jeśli macie, powierzcie mi je.

Rozśmiały się wszystkie i zaczęły się cisnąć do niego. Pochylały się do jego ucha i w tajemnicy mówiły mu swoje życzenia. On zrazu śmiał się razem z nimi, lecz gdy nadto tłoczyć się zaczęły, przyłożył do ust złotą gwizdawkę, której władza była czarodziejską: w jednej chwili odskoczyły od niego wszystkie i stanęły wyprostowane, ciche naprzeciw niego, jak dzieci karą nastraszone.

Wielką bowiem była władza tej gwiazdki: głos jej znaczył to samo, co wyraz „cicho“ w imieniu króla wymówiony. Kto nie posłuchał gwizdawki, surowej karze podlegał. Każda z niewolnic królewskich truchlała na myśl kary.

Roges raz jeszcze powiódł wzrokiem po ich strojach, poczem udał się do Fatymy, która oddzielne zajmowała komnaty.

Była rownież gotową, przybrała się w najbogatszą szatę, jaką miała.

Strój jej błyszczał od drogich kamieni, ze srebrnego dyademu, który świecił na jasnych jej włosach,

spływał złotem tkany welon, a na nim zwieszała się biała z niebieskiem wstęga Achamenidów, albowiem z tego rodu pochodziła.

Gdy Roges wszedł do jej pokoju, z zadowoleniem spojrzała w metalowe zwierciadło.

— Piękną dziś jestem, nie prawdaż? — zapytała.

Roges uważnie przypatrzył jej się.

— Wszystko jest złe i suknia twoja i twarz twoja, wszystko! — odparł po chwili.

A spostrzegłszy, iż Fatyma się zasmuciła, dodał:

— Nie mogę i nie chcę odkryć wszystkiego, powiem ci tylko słów parę, aby ci osłodzić dzisiejszy wieczór, który musi być przykrym dla ciebie. Oto przepaść, w którą strącimy Egipcyankę, już wykopana: Jeśli słuchać mnie będziesz, zamiast Nitetis, zasiądzie na tronie perskim Fatyma.

— Więc cóż mam czynić, mów? — zapytała głosem wzruszonym — jestem gotową na wszystko.

— Najpierwej zrzuć z siebie te błyszczące klejnoty — odparł Roges, potem przywdziej ciemną szatę, a na szyi zawieś tylko złoty łańcuszek, który w dzień ślubu dostałaś od Kambyzesa. Zmyj z twarzy róż, wygnaj mi uśmiech z oczu, a ponurą rozpacz przywołaj do twego wzroku.

— Ależ to rzecz niemożliwa — przerwała Fatyma.

— Nie przecz, lecz przebieraj się prędko — rzekł stanowczym tonem Roges — jeśli posłuszną mi nie będziesz, obalisz moje usiłowania.

Fatyma oddaliła się smutna. Niebawem wróciła przebrana.

— Teraz dobrze — pochwalił ją Roges. — Bądź posłuszną, a zwyciężysz cudzoziemkę... Gdy przyjdzie na ciebie kolej przedstawienia swej prośby królowi, położysz rękę na sercu, spuścisz oczy i głosem smutnym powiesz, że nie masz już żadnych... Odwróciło się od ciebie twoje słońce.

— Dobrze — szepnęła smutnym głosem Fatyma.

— Gdy ojciec twój spyta się, jak się miewasz, rozpłacz się tak głośno, aby cię usłyszeli wszyscy Achamenidzi — ciągnął dalej Roges — aby wszyscy widzieli, żeś nieszczęśliwa.

— Tak poniżać mi się każesz — rzekła z wymówką Fatyma.

— Tak potrzeba — odparł Roges — dla Egipcyanki okażesz się uprzejmą.

Oczy Fatymy błysnęły oburzeniem.

— Nie każesz mi wszakże schylić głowy przed nią! — wykrzyknęła.

— Musisz i to uczynić—rozkazał Roges.

— Raczej umrę! — szepnęła Fatyma.

Roges ruszył ramionami.

— Co za ślepota! — mruknął. — Słuchaj! musisz podburzyć Achamenidów przeciw Egipcyance.

Wyobraź sobie, jak się oburzy twój dziadek Jotafernes i twój ojciec Otones, gdy cię ujrzą korzącą się w prochu przed cudzoziemką. Podrażniona duma uczyni ich naszymi sprzymierzeńcami. Gdyby nawet nie chcieli wystąpić przeciw Nitetis, to w każdym razie szkodzić mi nie będą, raczej pomogą w działaniu. Gdy obalimy Egipcyankę, król przypomni sobie twoją pokorę i twój smutek, Achamenidzi i magowie wstawią się za tobą, poproszą, aby szlachetną niewiastę, pochodzącą z ich rodu, uczynił królową, i król ulegnie. Któraż kobieta w Persyi całej godniejszą jest od ciebie purpury?... Któraż wyżej stoi urodzeniem od ciebie?... Nie trzeba się lękać chwilowego poniżenia, gdy od tej przykrości zależy nasze wywyższenie.

— Będę posłuszną!—wykrzyknęła Fatyma.

— W takim razie zwyciężymy — odparł Roges. — Spiesz do lektyki, niech inne niewiasty toż samo uczynią, ja pójdę przodem...

VIII.

Olbrzymia sala przyjęć w pałacu Kambyzesa gorzała od świateł mnóstwa, odbijających się w porozwieszanych na ścianach złotych blachach.

Na środku sali stał niezmiernie długi stół, zastawiony srebrnymi kubkami, talerzami, półmiskami, dzbanami, czarami i srebrnymi naczyniami do wonnych kadzideł.

Na progu ukazał się marszałek.

— Król niebawem nadejdzie — rzekł do podczaszego, obchodzącego stół — czy wszystkie dzbany są napełnione, czy wszystkie wina spróbowane, a przedewszystkiem te, które przysłał Polikrates?...

— Wszystkie gotowe — odpowiedział podczaszy — wino z Chios przechodzi smakiem najlepsze, jakie kiedykolwiek piłem. Skosztuj tylko!

Mówiąc to, ujął w jedną rękę śliczny złoty kubek, drugą podniósł duży dzban i nalał wina w wązki

otwór kubka tak zręcznie, że ani jedna kropelka na ziemię nie upadła.

Marszałek skosztował kosztownego napoju i zawołał:

— Prawda, szlachetne wino!... Mają racyę cudzoziemcy, gdy perskich podczaszych za wzór innym stawiają.

— Dziękuję ci za uznanie. Dumny jestem z mego urzędu; wielki nasz król tylko przyjaciołom powierza to stanowisko.

— Nieznośnie gorąco w tym Babilonie — odezwał się marszałek — kiedyż wreszcie pojedziemy do Egbatany?

— Z powodu wojny z Massagetami — odpowiedział podczaszy—nastąpiło opóźnienie. Gdyby jednakże pokój zawartym został, to w trzy dni po weselu królewskim wyruszylibyśmy do Suzy.

— Do Suzy? — zapytał zdziwiony marszałek. — Ależ tam nie wiele chłodniej niż tutaj?...

— Kambyzes otrzymał wiadomość, że skończono budowę nowego pałacu w Suzie. „Pojedziemy tam— rzekł — pokażę córce Faraona, że potrafimy równie dobrze budować, jak Egipcyanie. Nitetis przywykła do wspaniałych pałaców, Suza będzie dla niej miłem miejscem pobytu."

— Kambyzes zdaje się bardzo lubić Egipcyankę — rzekł marszałek.

— Istotnie — odparł podczaszy.

— Niedługo zostanie królową.

— Córka Achamenidów ma większe do tego prawo, ale czego chce król, chce dobrze.

— Wola władcy, to wola bogów. Prawdziwy Pers cieszy się, gdy może pocałować w rękę swego króla, chociażby powalaną była krwią jego własnego dziecka.

— Kambyzes kazał zgładzić moich braci, lecz nie mam żalu o to do niego, tak samo jak do bogów, którzy zabrali moich rodziców.

W przyległym pokoju rozległy się czyjeś kroki i przerwały rozmowę przyjaciół.

— Hej, służba, podnieść zasłony, bo goście nadchodzą! — rozkazał marszałek.

Niebawem w sali tłoczno i gwarno się zrobiło.

Z pomocą mistrzów ceremonii marszałek wskazywał wchodzącym miejsca przy stole.

Gdy wszyscy zasiedli, fanfara oznajmiła przybycie króla.

Biesiadnicy podnieśli się z miejsc i trzykrotnie powtórzyli okrzyk:

— Chwała królowi!

Dywan purpurowy, po którym wolno było stąpać tylko Kambyzesowi i Kasandonie, prowadził do ich złotych krzeseł, umieszczonych na wzniesieniu.

Niewidoma królowa siadła razem z synem. Z lewej strony władcy zajmowała miejsce Nitetis, za nią Atosa, potem Fatyma. Za nią siedział arcy-

kapłan, magowie i satrapowie. Siedzieli tutaj: stary Krezus, Roges i różni Achamenidzi. Kobiety pałacowe stały naprzeciw króla i chórem na jego cześć pieśń śpiewały.

Nitetis była niezwykle bladą i smutną.

Spostrzegł to niebawem Kambyzes.

— Potem zapytam, co jej jest — pomyślał — moi poddani nie powinni wiedzieć, iż przyszłej królowej Persyi może smutek kłócić radość w dzień moich urodzin.

Zanim zajął złote swoje krzesło, król zmówił krótką modlitwę, prosząc bogów o nowy, pomyślny rok dla siebie i państwa, wymienił olbrzymią sumę, którą miał w tym dniu obdarzyć kraj i kazał mistrzom ceremonii przyprowadzić do siebie tych, którzy mieli zanieść prośby do niego.

Nikt nie odchodził niezadowolony.

W dzień wigilijny prośby były przejrzane przez mistrzów ceremonii. Ci wykreślili te, które mogły króla podrażnić.

Atosa i Nitetis otwierały pochód, za nimi szła Fatyma.

Roges ustawił je w jednym rzędzie, aby ubogie ubranie Fatymy jaskrawiej jeszcze odbiło się od stroju Egipcyanki. Jak Roges przewidział, dziad i ojciec Fatymy z widoczną przykrością patrzyli na nią, niejako odpowiednio ubraną. Kambyzes, znając zamiłowanie Fatymy do błyskotek, spojrzał na nią ze zdziwieniem i z niechęcią.

— Co znaczy ta żebracza szata w dniu tak dla mnie uroczystym? — zapytał... Czyż nie znasz naszych zwyczajów?... Gdybyś nie była córką naszych ukochanych krewnych, kazałbym cię wyprowadzić z tej sali.

Te słowa ułatwiły Fatymie zadanie.

Płacząc gorzko, rzuciła się na kolana przed swoim władcą i podniosła ku niemu oczy i ręce z tak błagalnym wyrazem, że litość wzbudziła się w sercu Kambyzesa.

— Czy masz prośbę do mnie? — zapytał łagodniej.

— Cóż może być pożądanem dla mnie teraz, gdy słońce moje odmawia mi swoich promieni? — odparła Fatyma.

Król wzruszył ramionami.

— Niedawno umiałem łzy twoje podarkami osuszać, może i dzisiaj potrzeba ci złotej pociechy, mów śmiało! — rzekł z ironią.

— Fatyma już niczego nie pragnie, bo słońce dla niej nie świeci — powtórzyła Persyanka nauczoną odpowiedź.

— W takim razie odejdź, nie w mojej mocy rozkazać słońcu, aby świeciło dla ciebie, gdy nie chce świecić — rzekł Kambyzes i odwrócił się od klęczącej.

Gniew zakipiał w sercu Fatymy, lecz zapanowała nad sobą, przysłoniła błyszczące oczy czarną

rzęsą, a idąc w dalszym ciągu za wskazówkami Rogesa, skłoniła się nizko przed Kasandoną, poczem przed Nitetis, której przypomniała się jej rozmowa z Rogesem.

Zawrzały nienawiścią serca Achamenidów do Egipcyanki, dziadek i ojciec Fatymy z trudnością wstrzymywali gorzkie słowa wymówki, cisnące się im na usta. Wiele spojrzeń zwróciło się ze współczuciem na upokorzoną wobec wszystkich rodaczkę. Kambyzes zdawał się obojętnie słuchać innych próśb, nareszcie wysłuchał ostatnią i zasiadł do biesiady.

Fatymy już w sali nie było.

Król wesoło rozmawiał z otaczającymi go, nawet żartami sypał.

Naraz spostrzegł leżący w złotym koszu pomiędzy innymi owocami wspaniały granat i zapytał:

— Kto wyhodował ten piękny owoc?

— Sługa twój Oropastes — odparł najwyższy kapłan — uprawiam od wielu lat sztukę ogrodniczą i ośmieliłem się wynik moich starań złożyć u stóp twoich, panie!

— Dziękuję ci, przyjacielu! — rzekł król — twój owoc ułatwił mi wybór namiestnika na moje miejsce, jeśli na wojnę pojadę... Kto potrafi tak troskliwie pielęgnować małe drzewko, nie zaniedba i dużego. Ale wdzięczność Kambyzesa nie na sło-

wach polega. Dziś jeszcze mianuję cię, Oropastesie, rządcą państwa mojego.

Niedługo już będę marnował czas w gnuśnym odpoczynku. Persowie tracą wesołość bez pracy wojennej.

Szmer zadowolenia rozległ się po sali.

— Chwała królowi! — wykrzyknęli biesiadnicy.

Prędko zapomnieli wszyscy o Fatymie, marzenia o sławie wojennej, o wieńcach bohaterów, zajęły teraz wszystkich i podnieciły humor.

Król cieszył się wesołym gwarem i zapałem swoich rycerzy. Oczy jego wyrażały zupełne zadowolenie, naraz zwrócił się do Bartyi.

— No, bracie, czyż zapomniałeś o mojej obietnicy? — rzekł wesoło. — Czyż nie wiesz, że dziś twoja prośba spełnioną być może?... Tak, wypróżnij pierwej puhar — dodał, śmiejąc się — gdyż Bartya podniósł właśnie wino do ust.—Mów śmiało, pragnę bowiem wiele łask wyświadczyć ci dzisiaj.

Bartya spojrzał na niego z wdzięcznością i w cichych słowach opowiedział mu swoje poznanie z wnuczką Rhodofis, powiedział mu, że ojciec Safo bronił rodzinnej swej ziemi przeciw wojskom Cyrusa i zginął w walce. Nazwał Safo ukochaną córką greckiego rycerza szlachetnego rodu, przedstawił barwnie przymioty serca i umysłu narzeczonej, chciał się powołać na świadectwo Krezusa, ale Kambyzes rzekł:

— Nie potrzebuję innych zaświadczeń, masz

moje pozwolenie, pomogę ci nawet uzyskać zgodę naszej matki.

Uszczęśliwiony Bartya padł do nóg bratu, ale ten podniósł go uprzejmie i rzekł, zwracając się do Kasandony:

— Nasz brat Bartya postanowił poślubić Greczynkę Safo, która stanie się niebawem jego żoną.

— Co tobie, siostrzyczko? — zawołała naraz Atosa i pochyliła się troskliwie ku Nitetis.

Królewna zbladła i oparła się omdlała na ramieniu Atosy.

— Fachot — szepnęła — Fachot moja droga!

Atosa poczęła rozcierać jej skronie, Kasandona wyciągnęła do niej rękę z czarą wina.

— Niech się napije, to ją orzeźwi — rzekła.

Na twarzach gości odmalowało się zdziwienie. Kambyzes stał posępny i blady. Smutek Nitetis uznał za największą dla siebie obrazę.

— Odprowadź kobiety, Rogesie... Nie chcę ich widzieć więcej — rzekł wreszcie głuchym głosem. — Śpij dobrze, matko... a ty, Egipcyanko, proś bogów, aby ci dali większą moc panowania nad sobą.

To powiedziawszy, odwrócił się od kobiet.

— Jutro wielkie polowanie, przyjaciele—rzekł— daj mi pić podczaszy!

Rzekłszy to, pełnym gniewu wzrokiem pogonił za oddalającą się Nitetis. Nitetis obróciła głowę i wzrokiem cichej wymówki na niego spojrzała.

Zmierzyli się spojrzeniem, ona oczu nie spuściła.

Roges przywołał dla Egigcyanki lektykę i odprowadził ją do pałacu przy wiszących ogrodach.

Gdy niewolnicy się zatrzymali, Roges rzekł:

— Dobra noc ci, mój ty egipski koteczku!

Obrażona królewna dumnie na niego spojrzała. On roześmiał się złośliwie.

— Namyśl się i przypuść mnie do swej łaski — rzekł — biedny Roges podejmie się roli pośrednika. Roges życzy ci dobrze i srodze się martwi upadkiem dumnej palmy z Sais. Jasnowidzący Roges przepowiada ci rychły powrót do Egiptu, lub słodki odpoczynek w czarnej ziemi Babilonu. Bądź zdrowa tymczasem, śliczne ziółeczko, moja ty, żmijko, która się własnem żądłem zakłujesz... Ha! ha! ha!

— Nędznik!—krzyknęła Nitetis.

— Dziękuję ci za tę nazwę, słodko brzmi ona w moich uszach.

— Precz z moich oczu! — zawołała stłumionym od łez głosem królewna i ku drzwiom pałacu pospieszyła.

— Pamiętaj o mnie, Egipcyanko! Wiedz, że wszystko, co cię w tych dniach spotka, będzie darem wzgardzonego przez ciebie Rogesa — szepnął wódz niewolników i pałac opuścił.

Na dziedzińcu poszukał straży i przykazał jej surowo nie wpuszczać nikogo do pałacyku.

— Jeśli prócz mnie pozwolicie tutaj wejść komukolwiek, śmierć poniesiecie — pogroził im, znacie mnie, że nigdy próżno nie straszę i że umiem cenić posłuszeństwo.—Straż przyrzekła czuwać noc i dzień. Roges podał im dla zachęty po kilka sztuk złota.

— Jeśli czujni będziecie, dostaniecie więcej.

— Tu idzie o coś ważnego — szepnął jeden, gdy Roges się oddalił.

— Z pewnością tak... w przeciwnym razie nie byłby tak szczodrym — odparł drugi.

Roges wsiadł tymczasem do lektyki i na ucztę pospieszył.

Biesiadnicy zapomnieli dawno o zemdlonej królewnie. Każdy nowonalany kubek podnosił wesołość i hałas w sali. Nie myślano o powadze miejsca, o obecności wszechmocnego władcy; niektórzy śpiewali wojenne pieśni, niektórzy ściskali się z serdecznością czerpaną z pucharów, innych jeszcze służba uprowadziła nieprzytomnych. Na końcu stołu siedział blady i milczący Kambyzes. Spoglądał on kiedy niekiedy na Bartyę. Im dłużej myślał, tem stawał się pewniejszym, że Egipcyanka jest narzędziem czarnej intrygi, uknutej przez Bartyę przeciw niemu. Rozmyślał, jakby ukarać winnych. Jeśli w istocie Nitetis przeciw niemu spiskowała, woląc widzieć na tronie perskim Bartyę, zasłużyła na śmierć. Lecz śmierć kończy cierpienia, Nitetis powinna cierpieć długo, bardzo długo... Naraz błysnął mu pomysł, aby jako sługę, umieścić Nitetis w pałacu i oddać pod rozkazy Rogesa...

A Bartyę?

Bratobójcą nie chce być, lecz nie zniesie go dłużej obok siebie, oddali z Persyi na zawsze. Co do Faraona, temu wojna się należy, wojna koniecznie; zniszczy, zburzy Egipt...

Tak postanowiwszy, uderzył naraz ręką w stół i zawołał:

— Przestańcie próżnej gadaniny i nieprzyzwoitego hałasu, a pomóżcie mi radzić, jaką dać odpowiedź Massagetom. Ciebie, Histopesie, jako najstarszego, pytam najprzód o zdanie.

— Według mnie Massagetowie wyboru nam nie zostawili — odparł zagadnięty — czyż będziesz walczył z pustym stepem?... Ponieważ jednakże rycerstwo kipi żądzą boju, brak zaś nieprzyjaciela, wynajdź go przeto sobie, to nic łatwiejszego.

Głośna radość była odpowiedzią na te słowa, lecz Krezus zabrał głos.

— Jako prawdziwy Pers nie widzisz, Histopesie, innego szczęścia, jak w wojnie — odezwał się poważnie. — Ja uważam, że o ile jest szlachetną sprawą stawiać czoło nieprzyjaciołom, którzy nas obrazili, o tyle niegodnem jest człowieka stwarzać powody do walki, dobywać miecza z pochwy dla samej przyjemności rozlewu krwi.

— Histopes ma racyą! — rzekło kilka głosów niezupełnie przytomnych.

— Możemy iść za obiema radami! — rzekł ktoś ze starszych.

— Powód do wojny dać może każdy naród — wtrącił się do rozmowy Artabesus. — Zapytajmy naprzykład Indusów, czyby chętnie zostali poddanymi Kambyzesa? Ręczę, że odpowiedzą przecząco, znaczyć to będzie, że nami gardzą, a zatem obrażą nas, a w takim razie Krezus na wojnę zezwala.

— Ja głosuję za zdaniem Lidyjczyka.

— Ja za Histopesa!

— I ja, i ja! — ozwały się liczne głosy.

Hałas wzmagał się z każdą chwilą.

— Niema wojny z Massagetami, sami bogowie pomścili Cyrusa!

— Wojny! wojny! — krzyczano.

Wtem podniósł się Kambyzes, który dotychczas słuchał w milczeniu tych okrzyków.

— Teraz uciszcie się i posłuchajcie waszego króla! — rzekł tonem rozkazu.

Słowa te podziałały jak różdżka czarodziejska; w sali zapanowała cisza.

Władca Persów rzekł:

— Nie pytam was, czy chcecie wojny, bo wiem aż nadto dobrze, że wolicie ją, niż gnuśny pokój, ale pragnę wiedzieć, cobyście na mojem miejscu odpowiedzieli Massagetom. Czy uważacie, że dusza mego ojca została pomszczoną? Czy mam przyjąć warunki podane mi przez nieprzyjaciela?...

Wszyscy jednocześnie odpowiedzieli twierdząco.

— Oto czego pragnąłem dowiedzieć się — mówił

Kambyzes — teraz opuszczam was, rankiem zbierzcie się przy bramie Bela, pójdziemy na łowy.

— Chwała królowi — ozwali się jednym głosem biesiadnicy.—Kambyzes ku drzwiom się zwrócił, a Roges wysunął się za nim. Na dziedzińcu spotkał ogrodnika z wiszących pałaców.

— Czego chcesz tutaj? — zapytał go surowo.

— Mam coś oddać królewiczowi Bartyi — odparł chłopak.

— Kto cię przysłał?

— Egipcyanka, mam od niej list.

— Oddaj mi go! — rzekł surowo Roges.

Chłopiec przestraszył się i cofnął.

— Nie mogę — szepnął.

Wtem nadszedł Kambyzes.

— Co się stało? — zapytał.

— Jakiś przekupiony posłaniec z ogrodów wiszących chciał się wcisnąć do twego pałacu, królu! — odparł Roges.

Chłopiec, poznawszy władcę, padł na kolana i rękę z listem wyciągnął do niego.

— Kto ci to dał? — zapytał król drżącym od gniewu głosem.

— Mandona — odparł chłopiec.

Kambyzes tupnął nogą.

— Mów wszystko! — krzyknął.

— Powiedziała, ażeby ten list oddać królewiczowi Bartyi, nikomu innemu, że jeśli się dobrze

sprawię, otrzymam nagrodę — dokończył chłopiec z lękiem.

— Nagrodę — zasyczał król — poczem zwrócił się do bramy, przy której straż stała.

— Weźcie go! — krzyknął strasznym głosem.

Chłopiec spojrzał błagalnie, ale w tej samej chwili nadbiegła straż, pochwyciła go, a król oddalił się posępny bardziej jeszcze, niż przedtem.

Roges zatarł ręce z radości.

— Idzie wszystko dobrze! — szepnął i do siebie podążył.

Niebawem Kambyzes kazał go przywołać i rzekł:

— Od tej chwili polecam twojej opiece wiszące ogrody i Egipcyankę. Pilnuj jej dobrze!... Głową byś odpowiedział, gdyby uciekła, lub gdyby ktokolwiek z nią mówił.

— A jeśli Kasandona lub Atosa zechcą ją odwiedzić? — zapytał Roges.

— Powiem im, iż sobie nie życzę, aby bywały w ogrodach wiszących, póki sprawa się nie wyjaśni— odparł król.

— Czy i nauczycielom Egipcyanki ma być wzbroniony przystęp?

— Tak.

— Mam do ciebie, królu, wielką prośbę.

— Złą porę wybrałeś — odparł szorstko Kambyzes.

Lecz Roges się nie zraził.

— Czuję się chory, pozwól mi, panie, odpocząć dni parę — ciągnął dalej — oddaj na dzisiejszą noc komu innemu dozór nad wiszącymi ogrodami.

— Nie! — rzekł stanowczo Kambyzes.

— Od jutra czuwać będę wiernie, dziś gotów bym niedbale spełnić swój obowiązek. Jestem niezdolny do czuwania.

Gniew błysnął w oczach króla.

— Stanowczo mam złe sługi — wybuchnął, lecz po chwili dodał nieco spokojniej — któż potrafi cię zastąpić?...

— Dowódca Kandanbes — odparł Roges — jest wierny i nieubłagany... Noc wypoczynku wróci mi zdrowie, zrób mi tę łaskę, królu!...

— Niechże cię zastąpi Kandanbes przez noc dzisiejszą i przez jutro — rzekł łagodniejszym nieco tonem król — powiedz mu, aby czuwał pilnie... Niechaj wie, że jedno niedbalstwo życiem przypłacić może.

— Jeszcze jedna prośba, królu — rzekł pokornie Roges — wiesz, że jutrzejszej nocy ma zakwitnąć w ogrodach wiszących błękitna lilia, Krezus oraz kilku Achamenidów pragną ją zobaczyć, czy będą mogli wejść do wiszących ogrodów?

— Mogą — odparł krótko Kambyzes.

Roges skłonił się pokornie i opuścił komnatę królewską.

Był tak uradowany, że niewolnikom, czuwającym przy drzwiach, rzucił parę sztuk złota.

Wszystko udawało się nadspodziewanie, los Nitetis zdawał się być rozstrzygniętym. Kambyzes przechadzał się zamyślony po swoim pokoju. Postanowił on wysłać Bartyę, jako satrapę, do którejkolwiek odległej prowincyi.

— Tronu mi nie wydrzesz — mówił sam do siebie — pierwej ja Egipt zdobędę.

Przez całą noc nie spał, snując groźne plany.

Gdy słońce weszło, wyruszył z liczną świtą na zapowiedziane łowy.

IX.

Polowanie udało się pomyślnie: całe stosy zwierzyny oddali myśliwi leśnikom.

Król własną ręką powalił kilka odyńców.

Myśliwi w tryumfie wrócili do pałacu i pospieszyli naprzód zmienić ubranie na wspaniałe, jedwabne szaty, aby zasiąść przy uczcie.

Król silił się cały dzień na dobry humor. Chciał być uprzejmym dla Bartyi, radził mu, aby następnego dnia wyruszył do Egiptu po Safo, obiecał, iż da mu liczną drużynę, aby dworno i wspaniale przybył po narzeczoną.

Mówiąc to, badawczo śledził wyraz twarzy Bartyi, co mieszało królewicza, bo nie rozumiał, dla czego król wpatruje się tak w niego. To podniecało burzę, która kipiała w sercu Kambyzesa, bo podejrzenia jego rosły.

Listu Nitetis nie mógł przeczytać, gdyż był pisany po grecku, co doprowadzało go do wściekłości.

Opuścił niebawem salę, goście zaś zabawiali się sami.

— Powiedz nam, Daryuszu, coś z gwiazd wyczytał? — zapytał naraz Bartya — widziałem cię wczoraj wpatrzonego w niebo, a sądząc dziś po tobie, przypuszczam, że musiały ci przepowiedzieć jakieś ważne wypadki.

Daryusz w istocie nie brał udziału w wesołości towarzyszy. Zbudzony z zamyślenia, spojrzał smutnym wzrokiem na Bartyę i rzekł:

— Powiem ci, gdy będziemy sami.

— Nie mam tajemnic przed moimi przyjaciółmi, mów tutaj! — rzekł Bartya.

— Są to nietylko twoje tajemnice. Pójdź do ogrodu ze mną, chcę z tobą pomówić.

To powiedziawszy, Daryusz ujął królewicza pod ramię i wyprowadził z sali.

Poszli w głąb ogrodu.

— Słuchaj, Bartyo, gwiazdy źle wróżą — rzekł Daryusz, zatrzymując się raptem — jakieś niebezpieczeństwo grozi ci, wyjedź dziś jeszcze do Egiptu.

— Czy naprawdę wierzysz w te przepowiednie? — zapytał Bartya — sądziłem, że badasz gwiazdy dla rozrywki.

— Wierzę—odparł z przekonaniem Daryusz— gwiazdy nigdy nie kłamią.

— W takim razie byłoby głupstwem uciekać od tego, co nas spotkać musi.

— Gwiazdy mówią, że grozi ci niebezpieczeństwo nad Eufratem. Jeśli oddalisz się stąd, niebezpieczeństwo cię nie dosięgnie.

— Czy lękasz się o moje życie? — zapytał Bartya.

— Nie! — odparł Daryusz.

— Więc o cóż?

— Pewien kapłan w Sais, najuczeńszy astrolog, jakiego znam, stawiał ze mną razem twój horoskop. On również mówił mi, że wisi nad twoją głową niebezpieczeństwo.

— I dotychczas zamilczałeś o tem?

— Pocóż miałem niepokoić cię przed czasem, ostrzegam teraz, bo chwila złego się zbliża.

— Dziękuję, będę ostrożny!...

— A teraz mam do ciebie prośbę.

— Jaką? — spytał Bartya.

— Chciałbym prosić Kambyzesa o rękę twojej siostry. Opowiem ci, kiedy powziąłem to postanowienie. Oto przed naszym wyjazdem do Egiptu, dwór przeprowadzał się, jak wiesz, z Ekbatany do Suzy. Objąłem dowództwo nad oddziałem straży, towarzyszącej kobietom dworu królewskiego. Nad Orontesem biegnie wązka droga po skalistem urwi-

sku. Konie przy powozie Kasandony i Atosy spłoszyły się i razem z ciężkim ekwipażem wpadły w przepaść. Możesz sobie wyobrazić nasze przerażenie. Popędziliśmy, co koń wyskoczy, na miejsce wypadku, pewni, że znajdziemy tylko szczątki powozu oraz zwłoki twej matki i siostry. Tymczasem bogowie inaczej zrządzili. Powóz zatrzymał się na stoku góry, pomiędzy dwoma olbrzymimi cyprysami.

Kasandona i Atosa, ujrzawszy nas, wyciągnęły ręce, wzywając ratunku.

Nie namyślałem się ani chwili, zeskoczyłem z konia i podążyłem do nich. Położenie było arcyniebezpieczne, powóz mógł lada chwila się rozbić, albowiem był już uszkodzony. Bogowie czuwali nad nami. Dotarłem szczęśliwie do wzywających ratunku i obie czcigodne kobiety wyratowałem.

W chwilę potem powóz wpadł w przepaść...

Bogowie nadludzkich sił mi dodali. Z dwiema kobietami trzymałem się jak mogłem nad przepaścią, oparty o pień drzewa, dopóki nie spuszczono nam liny, która ułatwiła wydobycie się na równą i pewną drogę.

Kasandona, przejęta uczuciem wdzięczności, rzekła wówczas do mnie:

„Należy ci się nagroda. Jeśli kiedy zechcesz pojąć za żonę Atosę, chętnie syna powitam w tobie."

Powiedziałem sobie, że zażądam jej z pewnością, poprzyj więc moją sprawę u Kambyzesa.

— Licz na mnie — odparł Bartya — ojciec twój jest naszym wujem. Pewien jestem, że Kambyzes oporu nie będzie stawiał.

— Czy pamiętasz dziwny sen waszego ojca? — zapytał Daryusz—sen ten stał się powodem, że Kambyzes jest mi niechętny.

— Dawne to dzieje, na pewno zapomniał o tem— odparł Bartya — pamiętam, śniło się mojemu ojcu, że tobie skrzydła wyrosły. Magowie wróżyli z tego snu, że będziesz z czasem ubiegał się o koronę, lecz po wypadku, o którym przed chwilą wspomniałeś, już o tem mowy nie będzie. Krezus wyjaśnił bowiem, że sen sprawdził się już: skrzydlaty jeno orzeł mógł tak długo jak ty wisieć z ciężarem nad przepaścią.

— Jednak to tłómaczenie niezbyt zadowolniło króla — rzekł Daryusz — chce, aby on sam był jeno orłem w Persyi. Otoczony jest tłumem pochlebców. Jeden Krezus nie schlebia jego dumie.

— Lecz gdzież Krezus? — zapytał Bartya, przypomniawszy sobie starego przyjaciela — nie widziałem go dziś przy uczcie.

— Nie widziałem go po łowach, a i Zefirusa także — rzekł Daryusz.

— Zefirus spieszy do was — dał się słyszeć głos wesoły tego wiernego druha Bartyi — niezbyt grzecznym jesteś, Bartyo, zaprosiłeś nas na

ucztę, a salę opuściłeś. Cóż to za spiski knujesz? Goście są zmuszeni bez gospodarza wypróżniać puhary.

— Żeby się wszystkie gwiazdy przeciw mnie zmówiły, zostanę jeszcze w Babilonie parę dni — rzekł do Daryusza Bartya. — Jutro zapytam Kasandony, czyby ona w twej sprawie i Atosy z Kambyzesem nie pomówiła.

Rzekłszy to, oddalił się.

Daryusz patrzał dalej w niebo: coraz smutniejszą stawała się twarz jego. Wreszcie zawołał:

— Biedny Bartya!

W tej samej chwili zwróciła jego uwagę pewna gwiazda. Począł się w nią pilnie wpatrywać i uśmiech pojawił się na jego ustach, podniósł dumnie czoło.

— Próbuj, Daryuszu, skrzydeł — szepnął głosem wzruszonym — gwiazda twoja przy tobie!

Poczem wrócił do ucztujących.

Myśliwi pili jeszcze wino i rozmawiali wesoło; połączył się z nimi.

Wtem na progu sali ukazał się Krezus. Był bardzo blady i widocznie pomieszany.

Wzrokiem pełnym niepokoju obiegł stół i wreszcie przystąpił do Bartyi.

— Nieszczęsny, jeszcześ tutaj? — szepnął, pochyliwszy się do jego ucha — uciekaj czemprędzej. Straż cię szuka. Jeśli nie zdążysz skryć się, śmierć cię czeka.

— Ależ, Krezusie! — zawołał tonem zdziwienia Bartya i chciał dodać:

— Tobie się chyba zdaje?... Nic nie przewiniłem...

Krezus nie dał mu dokończyć zdania.

— Uciekaj, mówię ci — powtórzył — jeśli nawet w niewinnej myśli byłeś w wiszących ogrodach, to w każdym razie przestąpiłeś zakaz króla i przez to na śmierć zasłużyłeś.

— Nie rozumiem cię! — odparł Bartya — ja byłem w wiszących ogrodach?...

Krezus spojrzał na niego z wymówką.

— Zbłądziłeś, lecz kłamstwa przynajmniej się nie dopuszczaj; kłamstwem brzydzi się każdy Pers— rzekł surowo — uciekaj, błagam cię!

— Przysięgam ci!...— usprawiedliwiał się Bartya.

Lecz stary przyjaciel nie dał mu dokończyć.

— Słyszę kroki, straż się zbliża. Uciekaj, mówię!...

— Zostanę — odparł stanowczo królewicz — mogę przysiądz, że noga moja nie postała dzisiaj w wiszących ogrodach.

Krezus załamał ręce i spojrzał na niego ze smutkiem głębokim.

— Zaślepieńcze... ależ nie ja tylko cię widziałem — rzekł — widzieli cię Achamenidzi, widział cię Histaspes!

Bartya oniemiał ze zdziwienia, po chwili jednak zwrócił się do towarzyszy uczty.

— Przyjaciele, Krezus chce mnie przekonać, że przed pół godziną byłem w wiszących ogrodach. Proszę, zaświadczcie, że od zachodu słońca nie opuszczałem was ani na chwilę.

— Zły duch chyba mami Krezuza! — odezwał się Daryusz.

— Przysięgam ci, ojcze! — wykrzyknął Giges — Bartya od godzin kilku nas nie opuszczał.

— Potwierdzamy to wszyscy! — zawołali inni.

— Chcecie mnie oszukać! — wykrzyknął starzec — sądzicie, że kłamliwe świadectwa obalą zdanie szlachetnych starców. Mimo waszych przysiąg Bartyę spotka śmierć, jeśli uciec przed zemstą Kambyzesa nie zdoła.

— Niech mnie bogowie ukażą, jeśli syn Cyrusa był przed pół godziną w ogrodach wiszących — zawołał Araspes, wiekiem poważny Pers, który lubiąc młodzież, zawsze towarzystwa jej dotrzymywał.

— Jeśli fałszywie świadczyliśmy, możesz się zaprzeć, ojcze, twego syna! — dodał Giges.

— Gwiazdy prawdę mówiły — rzekł Daryusz do Bartyi. — Oto straż się zbliża, posłuchaj rad Krezusa.

— Nie mogę uciekać — odparł Bartya — ucieczką potwierdziłbym zdanie tych, którzy mówią, iż jestem winny... Na duszę mojego ojca, na cienie mojej matki, na czyste światło słońca przysięgam, Krezusie, że prawdę powiedziałem!

— Mamże ci wierzyć wbrew moim oczom? — wyrzekł z goryczą starzec. — Kocham cię, więc powtarzam raz jeszcze, uciekaj czemprędzej! Znasz Kambyzesa... Powóz mój stoi przy bramie, uciekaj więc co żywo! Żołnierze zapewne wiedzą, co ci grozi, dla tego zwlekają z przyjściem, radziby ocalić zwłoką ulubieńca swego. Uciekaj, jeśli ci jest życie miłem!

— Uciekaj, Bartyo! — zawołał Daryusz, ciągnąc przyjaciela za rękę — pomnij na znaki, jakie ci niebo dało!

Ale Bartya wstrząsnął stanowczo głową.

— Nigdy nie uciekałem i teraz stawię odważnie czoło niebezpieczeństwu! — odparł. — Wolę śmierć, niż tchórzem się okazać, wolę, żeby inni krzywdę mi wyrządzili, niż hańbę.

W tej chwili ukazali się na progu sali żołnierze. Bartya podszedł do dowódcy.

— Dzień dobry, Biresie — rzekł z zupełnym spokojem — kazano ci mnie aresztować, idę natychmiast, tylko pożegnam przyjaciół.

Bires, stary pułkownik Cyrusa, który Bartyę uczył strzelać, potem walczył z nim razem przeciw Tapurom, kochał go, jak syna, więc też odparł głosem wzruszonym:

— Nie potrzebujesz się z nimi żegnać, bo król rzuca się jak szalony i w strasznym gniewie rozkazał wziąć cię i wszystkich, którzy będą przy tobie.

Poczem dodał ciszej:

— Król grozi ci śmiercią. Musisz uciekać. Moi ludzie słuchają mnie ślepo. Nikt gonić cię nie będzie. Jam już stary, choć głowa moja spadnie, Persya niewiele na tem straci.

— Dziękuję ci, przyjacielu — odrzekł Bartya — nie mogę jednak przyjąć twojej ofiary. O siebie jestem spokojny, dziś jeszcze przekona się król o mojej niewinności... Pójdźcie, przyjaciele! — dodał, zwróciwszy się do towarzyszy.

* * *

W dwie godziny później Bartya z towarzyszami stanął przed Kambyzesem.

Olbrzym siedział blady, z zapadniętemi oczami. Za nim stali dwaj lekarze. Przed chwilą ratowali oni króla w napadzie strasznej choroby, zwanej epilepsyą, której Kambyzes podlegał.

Dawno nie miał ataku; dziś, wskutek nadmiernych wzruszeń, choroba wróciła z niesłychaną gwałtownością.

Gdyby był spotkał przedtem Bartyę, byłby go napewno zabił, teraz jednakże o tyle się uspokoił, że mógł przesłuchać oskarżonych.

Po prawej stronie tronu stali: Histospes, ojciec Daryusza, Gabryas, Intafernes, dziadek Fatymy, arcykapłan Oropastes, Krezus, a za nimi Roges.

Po lewej stronie zajął miejsce Bartya z łańcuchami na rękach, przy nim Araspes, Daryusz, Zefirus i Giges.

W głębi sali znajdowali się różni wielcy panowie i dostojnicy.

Po długiem milczeniu Kambyzes podniósł ponury wzrok na brata i zapytał, zwracając się do arcykapłana:

— Powiedz mi, na co zasłużył ten, kto oszukał brata, chciał zająć tron jego i kłamstwem serce swe zakrwawił?

Oropastes odpowiedział:

— Taki godzien jest na ziemi śmierci męczeńskiej, na tamtym świecie strasznego sądu, gdyż trzykrotnie przestąpił prawa naszego kraju i trzy zbrodnie popełnił.

— Więc Bartya winien jest śmierci—rzekł Kambyzes—weźcie go żołnierze i uduście. Niechaj nie słyszę więcej słodkiego głosu tego nędznika, niechaj oczu jego kłamliwych więcej nie widzę!

Pułkownik Bires zbliżył się, aby rozkaz wykonać, w tej samej jednak chwili Krezus padł na kolana przed Kambyzesem, wzniósł ręce ku niemu i zawołał:

— Niech każdy dzień i każdy rok szczęście ci przynosi, niechaj Ormuzd zlewa na ciebie wszystkie swoje błogosławieństwa, a nieśmiertelni strzegą twego tronu. Błagam cię, nie zamykaj uszu na mowę starca, którego Cyrus twym doradcą mianował... Nie idź za popędem gniewu, ale staraj się gniew opanować. Obowiązkiem mędrca i króla jest zbadać występek, za

nim wyrok wyda... Jeśli zbadawszy sprawę spokojnie, przekonasz się o winie brata i wydasz wyrok, zyskasz przydomek sprawiedliwego sędziego, w przeciwnym razie bratobójcą cię nazwą.

Kambyzes wysłuchał w milczeniu słów starca, poczem kazał Rogesowi powtórzyć oskarżenie.

— Byłem chory — zaczął Roges — musiałem powierzyć opiekę nad Egipcyanką Kandanasowi, który nieuwagę swoją już odpokutował śmiercią. Pod wieczór uczułem się lepiej i poszedłem do ogrodów wiszących sprawdzić, czy wszystko w porządku i zobaczyć ów sławny kwiat, który się w tej nocy rozwijał. Król, którego niechaj Ormuzd strzeże, rozkazał mi pilnować Egipcyanki. Gdy gwiazdy zabłysły na niebie, stałem właśnie z arcykapłanem i Krezusem przy błękitnej lilii, podziwiając jej piękność, poczem przywołałem Kandonasa i w obecności tych szlachetnych świadków zapytałem, czy wszystko w porządku. Odpowiedziano twierdząco. Nitetis przez cały dzień płakała i nie chciała przyjmować żadnego pokarmu. Zaniepokojony o jej zdrowie, posłałem po lekarza, sam zaś miałem się właśnie udać do królowej, gdy nagle w blasku księżyca spostrzegłem jakąś postać.

Byłem chory i osłabiony, nie miałem żadnego z podwładnych ze sobą, więc prosiłem Achamenidów, aby poszli ze mną ku temu śmiałkowi, który ważył się przestąpić twój zakaz, królu. Nagle człowiek ten zwrócił się szybko ku furtce ogrodu...

Niech mnie bogowie ukarzą, jeśli to nie był Bartya!

Obecni słuchali z natężoną uwagą.

Kambyzes zacisnął pięści i głosem drżącym zapytał:

— Czy możesz potwierdzić słowa Rogesa, Histaspesie?

— Potwierdzam — odparł ojciec Daryusza — królewicz zapewne spisek chciał uknuć pod bokiem króla, w jego własnych pałacach.

— Czemużeście nie przytrzymali winowajcy? — zapytał Kambyzes.

— Bo jesteśmy rycerzami — odezwało się kilka głosów — nie nasza rzecz policya!

— Czyście wszyscy poznali Bartyę? — badał król dalej.

— Wszyscy — zabrzmiała odpowiedź.

— Mogło nas zwieść jakieś dziwne podobieństwo—dodał Krezus—szukam w myśli kogoś podobnego do Bartyi.

Roges zbladł, lecz Kambyzes widocznie nie zwrócił uwagi na słowa przyjaciela, rzekł bowiem:

— I któżby mógł być sędzią u mnie, gdybym nie polegał na świadectwach tak poważnych mężów, jakimi wy jesteście, towarzysze moi!

— A jednak ich własni synowie dowodzą ci, królu, że to nie był Bartya — mówił Daryusz.

— Ważycie się przysiądz na to? — krzyknął król.

— Ważymy — odparli młodzi przyjaciele królewicza.

— Zdrajcy! — zawołał król, lecz spotkawszy upominający wzrok Krezusa, pohamował gniew i dodał spokojniej:

— Cóż macie do powiedzenia na korzyść przestępcy?

— Możemy przysiądz, że od powrotu z polowania Bartya ani na chwilę nas nie opuszczał, a Daryusz dodał:

— Ja szczególniej mogę świadczyć o niewinności Bartyi, bo razem z nim przyglądałem się Syryuszowi, który według słów Rogesa miał przyświecać wycieczce twego brata, królu!

Roges znowu się zmieszał. Kambyzes spoglądał to na jednych świadków, to na drugich, sam nie wiedział co począć.

Wtem wystąpił Bartya, który dotychczas z niemym smutkiem przypatrywał się swoim kajdanom.

— Czy pozwolisz mi, królu, powiedzieć parę słów? — zapytał.

— Mów! — odparł szorstko Kambyzes.

— Ojciec dał nam przykład, aby iść drogą prawdy i dobra, dla tego nie splamiłem nigdy jeszcze ust moich kłamstwem. Jeśli widzisz chociaż najlżejszą plamę w mojem życiu, to mi ją wskaż... Przyznaję, że nigdy sędzia nie był w trudniejszem położeniu, niż ty obecnie. Najpierwsi dostojnicy państwa świad-

czą przeciw sobie, synowie przeciw ojcom... Ale ja nie znalazłbym się nigdy w takiem położeniu. Gdyby cała Persya uwzięła się oskarżać cię przede mną o czyn jaki niegodny, a tybyś powiedział mi: „Nie zrobiłem tego“, nazwałbym wszystkich kłamcami. O, prędzej woda w ogień się zamieni, niż usta syna Cyrusowego splamią się kłamstwem! Obaj stoimy tak wysoko, iż tylko ja przeciw tobie, lub ty przeciw mnie świadczyć możemy.

Kambyzes spojrzał łagodniej na brata, który ciągnął dalej.

— Niech przekleństwo bogów spadnie na mnie, jeśli po moim powrocie z Egiptu byłem chociaż raz w ogrodach wiszących, jeśli zdradę przeciw tobie żywię w sercu!

Mówił z taką pewnością, z takiem przejęciem, iż Kambyzes zachwiał się w swoich podejrzeniach.

— Jutro zwołamy magów, może oni wyjaśnią nam ten dziwny wypadek — rzekł łagodniej. — Oropastesie, jakie twoje zdanie w tej sprawie?

— Iż zły duch przyjął postać Bartyi, aby go zgubić — odparł arcykapłan.

Wtem wszedł służący z krótkim sztyletem, który podobno jakiś niewolnik znalazł w sieni pałacu ogrodów wiszących. Kambyzes obejrzał broń, kosztownie turkusami ozdobioną, i rzucił ją pod nogi bratu z taką siłą, iż kilka drogich kamieni wypadło.

— To twój sztylet, nędzniku! — krzyknął — dziś rano dobiłeś nim odyńca, którego ja ugodziłem

pierwszy. Teraz jestem przekonany, żeś kłamca i oszust, złe duchy broni nie potrzebują... Co?... zbladłeś?... chwytasz się za pas?... noża nie masz?...

— Musiałem go zgubić, lub może jaki ukryty nieprzyjaciel... — zaczął tłómaczyć się zmieszany królewicz.

— Zwiąż go, Biresie — odprowadź do więzienia! — krzyknął król rozdrażnionym głosem — zabierz jego fałszywych świadków, nie chcę dłużej patrzeć na nich... Jutro dowiedzą się, jak w Persyi bywa karaną zdrada i krzywoprzysięstwo!

To rzekłszy, zachwiał się i zsunął się z tronu na marmurowę posadzkę sali: dostał znowu ataku epilepsyi.

W tej właśnie chwili weszła Kasandona, która teraz dopiero dowiedziała się o całym wypadku.

Wierzyła w niewinność Bartyi, chociaż jak inni, nie umiała sobie wiele rzeczy w tej sprawie wytłómaczyć. Drżała, aby Kambyzes nie wydał wyroku śmierci, zanim tajemnica się wyjaśni.

Krezus pospieszył na spotkanie wchodzącej i opowiadał jej, co się stało przed chwilą w sali.

Tymczasem panowie przenieśli króla do sypialni i na łożu umieścili.

Krezus poprowadził za nimi Kasandonę.

Niewidoma usiadła u nóg syna, który już odzyskał przytomność i zaczęła go napominać, aby unikał wzruszeń, które szkodzą jego zdrowiu.

— Masz słuszność, matko — odparł z gorzkim uśmiechem Kambyzes — to też myślę usunąć z mej drogi wszystko, co mój gniew wywołuje. Bartya musi umrzeć. Przy pomocy Egipcyan chciał zająć moje miejsce.

Próżno Kasandona używała całej swojej wymowy, aby zmiękczyć serce syna, był nieugięty, nareszcie rzekł tonem podrażnionym:

— Jestem wyczerpany, nie mogę cię dłużej słuchać, matko, odejdź proszę... Nitetis przesłała list Bartyi.

— Jakaż treść tego listu? — zapytała zmartwiona Kasandona.

— Po grecku był pisany, jutro każę go przetłómaczyć — odparł Kambyzes.

— Pozwól mnie, królu, uczynić to zaraz — rzekł Krezus.

Kambyzes wskazał ręką pudełko z kości słoniowej, stojące na stoliku.

— Weź i przeczytaj! — rozkazał — lecz strzeż się słów opuścić, pamiętaj, że jutro list ten przetłómaczy mi kupiec grecki, przybyły z Synopy.

Nadzieja wstąpiła w serce starca, gdy jednak przebiegł wzrokiem pismo Nitetis, smutek powrócił na jego lica.

— Czytaj! — rzekł Kambyzes drżącym głosem.

„Nitetis, córka Amazysa z Egiptu, do Bartyi syna Cyrusowego — zaczął czytać zmieszany Krezus. —

Mam ci, bracie, coś ważnego do powiedzenia... Fachot jest niebezpiecznie chora, muszę się z tobą widzieć, pomówić z tobą, a nie wiem, jak to uczynić, poradź się matki."

— Dość!—krzyknął Kambyzes—odejdź, matko, nie chcę więcej słyszeć imienia Bartyi. Czy mnie rozumiecie?... Chcę sam pozostać.

Krezus i Kasandona oddalili się.

* * *

Bartya z przyjaciółmi obsiedli w więzieniu stół zastawiony do ostatniej uczty.

Wina im nie brakowało.

— Weselmy się, towarzysze, bo niedługo już pozwolą nam życia używać! — zawołał Zefirus — pocieszmy się tą myślą, iż lepiej jest umierać razem, niż samotnie.

— Szkoda jednak, iż mamy tylko po jednej szyi, gdybyśmy mieli po dwie, ocalilibyśmy może drugie — dodał Giges.

— Ma słuszność Zefirus — odezwał się Araspes — weselmy się, bracia, gdyż wkrótce oczy zamkniemy na zawsze!

— Kto jak my niewinnie idzie na śmierć, nie ma się czego smucić — rzekł Zefirus. — Hej! Bar-

tyo i Daryuszu, co tam sobie opowiadacie? Chodźcie do dzbana.

— Usiłujemy wyjaśnić wypadek, którego ofiarą padliśmy — odparł Daryusz, wyciągając rękę z czarą do Zefirusa, który trzymał dzban w ręku.

— Mnie tam wszystko jedno, czy umrę z wyjaśnieniem, czy bez wyjaśnienia — odparł Zefirus — wystarcza mi przekonanie własne, żem niewinny... Biresie, przynieś złote puhary — dodał, zwróciwszy się do dowódcy straży — z tych, mosiężnych, wino nie smakuje.

— Nie naczynie, z którego pijesz, lecz przedsmak śmierci, w niem zawarty, obrzydza ci wino! — rzekł Bartya.

— O, co to, to nie! — odparł Zefirus — zapomniałem nawet, że uduszenie zabija, a nachyliwszy się do Gigesa, szepnął: — Bądź wesołym, czyż nie widzisz, jak przykro jest Bartyi rozstać się z ziemią? Cóż ty myślisz, Daryuszu, o całej tej sprawie?

— Myślę, że dobrze mówił Oropastes, iż zły duch przyjął na siebie postać Bartyi, aby nas zgubić — odparł syn Histaspesa.

Zefirus ruszył ramionami.

— Zły duch! — powtórzył ze wzgardą. — Któż wierzy jeszcze w złe duchy?

— Nawet król Cyrus wierzył w opowieści o złych duchach—wmięszał się do rozmowy Araspes.

— Które czyhały zawsze na szczęście ludzkie, gdyż dobre duchy występowały w obronie ludzi — dodał Daryusz.

— Tak samo będzie z nami, zobaczycie! — wykrzyknął wesoło Zefirus. — Kambyzes i ojcowie nasi przekonają się wkrótce, że niesłusznie nas posądzali.

Gdyby jednakże nas udusili, w takim razie pójdziesz, Biresie, do magów i do Nebeuchaziego, aby im powiedzieć, że mogą nie patrzeć więcej w gwiazdy, gdyż dowiodły Daryuszowi, że kłamią w przepowiedniach.

— Zawsze mówiłem, że tylko w sny można wierzyć — odezwał się Araspes — zanim Abradat padł pod murami Sardes, żona widziała go we śnie, przeszytego lidyjską strzałą.

— Okrutny, czego nam przypominasz, iż na polu bitwy umiera się przyjemniej, niż w więzieniu! — zawołał Zefirus.

— Widziałem wiele śmierci, nietylko przyjemniejszych od tej, jaka nas czeka, ale milszych nawet, niż życie w pewnych warunkach — rzekł Araspes.

Bartya westchnął.

— Wielki Ormuzdzie, czemu nie chcesz, abym umarł jak Abradat, lecz każesz kończyć mi życie, jak prostemu zbrodniarzowi? — szepnął sam do siebie.

Wtem drzwi od więzienia rozwarły się, i straż wprowadziła Krezusa, który miał ręce spętane.

Młodzi ludzie rzucili się ku niemu i obsypali go pytaniami.

Rysy starca skurczyły się, jakby od bólu, oczy patrzały surowo, niemal groźnie.

Gdy Bartya przystąpił do niego, odsunął go mimowolnym ruchem ręki i rzekł drżącym od oburzenia głosem:

— Nie wart jesteś miłości, którą cię otaczałem, oszukałeś brata, podszedłeś przyjaciół, a wszystko to uczyniłeś dla dogodzenia podszeptom nieszczęsnej pychy.

Bartya słuchał zrazu starego przyjaciela z bolesnem ździwieniem.

Po chwili Krezus zbliżył się do niego i ująwszy go za rękę, zapytał serdecznie:

— Powiedz mi, chłopcze, jakim sposobem czyste twoje serce tak prędko złemu opętać się dało?

Bartya rozpłakał się głośno, po raz pierwszy zwątpił w sprawiedliwość bogów. Jego dziecinna natura, zahartowana przeciw ziemskim nieprzyjaciołom, nie umiała stawić czoła ciosowi zadanemu niewidzialną ręką.

Zefirusowi żal się zrobiło przyjaciela i począł wyrzucać Krezusowi:

— Męczycie się i drażnicie wzajemnie, a oskarżony nie wie nawet, o co go posądzają.

— Jest posądzony, że razem z królem Egiptu Amazysem uknuł spisek przeciw bratu rodzonemu —

rzekł Krezus — podobno nie Safo, lecz Fachot, córka Faraona, jest jego narzeczoną. Nitetis — to sierota, przybrane dziecko Amazysa.

Fachot, ukochana jedynaczka, wybrała sobie za małżonka Bartyę. Amazys obiecał ją królewiczowi, jeśli tron Persyi Bartya zdobędzie. Nitetis, która uwielbia Fachot, podjęła się roli zgładzenia ze świata Kambyzesa, działa razem z Bartyą, stąd ich zmowy i listy tajemne.—Bartya przestał płakać.

Ta powieść, pełna kłamstw najniepodobniejszych do prawdy, oburzyła go.

— Proszę, powiedz mi, Krezusie — zapytał w tej chwili Daryusz — w imię przyjaźni, jaka nas dotychczas łączyła, co cię skłoniło do uwierzenia w winę Bartyi, którego dotychczas broniłeś? Czynisz mu potworne zarzuty.

— Sztylet jego i list Nitetis — odparł Krezus.

— Gdybyś mnie szczerze kochał, wierzyłbyś mnie tylko! — rzekł z wymówką Bartya.

— Ja cię nie kocham? — wykrzyknął Krezus — ależ, chłopcze, toć żeby cię uratować, przegrałem przed chwilą życie moje! Dowiedziawszy się, iż Kambyzes spełnił groźbę i wydał na was wyrok śmierci, udałem się do niego i błagałem go o łaskę. Gdy odepchnął tę prośbę, ośmieliłem się czynić mu wyrzuty. Obrażony kazał mi ręce spętać, tutaj odprowadzić i powiedział, że umrę razem z wami.

Umilkł Krezus, a Daryusz, aby go przekonać o niewinności Bartyi, opowiedział mu, jak królewicz spędził ostatni wieczór.

Krezus sam teraz nie wiedział, co myśleć o tym szczególnym wypadku.

Na własne oczy widział Bartyę w ogrodach wiszących, a Daryusz dał dowody, że był z nim wówczas w ogrodach królewskich.

— To dziwne, dziwne bardzo! — powtarzali wszyscy.

Tymczasem weszło słońce i wesołym blaskiem opromieniło więzienie.

— Świt czyni nam trudnem rozstanie się ze światem — szepnął Bartya.

— O, nie, to słońce chce nam tylko przyświecać w drodze do wieczności — odparł Krezus.

X.

Wiadomość o zaszłych wypadkach w pałacu królewskim obiegła wszystkie ulice Babilonu.

Zanim słońce rozprószyło cienie tej smutnej nocy, kto tylko mógł, pospieszył do bramy miasta, którą miała być wyprowadzoną sromotnie Egipcyanka, odepchnięta ze wzgardą przez króla.

Jednych ciekawość przygnała, drugich nienawiść do cudzoziemki, która ich rodaczkę, córkę Achamenidów upokorzyła.

Gdy jednakże pomiędzy zebranym tłumem rozeszła się druga pogłoska, że królewicz Bartya na śmierć skazanym został, gniew zakipiał we wszystkich sercach.

— Więc dobry syn Cyrusa miałby być zabitym?... Nie, na to nie pozwolimy! — wołano zewsząd.

Powstała taka wrzawa w mieście, takie zamieszanie, że stróże porządku musieli wezwać do pomocy oddział gwardyi królewskiej.

Lud ustąpił przed siłą, niebawem jednakże zjawiły się nowe tłumy i bramę miasta obległy.

Cały oddział stróżów porządku publicznego pilnował tej części miasta.

Już słońce podniosło się wysoko, parę godzin brakowało tylko do sromotnego wyprowadzenia Nitetis za miasto, gdy ujrzano zdaleka zbliżający się do bramy wóz, za którym dążył dwukonny mniejszy wózek i platforma z ciężarami.

W pierwszym wozie siedział szlachetnej postawy mąż w perskim stroju, a przy nim starzec w białej, długiej sukni.

Na wózku widać było kilku niewolników w prostych koszulach i w filcowych kapeluszach, o rondach szerokich.

Woźnica z trudnością torował sobie drogę wśród pospólstwa, musiał nareszcie wezwać do pomocy stróży porządku publicznego.

— Zróbcie nam miejsce! — krzyknął — królewska poczta czekać nie może, wiozę znakomitego pana.

— Cierpliwości, mój synu, sam widzisz, że dzisiaj łatwiej wyjechać z miasta, niż wjechać—odparł jeden ze straży — a kogo wieziesz?

— Mówiłem, że możnego pana — odparł woźnica — posiada on pozwolenie królewskie na przejazd, przepuść nas!

— Co prawda, świta wasza nie na towarzyszy możnego pana wygląda — rzekł stróż.

— Wygląda, czy nie wygląda, mam w każdym razie pozwolenie królewskie przy sobie. Natychmiast rozpędź tłum.

— Muszę pozwolenie zobaczyć, zanim was wprowadzę do miasta — odparł stróż równie podniesionym głosem.

Na te słowa człowiek w perskim stroju sięgnął za suknię, dobył jakiś zwitek papieru z pieczątką królewską i podał go.

Stróż przyjrzał się pieczątce.

— Dobra! — rzekł, poczem zaczął czytać wyrazy skreślone na papierze.

Zaledwie przebiegł kilka, nachmurzył się, spojrzał ostro na podróżnego i schwycił konia za cugle, wołając:

— Do mnie ludzie!... to oszust!...

Podróżny i cały jego orszak ani myśleli uciekać.

— To pozwolenie nie dla ciebie wydanem zostało — wołał stróż, ochłonąwszy z pierwszego gniewu. — Giges, syn Krezusa, za którego się podajesz, siedzi w więzieniu i dziś jeszcze będzie straconym. Pożałujesz, żeś się podszył pod jego nazwisko, wysiądź i chodź za mną!...

— Raczej ty, pułkowniku, wsiądź do naszego wozu — odparł grzecznie podróżny — dowiesz się wiele ciekawych rzeczy ode mnie.

Stróż porządku miejskiego wahał się zrazu, następnie jednak posłuchał wezwania. Podróżni wjechali do miasta.

— Czy wyglądam na oszusta?—zapytał pierwszy podróżny łamaną mową perską.

— Nie — odparł stróż — choć nie jesteś Persem, wydajesz się być w każdym razie panem szlachetnego rodu.

— Jestem Grekiem, przybywam do Babilonu w ważnej sprawie, aby oddać wielką przysługę Kambyzesowi — mówił podróżny. Giges, bawiąc w Egipcie, pożyczył mi swego paszportu na wypadek, gdybym kiedy potrzebował jechać do Persyi. Nietylko nie obawiam się stanąć przed królem, lecz przeciwnie spodziewam się, że zjednam sobie jego łaski. Jeśli obowiązek twój na to pozwala, poprowadź mnie najprzód do Krezusa, on zaręczy za mnie. Tymczasem powiedz mi, co zawinił Giges i co znaczy to zbiegowisko na ulicy?

Stróż zaczął opowiadać szczegółowo o wszystkiem, co się zdarzyło w pałacu królewskim. Grek słuchał z natężoną uwagą. Cała ta opowieść, szczególniej wypadki tyczące się osoby Nitetis, zdawały się głęboko go wzruszać. Smutek powlókł piękne jego oczy.

Niebawem uśmiechnął się jednak i zapytał:

— Czybyś się cieszył, gdybym ocalił Bartyę od śmierci?

— Niewypowiedzianie—odparł dowódca straży.

— W takim razie wyrób mi posłuchanie u króla, zanim wyrok śmierci spełnionym zostanie — rzekł podróżny.

— Rzecz to bardzo trudna do wykonania.

— Wiem o tem, lecz pamiętaj, że potrafię dowieść królowi, iż Bartya jest niewinny, przyczynisz się więc do ocalenia waszego ulubieńca.

Dowódca westchnął.

— Myślę, jakby się wziąć do rzeczy, do kogoby zakołatać w tej sprawie.

— Mówiłeś, że Daryusz należy do skazanych?

— Tak.

— Ojciec jego ma wielkie poważanie na dworze?

— Tak, zajmuje on po królu pierwsze miejsce w państwie.

— Więc poprowadzisz mnie najprzód do niego... Przyjmie mnie uprzejmie, jeśli się dowie, że mogę uratować jego syna.

— Dziwny z ciebie człowiek, cudzoziemcze, tyle masz pewności siebie...

— Że musisz mi wierzyć—przerwał mu Grek. Zatem działaj energiczniej, za wolno jedziemy... Krzyknij na ludzi, aby torowali nam szybciej drogę wśród tłumu.

Dowódca straży wychylił się z wozu.

— Ten szlachetny pan przybył, aby dowieść niewinności Bartyi — rzekł głośno — musi uzyskać jak najprędzej posłuchanie u króla, utorujcie mu drogę do pałacu, przyjaciele!

Szybko, jak błyskawica, rozbiegła się ta radosna wieść po ulicach Babilonu.

Okrzykami radości witało pospólstwo wjeżdżających cudzoziemców i usuwało się im z drogi.

Niebawem zatrzymali się oni przed pałacem Kambyzesa.

Jeszcze bramy nie otwarto przed przybyłymi, gdy ukazał się drugi orszak, a na jego czele w żałobnych szatach stary Histaspes.

Dowódca straży poznał go natychmiast, wyskoczył z wozu i skrzyżowawszy ręce na piersiach, oznajmił, kto przybył i w jakim celu do Babilonu.

Histaspes odparł, że utoruje drogę cudzoziemcowi do stóp tronu, że sam pierwej pomówi z Kambyzesem, poczem pospieszył na pokoje królewskie.

Kambyzes blady spoczywał na nizkiem wezgłowiu, przy nim klęczał podczaszy, zbierając szczątki szklannego puharu, który rzucił mu władca przed chwilą pod nogi, ponieważ nie smakowało mu podane wino.

W pewnem oddaleniu stał tłum dworzan wylękłych, drżących o swoje życie.

W komnacie panowała głęboka cisza, przez rozwarte okno wpadało oślepiające światło i duszący upał babilońskiego lata.

Zanim jeszcze sługa oznajmił przybycie Histospesa, Kambyzes, rozdrażniony upałem, zerwał się z wezgłowia i krzyknął:

— Na polowanie!

Strzelcy i mastalerze skoczyli spełnić rozkaz władcy, a król wołał za nimi:

— Pojadę na dzikim rumaku Raksu, zabierzcie wszystkie psy i sokoły!

Poczem, jak gdyby te słowa wyczerpały całą jego siłę, rzucił się znowu na łoże, nie zauważywszy wchodzącego Histaspesa.

Ojciec Daryusza nie śmiał pierwszy przemówić, stanął naprzeciw Kambyzesa i czekał cierpliwie, aż ten zwróci na niego uwagę.

Król spostrzegł go wreszcie.

— Czego żądasz ode mnie? — zapytał posępnie.

Histaspes zgiął kolana.

— Chwała niech będzie królowi — rzekł, chyląc głowę pokornie — twój biedny wuj i sługa przyszedł prosić cię o łaskę.

— Wstań i odejdź — odparł posępnie Kambyzes — dla krzywoprzysięzców niema przebaczenia, lepiej jest nie mieć syna, niż takiego, który okrywa się hańbą.

— Gdyby jednak Bartya okazał się niewinnym? — zapytał Histaspes.

Kambyzes porwał się z miejsca.

—Ośmielasz się przeczyć memu wyrokowi? — zapytał głosem wzburzonym.

— Co król postanowi, postanowi zawsze dobrze — odparł pokornie Histaspes — ale...

— Milcz! — zahuczał Kambyzes — nie chcę poruszać więcej tych brudów.

— Gdyby jednak Bartya był niewinnym — powtórzył Histaspes — gdyby bogowie...

— Nieśmiertelni nie wspomagają oszustów. Nie łudź się, starcze — przerwał mu Kambyzes.

Wtem drzwi komnaty się otwarły, na progu stanął jeden z dworzan.

— Jakiś cudzoziemiec o posłuchanie prosi! — rzekł.

— Ze mną tutaj przybył — dodał Histaspes — to nowy świadek niewinności Bartyi.

— Nowy świadek — powtórzył król — połowę państwa mego oddałbym temu, ktoby mi dowiódł niewinności tylu blizkich mi osób.

— Chwała memu władcy! — wykrzyknął uradowany Histaspes—o posłuchanie prosi cię, królu, Grek, potomek jednego z najszlachetniejszych rodów. Utrzymuje on, że dowiedzie niewinności Bartyi.

Kambyzes rozśmiał się gorzko.

— Może krewny owej Safo, która kto wie, czy istnieje na ziemi? — rzekł z ironią — znam tych jońskich włóczęgów. Z bezwstydnem zuchwalstwem mieszają się do wszystkiego, chcą wszystkich otumanić. Ile zapłaciłeś temu nowemu świadkowi, mój wuju? Grekom kłamstwo przechodzi łatwo przez usta, za pieniądze są zdolni do wszystkiego... No, ale ciekawy jestem twojego świadka, zawołaj go! Ostrzeż go jednak przedtem, że w Persyi kłamstwo śmiercią karzą.

Przy tych słowach oczy króla zamigotały ponurym blaskiem.

Histaspes skłonił się nizko.

— Idę po cudzoziemca—rzekł, powstawszy i oddalił się szybko.

Niebawem powrócił z nieznajomym.

Grek podszedł śmiało do króla i złożył mu ukłon pełen godności.

Szlachetna postawa cudzoziemca zrobiła korzystne wrażenie na Kambyzesie.

— Kto jesteś? — zapytał dość łagodnie.

— Jestem Grekiem, nazywam się Thanes, pochodzę ze Sparty—odparł przybyły—jadę z Egiptu, gdzie służyłem jako naczelny dowódca przybocznej straży Amazysa.

— Czy jesteś tym, którego sztuce Egipcyanie zawdzięczają zwycięztwa swe na Cyprze?—przerwał mu Kambyzes.

— Tak jest — odparł Thanes.

— Cóż sprowadziło cię do Persyi?

— Sława twego imienia, królu, i chęć ofiarowania mojego miecza na twoje usługi — odparł Grek.

— Nic więcej?... Mów prawdę, kłamstwo może cię zgubić!

— Kłamstwo jest dla mnie wstrętnem, bo obraża prawdę, nie powiem przeto, że nic więcej mnie nie sprowadza tutaj — odrzekł Thanes — jeszcze jest trzeci powód...

— Jaki?

— Do wypowiedzenia go potrzebuję dłuższego czasu.

— Jedź ze mną na polowanie, po drodze opowiesz mi — rzekł król.

— Pojadę z ochotą, jeśli...

— Królom nie stawia się warunków. Czy jesteś dobrym myśliwym?

— Położyłem niejednego lwa w pustyni Libijskiej.

— Więc będziesz mi towarzyszył.

Zdawało się, jakoby myśl polowania tak zajęła w tej chwili umysł króla, że o bracie zapomniał. Skierował sią ku drzwiom ożywiony, lecz Histaspes zagrodził mu wyjście.

— Więc Bartya i przyjaciele jego umrą niewinnie? — zapytał głosem pełnym rozpaczy — na duszę twojego ojca błagam cię, wysłuchaj cudzoziemca!

Czoło Kambyzesa powlokło się zmarszczkami, w oczach zaświeciły nowe błyskawice gniewu, zwrócił się jednak do Greka i rzekł:

— Mów, lecz strzeż się kłamstwa!

Thanes słonił głowę, poczem zaczął głosem spokojnym:

— Przed słońcem i wielkim królem nic się nie ukryje, jakże ja, biedny śmiertelnik, odważyłbym się mówić nieprawdę? Szlachetny Histaspes powiedział

ci, że potrafię dowieść niewinności twego brata, tej pewności nie mam, proszę jednakże bogów, abym potrafił to uczynić... Nieśmiertelni pozwolili mi trafić na ślad, który może rzuci światło na wczorajsze wypadki. Sam osądzisz, panie, czy zbyt słabą mam nadzieję...

— Mów krócej — przerwał mu Kambyzes — słyszę w podwórzu ujadanie psów, chcę jechać na łowy.

— Poselstwo twoje, królu, po rękę Nitetis zastało mnie jeszcze w Egipcie — mówił dalej Thanes. — W domu mej rodaczki Rhodofis poznałem przelotnie Bartyę, Krezusa, Gigesa, Daryusza i Zefirusa. Oblicze królewicza jedynie utkwiło w mej pamięci, a to z tej przyczyny, że Teodorus, rzeźbiarz, dał rysy twego brata, królu, głowie boga słońca, którą rzeźbił do świątyni w Delfach.

— Twoja historya zaczyna się nieprawdopodobnie — przerwał Grekowi Kambyzes — jakżeby Teodorus, znając tak mało Bartyę, utrwalił w swej pamięci jego rysy z taką dokładnością, aby je mógł wykuć w marmurze?

— Jeśli chcesz przekonać się o prawdzie moich słów, każ zrobić Teodorusowi portret twojego brata — odparł spokojnie Thanes.

— Mów dalej! — rzekł król.

— W czasie mojej podróży do Persyi, którą dzięki urządzeniom twojego ojca odbyłem nadzwyczaj szybko...

— A któż tobie, cudzoziemcowi, dał prawo korzystania z królewskiej poczty? — zapytał surowo Kambyzes, przerywając znowu opowiadanie Thanesa.

— Pasport Gigesa — odparł spokojnie Thanes — pasport ten dostał się przypadkiem w moje ręce, gdy syn Krezusa, ratując mi życie, zamienił ze mną swoje szaty.

— Lidyjczyk oszuka lisa, Syryjczyk Lidyjczyka, ale Jończyk obu ich razem — mruknął król.

— Krezus opowiedział mi tę historyę, no, mów dalej...

— Bez przygód żadnych odbywałem tedy moją podróż... Dopiero dziś o północy zatrzymał mnie dziwny wypadek.

Król słuchał opowiadania ze wzrastającą ciekawością.

— Znajdowaliśmy się już niedaleko ostatniej stacyi i mieliśmy nadzieję dostać się o wschodzie słońca do Babilonu. Sen odbiegł mnie zupełnie; za to mój towarzysz, stary Egipcyanin, usnął twardo. Noc była piękna i cicha, księżyc oświecał drogę pustą zupełnie.

Siedząc na wozie, nie spotykaliśmy nikogo. Mieszkańcy okolic Babilonu pociągnęli podobno wszyscy do miasta na uroczystość twoich urodzin.

Wtem posłyszałem nieregularny tętent kopyt końskich, a potem dobiegły mnie wołania o pomoc.

Czemprędzej zsiadłem z wozu i wskoczyłem na konia, a niewolnikom kazałem nie żałować mułów i spieszyć na wózku za mną.

Po paru minutach okropny obraz przedstawił się moim oczom: trzech ludzi ściągnęło z konia jakiegoś młodzieńca w białej szacie i biło go z taką zaciętością, jak gdyby otrzymali rozkaz nie puszczenia go żywcem. Młodzieniec jęczał przeraźliwie.

Przyskoczyłem do morderców, chciałem ich pochwycić, lecz oni spostrzegłszy mnie, uciekli.

Nie goniłem ich, lecz zająłem się ciężko pokaleczonym młodzieńcem, przykląkłem przy nim, aby rany jego obejrzeć. Któż atoli zdoła pojąć moje zdziwienie, gdy zdało mi się, iż w nieszczęśliwej ofierze poznaję twojego brata, królu, Bartyę... Były to też same rysy, te same oczy.

— To rzecz dziwna! — rzekł Histaspes.

— Może nadto dziwna, aby mogła być prawdziwą — dodał Kambyzes. — Strzeż się, Greku, potrafię sprawdzić twoje opowiadanie.

Thanes skłonił się królowi.

— Idąc za radą twojego mędrca Pitagoresa, zawsze zastanawiam się pierwej nad tem, co mam powiedzieć, abym słów wyrzeczonych nie żałował — odparł spokojnie Thanes.

— To brzmi pięknie, lecz znałem istotę, która się wiecznie na owego mędrca powoływała, a kłamstwem się nie brzydziła — rzekł z goryczą Kambyzes — znasz tę zdrajczynię, którą kazałem zabić, jak żmiję jadowitą.

— Czy mi pozwolisz, królu, przytoczyć jeszcze jedno zdanie Pitagoresa? — zapytał Thanes.

— Mów!

— Dobro można prędzej stracić, niż się je pozyskało, dlatego znoś twój los cierpliwie, gdy ci bogowie cierpienia zsyłają; gdy masz ranę serdeczną, nie dotykaj jej, jak bolącego oka; nie szemraj na los, bogi nie obarczają nigdy nad siły; lekarstwem najlepszem na cierpienia duszy jest nadzieja i cierpliwość.

Kambyzes zaśmiał się gorzko, lecz kazał Spartaninowi dalej opowiadać.

— Zanieśliśmy młodzieńca do powozu i odwieźliśmy go do następnej stacyi — rozpoczął na nowo przerwane opowiadanie Thanes.—Tam otwarł oczy, spojrzał z pewnym strachem na mnie i spytał, gdzie się znajduje, oraz kim jestem. Podałem się za syna Krezusa.

Ranny widocznie musiał znać Gigesa, gdyż potrząsnął głową przecząco i szepnął: „Nie wierzę ci!” Potem zamknął znów oczy i wkrótce wpadł w silną gorączkę.

Puściliśmy mu krew, opatrzyliśmy rany, on nic nie wiedział, co z nim robimy... Służący mój, który widział Bartyę na dworze Amazysa, utrzymywał, że to nikt inny, tylko twój brat. Tymczasem starzec, towarzysz mój w podróży, przyniósł ze swojej apteczki ja-

kiś napój dla chorego. Cudowne to było lekarstwo, gorączka w parę godzin spadła zupełnie, młody człowiek przyszedł do przytomności. Wówczas zapytałem, czy życzy sobie, aby go odwieść do pałacu w Babilonie. Dał nam przeczącą odpowiedź, mówiąc, iż wcale nie jest królewiczem Bartyą, za którego go mamy.

— Któż więc może być tak podobnym do Bartyi? — zapytał niespokojnie król.

— Powiedział nam, że nazywa się Gamota i że jest bratem twego arcykapłana. Pasport jego znajdował się przy nim, znalazł go oberżysta i sprawdził, że mówił prawdę — rzekł Thanes. — Wkrótce gorączka wróciła z silniejszą jeszcze maligną, rzucał się niespokojnie i bezustannie coś mówił.

— Rozumiałeś go? — zapytał król.

— Były to zdania bezładne — odparł Grek — to wiem tylko, że zajmowały go ciągle wiszące ogrody, wspominał o niebezpieczeństwie mu grożącem, o niejakiej Mandonie...

— Mandona! — wykrzyknął król — ależ to służebna Egipcyanki.

— Tak, mój królu, możesz wypuścić na wolność skazanych na śmierć — rzekł Thanes — ręczę ci, że Bartya nie był w wiszących ogrodach... Zagadka cała niebawem się wyjaśni.

Król spojrzał uważnie na obrońcę oskarżonego.

Godność, z jaką Grek zachowywał się, robiły na nim miłe wrażenie.

Perscy dostojnicy, mówiąc do niego, pochylali się zwykle, tymczasem Thanes stał wyprostowany i nie starał się przystrajać swego opowiadania w żadne pochlebne dla monarchy zwroty.

Kambyzes mimowoli w obec Greka zapomniał, że jest panem jego życia i śmierci; pierwszy raz czuł, że jest człowiekiem i że stoi w obec drugiego człowieka, tak poczucie osobistej godności działa silnie nawet na despotów.

Nietylko swojem zachowaniem zdobył sobie wszakże Thanes króla. Kambyzesowi zdawało się, iż bogowie zesłali do niego Greka, aby mu powrócił skarb, który uważał za stracony: szczęście rodzinne.

To też gdy Thanes przerwał swoje opowiadanie, rzekł z uśmiechem:

— Dobrze mówisz, Greku, lecz jeżeli mimo twoich zapewnień więźniowie okażą się winnymi, będziesz musiał spędzić resztę dni twego życia na moim dworze jako sługa. W przeciwnym razie, gdy dowiedziesz tego, czego serce moje gorąco pragnie, potrafię cię po królewsku nagrodzić.

— A czy pozwolisz, królu, abym zadał ci parę zapytań i twoim urzędnikom również? — zapytał Thanes.

— Pytaj ile chcesz — odparł Kambyzes.

W tej chwili wbiegł zadyszany łowczy królewski do sali.

— Już wszystko gotowe — rzekł, klękając przed królem — myśliwi zebrali się.

— Niech czekają — odparł król — kto wie nawet, czy będziemy dziś polowali. Gdzie dowódca straży, Bires?

Któryś z dworzan pospieszył po stróża więzień królewskich i niebawem powrócił z nim razem.

— Co robią więźniowie? — zapytał Kambyzes.

— Oczekują spokojnie śmierci, gdyż słodko jest umierać z twej woli, panie — odparł Bires, schyliwszy się do stóp swego władcy.

— Czy słuchałeś co do siebie mówili?

— Jak najlepiej.

— Czy przyznają się do winy?

Bires westchnął.

— Tylko bogowie mogą zajrzeć na dno serca ludzkiego — rzekł po chwili namysłu — lecz gdybyś ich słyszał, panie, sądziłbyś, jak ja, iż są niewinni.

Powiedziawszy to, podniósł pełen niepokoju wzrok na króla. Pewien był, że ujrzy groźnie zsunięte jego brwi krzaczaste i zmarszczone czoło, tymczasem Kambyzes zapytał go łagodnie, tylko ze smutkiem szczerym:

— Kiedy Krezus straconym został?

Bires zadrżał, zimny pot wystąpił mu na czoło, padł na kolana i wybełkotał:

— Myśleliśmy...

— Coście myśleli? — zapytał Kambyzes niespokojnie.

W serce jego wstąpiła nadzieja, iż nie stał się winnym śmierci przyjaciela.

— Łaski! łaski! jam nędzny robak w obec ciebie, panie — wołał Bires, ręce wyciągnąwszy do góry.

— Chcę wiedzieć, czy Krezus znajduje się jeszcze pomiędzy żyjącymi, powiedz całą prawdę! — mówił Kambyzes wzruszonym głosem, lecz wcale nie gniewnym.

— Żyje — odparł Bires, przypuszczałem, iż nie będzie to wielkiem przestępstwem z mej strony, gdy mu pozwolę żyć dłużej o godzinę, aby...

— Dość! — przerwał Kambyzes, odetchnąwszy swobodnie. Tym razem samowola twoja ujdzie ci bezkarnie, a skarbnik wypłaci ci pięć talentów. Wiem, że obarczony jesteś liczną rodziną, niechże więc nędzy nie cierpi... Wracaj do więzienia, przyślij tutaj Krezusa, a innym powiedz, aby byli dobrej myśli.

Bires był zdumiony.

— Mój pan—to światłość światła i ocean łaski!— wykrzyknął.

— Niechaj Bartya z towarzyszami nie pozostają dłużej w zamknięciu — rzekł król — mogą chodzić pod strażą, gdzie tylko zechcą...

Ty, Emanuelu, pójdziesz do wiszących ogrodów i powiesz Rogesowi, aby wstrzymał wykonanie wyroku na Egipcyance — dodał, zwróciwszy się do łowczego—

trzeba też posłać do stacyi i przynieść rannego, o którym Grek mówił.

Łowczy chciał się oddalić, lecz Thanes zatrzymał go.

— Czy pozwolisz, królu, uczynić mi jedną uwagę? — zapytał Kambyzesa.

— Mów!

— Zdaje się, że Roges mógłby nam dać pewne objaśnienia, co do Gamoty, ranny wymówił kilkakrotnie jego imię.

— A więc sprowadź tutaj Rogesa, Emanuelu!— rozkazał król.

— Może Oropastes i Mandona mogliby też przyjść? — zapytał Thanes.

— Idź po nich wszystkich, Emanuelu! — wydał król rozkaz.

— A może i Nitetis? — dodał Thanes.

Tym razem Kambyzes nic nie odpowiedział.

— Sprowadź, Emanuelu, Rogesa, Mandonę i Oropastesa! — powtórzył rozkaz.

Spartanin skłonił się w milczeniu, a Kambyzes siadł na tronie.

Oczekiwali obaj z nieprzyjacielem przybycia wezwanych.

Pierwszy ukazał się Krezus, król powitał go uprzejmie.

— Wprawdzie zachowałeś się względem mnie nieodpowiednio, starcze — rzekł tonem łagodnym do

wchodzącego — jednakże nie zapomniałem chwili, w której wielki mój ojciec mianował cię moim doradcą, daruję ci przeto winę i łaską obdarzę: będziesz żył... Zapomnij mego gniewu, jak ja zapomniałem twojego zuchwalstwa.

Krezus powstał z kolan.

— Bogowie niech cię łaskami obsypią! — rzekł głosem smutnym.

— Cudzoziemcze! — zwrócił się teraz król do Thanesa — udziel Krezusowi przywiezionych mi przez ciebie wiadomości. Chcę jego zdania w tej sprawie usłyszeć.

Thanes przystąpił do starca, najprzód powitał go serdecznie, poczem opowiedział mu swoje spotkanie z Gamotą.

Słuchał go Krezus wzruszony, a gdy skończył, podniósł oba ramiona w górę i rzekł głosem wzruszonym:

— Przebaczcie, nieśmiertelni, jeśli kiedy wątpiłem o waszej sprawiedliwości... Syn mój naraził życie, aby ocalić tego szlachetnego męża, a teraz on odwdzięcza się nietylko Gigesowi, lecz ojcu jego i przyjaciołom. Mądrość bogów jest dowiedzioną w tej chwili.

To powiedziawszy, rzucił się na szyję Histaspesowi.

— Więcej niż życie odzyskałem dzisiaj — rzekł — ty rozumiesz moją radość, bo jednocześnie bogowie synów nam wracają.

Obecni spoglądali wzruszeni na starców, nikt teraz nie wątpił o niewinności Bartyi.

Thanes stał zadowolony i tryumfujący.

Wrodzonym sprytem odgadł on przyczynę smutnego wypadku, śmiałością rozwikłał zagadkę.

Nie wątpił, iż w całej tej sprawie grała rolę złość i zawiść, był pewien, że nóż Bartyi został umyślnie podrzucony i gdy dwaj starcy w wspólnym uścisku uspokoili swoją radość, on przysunął się do króla i szeptał mu swoje przypuszczenia.

Wtem kroki się rozległy, wszedł Oropastes.

— Czy masz brata imieniem Gamota?—zapytał go groźnie Kambyzes.

— Tak, mój królu, dwaj tylko pozostaliśmy z licznego rodzeństwa—odparł arcykapłan—siostry poumierały.

— Czy brat twój młodszym jest od ciebie? — badał dalej król.

— Ja byłem najstarszym, on najmłodszym z rodzeństwa—odparł Oropastes, patrząc badawczo Kambyzesowi w oczy, gdyż podrażniony głos króla ostrzegał go, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo.

— Czy uważałeś wielkie podobieństwo między Gamotą, a kimś z mojej blizkiej rodziny? — zapytał go znowu król.

— Tak, panie — odparł arcykapłan — w szkole, gdzie kształcił się Gamota, koledzy nazywali go królewiczem dla jego podobieństwa z Bartyą.

— Czy Gamota był w tych dniach w Babilonie?

— Ostatni raz odwiedzał mnie na Nowy-Rok.

Zmarszczyło się czoło królewskie.

— Prawdę powiedziałeś? — zapytał.

— Mój urząd i mój wiek nie pozwalają mi kalać ust kłamstwem — odparł spokojnie arcykapłan.

— A jednak kłamiesz! — krzyknął Kambyzes drżącym od gniewu głosem — Gamota był tutaj wczoraj wieczorem.

Arcykapłan pochylił głowę.

— Życie moje w twoich jest rękach, panie—rzekł z godnością — przysięgam na bogów, którym lat trzydzieści wiernie służę, że nic nie wiem o wczorajszej jego bytności w Babilonie.

Kambyzes uspokoił się.

— Zdaje się, iż prawdę mówisz — rzekł.

— Wiesz wszakże, panie, że wczoraj cały dzień spędziłem przy twoim boku — usprawiedliwiał się Oropastes.

— Wiem — potwierdził król.

Badanie przerwanem zostało, gdyż służba królewska wprowadziła do komnaty Mandonę.

— Znasz tę kobietę? — zapytał.

— Tak, mój królu, to moja krewna daleka... przezemnie otrzymała wysokie miejsce służebnej u córki Amazysa.

Król spojrzał porozumiewająco na Thanesa.

— Dla czegóż nie pozostała nadal w waszym domu? — zapytał po chwili arcykapłana.

— Chciałem, aby własną pracą zapewniła sobie przyszłość, toć ona sierota...

— Wiem już dosyć od ciebie, teraz inni dadzą odpowiedzi na moje pytania — przerwał mu król i zwrócił się do Mandony, która blada i drżąca klęczała u nóg jego.

— Wstań! — rzekł surowo.

Dziewczyna podniosła się natychmiast.

— Opowiedz mi wszystko, co wiesz o wczorajszym dniu—rzekł król—ale pamiętaj, że kłamstwo o śmierć przyprawić cię może.

Mandonie strach zamknął usta, sine jej wargi latały jak w paroksyzmie febry.

— Nie wyczerpuj mej cierpliwości! — krzyknął Kambyzes.

Dziewczyna poczęła coś bełkotać, trudno było ją zrozumieć. Fala krwi uderzyła do twarzy króla. Spostrzegł to Thanes i przystąpił do Mandony.

— Uspokój się — rzekł łagodnie i rękę na jej ramieniu położył — wszyscy życzliwie dla ciebie usposobieni jesteśmy. Wiemy, że jeżeli zawiniłaś, to jedynie przez nieświadomość, lecz potrzeba, aby król prawdę wiedział.

Z oczu Mandony potoczyły się łzy. Płacząc głośno, opowiedziała wszystko.

— Wiedziałem, iż król zabronił, aby ktokolwiek wchodził do pałaców wiszących, że nawet Kasan-

donie był wzbroniony przystęp do nas, lecz ponieważ Roges sam pozwolił przyjść Gamocie, sądziłam, że nie będzie to znów tak wielką winą, gdy porozmawiam z dawno niewidzianym krewnym.

Kambyzes słuchał jej spokojnie, a nawet z pewnem zadowoleniem.

Jak zwykle kobiety, Mandona nie umiała zwięźle opowiedzieć głównego wypadku, lecz przytoczyła mnóstwo drobnych szczegółów, niemających żadnego związku z właściwą sprawą. Szczegóły te usposobiły wszakże łagodniej króla dla winnej.

Opowiedziała, jaką radość sprawiły Nitetis podarki królewskie.

— Po tysiąc razy całowała moja pani każdy klejnocik, najwięcej jednak radości sprawiła jej zerwana przez ciebie, panie, wiązanka kwiatów — mówiła. — Gdy kwiaty zwiędły, porozdzielała je i włożyła pomiędzy miękką tkaninę, poczem postawiła złotą swoją szkatułkę na kwiatach, aby zasuszyły się, chce je przechować na pamiątkę twojej dobroci, panie!

Mandona, spostrzegłszy, iż w miarę jej opowiadania twarz króla się rozjaśnia, opowiadała dalej o przywiązaniu do niego królewny.

Słowa te ostatecznie rozbroiły Kambyzesa.

— Czyżeś nie wiedziała, że Bartya jest z powodu Gamoty posądzonym, że skazanym został za to na śmierć? — zapytał łagodnie.

— Wiedziałam, lecz bałam się prawdę wyja-

wić — odparła Mandona, poczem padłszy na kolana, płakać znowu zaczęła.

— Łaski! łaski! — wołała — nie każ mi umrzeć królu!

Kambyzes spojrzał na nią z pogardą.

— Precz z moich oczu! — krzyknął — twoja krew splamiłaby kata, nic podlejszego nie znam nad tchórza!

To — precz! zabrzmiało w uszach Mandony, jak muzyka najmilsza, zerwała się z kolan, otarła łzy i opuściła komnatę uśmiechnięta.

— Jestem wolna! — wołała, biegnąc przez dziedziniec królewski — król łaskę mi wyświadczył.

Służba pałacowa była pewną, iż zmysły straciła.

Tymczasem Emanuel doniósł królowi, że Rogesa nigdzie znaleźć nie można, zagadkowym sposobem zniknął z ogrodów wiszących. Król wydał rozkaz, aby go poszukiwano starannie i dostawiono żywego lub umarłego do pałacu; groził śmiercią wszystkim urzędnikom, jeśli w przeciągu doby nie znajdą Rogesa, przeklinał służbę, dyszał z gniewu.

Wtem jeden z niewolników Kasandony oznajmił, że stara królowa prosi o posłuchanie.

Kambyzes podał Thanesowi rękę do ucałowania, co było oznaką wielkiej łaski i rzekł:

— Więźniowie mają być w tej chwili wypuszczeni na wolność. Idźcie i powiedzcie im, iż mogą być pewni mej łaski — dodał, zwróciwszy się do Krezusa i do

Histaspesa — znajdzie się dla każdego jaka satrapia, aby wynagrodzić im przykrości dzisiejszej nocy... Tobie, Spartaninie, jestem prawdziwie obowiązany i aby ci okazać moją wdzięczność, a zarazem przywiązać cię do mojego dworu, każę podskarbiemu wypłacić ci sto talentów.

— Ależ ja nie mam na co wydać tak wielkiej sumy — odparł Thanes.

— To ją roztrwoń! — zaśmiał się Kambyzes.

I ze słowami:

— Do widzenia!—opuścił salę.

W komnatach Kasandony panował ciężki smutek. Staruszka uwierzyła w końcu, że Nitetis w złych zamiarach do Persyi przybyła, Roges tak ją w tem przekonaniu utwierdził.

— Komu teraz wierzyć – powtarzała ustawicznie i trzęsła głową, wzdychała, czasami łzy ocierała. — Jeśli ta dziewczyna, na pozór wcielenie wszystkich cnót kobiecych, potrafiła tak umiejętnie kłamać, to któż nie kłamie?...

Nitetis, Bartyę, Krezusa, Daryusza zaliczała już do umarłych. Kryła się z cierpieniem serca z dwóch powodów: nie wypadało jej, królowej, ukazywać się poddanym z troską na czole, zgnębioną, ni też powiększać rozpaczy Atosy, która, gdy się dowiedziała o wyrokach króla, wpadła niemal w szał. Spokój, wyrobiony w dziewczęciu przez obcowanie z Egipcyanką, opuścił teraz Atosę zupełnie. Co chwila wybuchała gwałtow-

nym płaczem, bo też zabrano jej wszystkich najdroższych: Nitetis, którą ubóstwiała, była to jej przyjaciółka i siostra ukochana; Bartyę, najmilszego jej brata i doradcę we wszystkich strapieniach i niepewnościach; Krezusa, którego zdaniu tak ufała, który ojca jej zastąpił i Daryusza, nie mniej jej miłego, jak Bartya.

To płaczem wybuchała z rozpaczy, to rwała włosy na głowie, suknie szarpała. Kambyzesa nazywała potworem, groziła, że jeśli wejdzie do matki pokoju, ona przez okno do ogrodu ucieknie. Błagała, aby matka udała się z nią do wiszących ogrodów posłuchać, co Nitetis powie na swoją obronę. A gdy matka odpowiedziała, że króla rozkazu nie przestąpi, rozgniewana oddaliła się do swej sypialni i zgnębiona siadła w oknie, wychodzącem na wiszące ogrody.

Łudziła się, że może ujrzy Nitetis; oczyma pełnemi łez patrzyła na dom, gdzie biedna jej siostra oczekiwała samotnie haniebnego wygnania.

Nagle wzrok dziewczęcia ożywił się i pogonił za jakimś czarnym punktem, który przybliżał się do niej coraz bardziej: na gałęzi cyprysu, tuż przy jej oknie usiadł wielki ptak.

— Wszak to ptak szczęścia! — zawołała i łzy oschły w jej oczach, na twarzy zjawił się uśmiech.

— Pójdzie wszystko dobrze, wyjaśni się sprawa! — szepnęła.

Poczem obejrzawszy się, czy niema nikogo w pokoju, otworzyła okno i wyskoczyła do ogrodu. Stary ogrodnik pracował tam przy jednym z klombów. Urwała pospiesznie kilka róż i zbliżywszy się do starca, spytała go z przymileniem:

— Czy mnie lubisz choć troszkę, Sabakusie?

— Któżby cię nie lubił, królewno — odparł Sabakus — uwielbiam cię!

To mówiąc, ujął rąbek jej sukni i pocałował.

— Uwierzę twym słowom, gdy spełnisz, o co cię poproszę — rzekła Atosa. — Schowaj te kwiaty i staraj się dostać do więzienia. W pałacu króla siedzą tam pod strażą Bartya i Daryusz, oddasz im róże i powiesz, że pozdrawiam obu, niech będą dobrej myśli... Serce mi powiada, że będą wkrótce wolni.

— Ależ straż mnie nie dopuści do więźniów — odparł zakłopotany Sabakus.

— Weź ten pierścień i pokaż straży, a wpuści cię, dokąd zechcesz — rzekła Atosa, podając własny pierścionek. — Wszakże nie zabronią tym nieszczęśliwym tak małej przyjemności.

Stary westchnął.

— Spróbuję — odparł.

Atosa pogłaskała go pieszczotliwie po twarzy.

— Wiedziałam, że mnie lubisz — rzekła — no, idź teraz prędzej!

Sabakus oddalił się jak mógł najszybciej. W godzinę potem powrócił i doręczył dziewczęciu od Bartyi

pierścień, od Daryusza chustkę indyjską barwy czerwonej. Atosa podziękowała za spełnienie posłannictwa i do swej sypialni powróciła.

— Pierścień Bartyi znaczy, że o mnie myśli — rzekła sama do siebie, siadłszy napowrót w oknie — chustka, iż Daryusz gotówby wylać krew za mnie.

Przy tych słowach łzy zaświeciły w jej oczach.

* * *

Gdy Krezus zawiadomił Kasandonę, że niewinność Bartyi dowiedzioną została i że Nitetis prawie jest usprawiedliwioną, posłała natychmiast do wiszących ogrodów po królewnę egipską.

Równie gwałtowna w objawach radości, jak w smutku, Atosa wybiegła naprzeciw przyjaciółki, wołając:

— Wszyscy są niewinni, wszystkich bogowie raczyli nam zachować!

Wreszcie lektyka się zatrzymała, ale Nitetis wysiadła tak blada i słaba, że królewna wybuchnęła płaczem.

Zarzuciwszy ręce na szyję przyjaciółki, tuliła się do niej ze słowami:

— Biedna ty!... biedna!

Nie zauważyła nawet, że Nitetis chwieje się i coraz bledszą się staje. Naraz krzyknęła:

— Ratujcie!

Nitetis usunęła się zemdlona na ziemię.

Służba pochwyciła Egipcyankę i zaniosła ją na pokoje królowej matki.

Gdy po chwili Nitetis otworzyła oczy, ujrzała się w objęciach Kasandony. Atosa siedziała u jej nóg i rękę jej trzymała w swej dłoni. Kambyzes stał obok.

Zmieszana i niedowierzająca temu, co widzi, spoglądała po wszystkich.

Po chwili przesunęła ręką po oczach, jakby chcąc się zbudzić. Sądziła, że to sen, ale widzenie nie znikało, więc zamknęła oczy, aby sen się przedłużył.

— Nitetis! — szepnęła z tkliwością Atosa.

Królewna otworzyła oczy.

A więc to nie sen, to słodka oczywistość: przy niej siedzi dobra Kasandona i całuje ją lekko w czoło, klęczy Atosa i ręce jej ściska, stoi Kambyzes i wpatruje się w nią troskliwie.

— Nitetis, obudź się!—mówi łagodnym głosem— tyś niewinna, już wiem o tem!

Blady uśmiech ukazał się na ustach Egipcyanki, lecz nie ma siły dźwignąć się z pościeli.

— Bądź dobrej myśli, wrócą dla nas dni jasne — mówi dalej król.

Nitetis westchnęła.

— Czy wrócą? — szepnęła z powątpiewaniem— mnie tak słabo...

— Sprowadźcie lekarza!—zawołał pełnym trwogi głosem Kambyzes.

Wnet służba się rozbiegła, pojawił się niebawem Nebeuchazi, natarł skronie chorej wonnym olejkiem, zbadał puls i przyniósł królewnie jakiś napój ze swej apteczki.

Lekarstwo było skuteczne, Nitetis odzyskała siły, usiadła na łóżku.

— O, królu, jak mogłeś tak źle sądzić o mnie!— rzekła.

W tonie jego głosu nie było gniewu, tylko żal głęboki.

— Przebacz mi!—odparł Kambyzes.

— I ja powinnam cię przeprosić — rzekła Kasandona, chyląc się do niej z pieszczotą.

— Ja nigdy ani na chwilę nie zwątpiłam o tobie — zawołała z dumą Atosa i objęła czule przyjaciółkę.

— Twój list, pisany do Bartyi, podkopał moją wiarę w ciebie — tłómaczyła się Kasandona.

— A jednak musiałam go napisać — odparła Nitetis—przekonasz się o tem, gdy przeczytasz, matko, list, jaki otrzymałam w tym dniu z Egiptu. Krezus przetłómaczy wam treść jego. Powiedziawszy te słowa, oparła znowu głowę o poduszki i oczy przymknęła.

— Tak mi jakoś dziwnie!—szepnęła.

Bladość śmiertelna wystąpiła na jej lica.

— Czyżby śmierć zbliżała się do mnie?—dodała jeszcze ciszej.

Nebeuchazi przystąpił do niej i wlał jej w usta kilka kropli lekarstwa.

Otworzyła oczy po chwili i uśmiechnęła się do wszystkich, ale był to uśmiech blady, jak promień zachodzącej gwiazdy.

Kambyzes szeptem zapytał lekarza:

— Czy lękasz się o jej życie?

— Zdaje mi się, iż piła truciznę — odparł Nebeuchazi również cicho.

W tej chwili Nitetis opadła znowu bezwładna na poduszki, Kambyzes przybiegł do niej.

— Ty musisz żyć!—krzyknął—ja chcę tego, ja każę, czy słyszysz?

Ale Nitetis nie otworzyła oczu.

— Niech zbiorą się wszyscy lekarze z Babilonu, wszyscy magowie i kapłani! — wołał pełnym rozpaczy głosem — ona musi żyć, ja, król, tego chcę!

Nitetis otworzyła oczy. W tej samej chwili ptak szczęścia ukazał się po za oknem, spostrzegła go i palcem wskazała.

— Patrz! — szepnęła.

Lecz ptak odleciał, zanim go spostrzegł Kambyzes, a Nitetis wpadła w silną gorączkę i majaczyć zaczęła.

XI.

Poseł królewski Preskapa, jeden z najwyższych urzędników, przywiózł do Babilonu Gamotę. Ranny oczekiwał w jednej z komnat królewskich wyroku sądu, lecz głównej sprężyny potwornej intrygi — Rogesa, mimo starannych poszukiwań nie schwytano.

Podobieństwo Gamoty do Bartyi ostatecznie stwierdziło niewinność królewicza.

Lud okrzykami radości powitał oswobodzonego, tu i owdzie urządzono manifestacye na cześć królewicza, co rozdrażniło na nowo Kambyzesa.

Postanowił on wyprawić brata jak najprędzej z Babilonu. W tym celu kazał mu jechać do Egiptu po Safo.

Tak więc, w kilka dni po odzyskaniu swobody, Bartya, pożegnawszy czule matkę i siostrę, wyruszył w dalszą podróż.

Towarzyszyła mu liczna świta, wioząca wspaniałe podarki od króla dla przyszłej bratowej.

Daryusz pozostał w Babilonie, sam Bartya namówił go do tego. Chciał bowiem, aby rozmówił się jak najprędzej z Kambyzesem co do Atosy. Kasandona nie była przeciwną temu związkowi; gdy Bartya oznajmił jej o zamiarach przyjaciela, odparła, iż według niej syn Histaspesa godzien jest ręki królewny.

Ściśle spokrewniony z domem panującym, należy, jak Kambyzes do Pasangodów — mówiła — jego ojciec jest najwyższym przedstawicielem szlachetnych rodów i jako taki, zarządza główną prowincyą całego olbrzymiego państwa — Persyą. Po wygaśnięciu linii Cyrusa, potomkowie Histaspesa mieliby najpierwsze prawo do tronu. Nie można było wszakże wspominać jeszcze królowi o zamiarach Daryusza z powodu podrażnienia, w jakiem się znajdował. Kasandona radziła, aby Daryusz zatrzymał się ze swoją prośbą, dopóki Nitetis nie wyzdrowieje i Rogesa nie znajdą.

Z ciężkiem sercem pożegnał Bartya przyjaciela, a przy rozstaniu nie szczędził mu przestróg. Krezus, Daryusz i Thanes odprowadzili go za miasto, a także i Nebeuchazi, który przed wyjazdem królewicza prosił go o posłuchanie potajemne i wręczył mu list do Amazysa, w którym opisał wszystkie cierpienia, jakie przeżyła Nitetis na obcej ziemi i grożące jej życiu niebezpieczeństwo.

„Biedna ofiara twojej pychy rozstanie się za kilka dni z tym światem”—temi słowy kończył się ów smutny list.—„Zwłoki jej na obcej ziemi poszarpią psy i sępy,

dusza nigdy spoczynku nie zazna... Biada tym, którzy pozbawiają niewinnych szczęścia na tym świecie, a na tamtym pokoju."

Nebeuchazi prędzej od innych opuścił królewicza, spieszył bowiem do łoża chorej.

Właśnie zbliżał się do pałacu, gdy zastąpił mu drogę starzec, w białą szatę odziany, z długą siwą brodą.

Lekarz zrazu cofnął się, jakby przestraszony, lecz widocznie nie poznał w pierwszej chwili owego człowieka, gdyż zaraz potem uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł:

— Nie wierzę własnym oczom. Ty w Persyi, stary Ibisie? Prędzej spodziewałbym się śmierci niż tego, że spotkam się z tobą nad Eufratem. Powiedz mi w imię Ozyrysa, co cię skłoniło do opuszczenia cichego gniazda?

Stary spojrzał z niewypowiedzianą tkliwością na lekarza, zgiął przed nim kolano i rękę do serca przycisnąwszy, rzekł:

— Dzięki niech będą wielkiej Izydzie, iż pozwoliła mi znaleźć mego pana. Dla ciebie tutaj, synu, przyjechałem. Co ja nie wycierpiałem z twej przyczyny... Myślałem, że cię ujrzę nędznego, złamanego życiem wygnańczem, tymczasem tyś zdrów i piękny, jak dawniej. Gdyby stary Ibis był na twojem miejscu, dawno byłby przepadł:

— Być może — odparł Nebeuchazi — nie sądź wszakże, żem nie doznał nic złego. Opuściłem ojczyznę swoją z rozdartem sercem i do dziś dnia tęsknię za nią. Dobrotliwe bóstwa mieszkają tylko nad Nilem.

— Pięknie mi dobrotliwie! — mruknął Ibis.

— Mówisz tak, jak gdyby Egipt dotknęło jakie nieszczęście? — pytał Nebeuchazi.

— A czyżbym tłukł się tutaj, gdyby nic się nie stało? Mam już lat ośmdziesiąt...

— Mówże, co się stało?

— Zaprowadź mnie do swego mieszkania, a opowiem wszystko — odparł starzec — umieszczono mnie z jakimiś barbarzyńcami, z którymi stanowczo dłużej pozostać nie mogę. Toć nie chcieli pozwolić mi widzieć się z tobą... Czy prawdą jest, że nie odstępujesz łoża Nitetis, że królewna jest umierającą?

— Prawda.

— Zasłużył Amazys na wszystko, co mu teraz grozi, nie żałuję go! — mruknął Ibis.

— Wstydź się, stary, cieszysz się z niedoli zgnębionego! — zgromił go lekarz.

Egipcyanin zmarszczył czoło.

— Nienawidzę go! — odparł zaciętym tonem — pamiętam dobrze, jak będąc małym chłopcem, obrywał daktyle w ogrodzie twojego ojca i zrywał tabliczki z drzew.

— Cicho, cicho, stary! — uspokajał go Nebeuchazi — nie wszyscy jesteśmy ulepieni z jednej gliny. Przyznaj, iż zazdrość rządzi po trosze tobą. Twoja to

wina, że pozwoliłeś mu zostawić się tak daleko po za sobą.

— Dziad mój i ojciec służyli już w świątyni, innej drogi obrać nie było mi wolno — rzekł Ibis — tylko rycerz królem może zostać, a przytem nie mam tak giętkiego sumienia, jak Amazys...

— Nie mogę cię słuchać dłużej — przerwał mu lekarz — muszę spieszyć do chorej, wieczorem przyślę po ciebie służącego.

— Spiesz, spiesz! — mruknął stary — co cię Ibis obchodzi, niech go zamęczą, niech go uduszą!

Nebeuchazi zatrzymał się.

— Czy ci tak źle? Z Thanesem przyjechałeś, król Thanesowi względy okazuje, czyżby ciebie źle pomieszczono?

— Bardzo źle — odparł Ibis—każe mi jeść z tej samej misy, co jego służba, krajać chleb tym samym nożem, co ci bezwstydnicy; naigrawają się ze mnie, śmieją się w oczy... Jakiś człowiek, dowiedziawszy się, że jestem twoim dawnym służącym, spytał mnie, czy i ja leczę choroby oczu. Powiedziałem, że się znam trochę, boć przecie nieraz przypatrywałem się twoim zajęciom. Wówczas ów nicpoń począł utyskiwać, że od urodzenia ma przykrą bardzo wadę oczu. Zapytałem go, co mu dolega, jak się owa wada objawia. On westchnął i rzekł, trzęsąc głową: „Gdy ciemno jest w komnacie, nic nie widzę.“ Wszyscy obecni głośnem śmiechem wybuchnęli, a ja stałem jak głupiec.

— Trzeba było odpowiedzieć temu nicponiowi, aby—gdy ściemniać się poczyna, zapalił zawsze lampę, lub świecę. Jedyne to lekarstwo na jego ślepotę.

— Nie cierpię tych łajdaków! Jeśli jeszcze jedną godzinę z nimi przebędę, dopuszczę się czego złego.

— Wieczorem zabiorę cię do siebie, wcześniej nie mogę — stanowczym tonem odparł lekarz.

I skinąwszy głową niezadowolonemu starcowi, oddalił się.

* * *

Po zachodzie słońca Nebeuchazi wrócił do siebie i zasiadł w jednej ze swoich wspaniałych komnat. Był on prawdziwym Egipcyaninem i prawdziwym synem kasty kapłanów, którzy zawsze, nawet w gronie najbliższej rodziny, zachowują się sztywno, nie zapominając nigdy o godności, jaką piastują.

Ibis właśnie przybył, lekarz miał mu zadać jakieś pytanie, gdy służba dała znać, że Grek Thanes oczekuje w przedsionku i pragnie się z nim widzieć.

— Musisz się oddalić—rzekł do starego Nebeuchazi—pomówimy ze sobą później!...

Rzekłszy to, naprzeciw gościa pospieszył.

Ibis usunął się niezadowolony.

— Chciałem się z tobą widzieć, gdyż mam ci powiedzieć wiele ciekawych rzeczy—rzekł Thanes, wyciągając dłoń na powitanie.

— O których zostałem już uwiadomiony—odparł lekarz.

— Wątpię.

— Zostałeś wygnany z Egiptu przez Psametyka, przybyłeś tutaj, aby się zemścić na mojej ojczyźnie.

— Do ojczyzny twojej nie mam żalu, tylko do Amazysa — rzekł Thanes.

W Egipcie państwo i król stanowią jedno.

— Powiedz raczej kapłani stanowią państwo.

Lekarz uśmiechnął się ironicznie.

— Widocznie wiesz więcej ode mnie — rzekł wyniośle — ja mam władzę Faraonów za nieograniczoną.

— Byłoby tak, gdyby Faraonowie umieli opierać się waszej kaście—odparł Grek—lecz Amazys tego nie potrafi.

Nebeuchazi okazał zdziwienie.

— Nowe rzeczy mówisz mi — rzekł.

— A jednak wiesz o nich oddawna.

To powiedziawszy, Thanes uśmiechnął się ironicznie.

— Będę cię słuchał zatem uważnie, mów wszystko, co wiesz — odparł lekarz.

— Nie taję, iż zemsta zagnała mnie tutaj —

począł Thanes — szukam sprzymierzeńców i nie tracę nadziei, że w tobie jednego znajdę.

Lekarz w odpowiedzi posępne rzucił mu spojrzenie.

— Podobno omylisz się — odrzekł — zemstę spełnili za mnie bogowie, czytałem list pisany do Nitetis, wiem, że Amazys dotknięty jest ślepotą.

— Lecz nie wiesz o tem, że towarzysz twój Petoumon przeciął błonkę, która zasłaniała źrenicę króla, i że Amazys wzrok odzyskał—przerwał mu Grek.

Nebeuchazi zgrzytnął zębami, lecz wnet pohamował się.

— Wzrok mu oddali bogowie, lecz pokarali na dzieciach — rzekł.

— A to jakim sposobem? — zapytał Thanes — Psametyk jest dla niego dobrym synem, Facbot czuje się zdrowszą, modli się i składa z nim razem bogom ofiary. Co do Nitetis, śmierć jej nie obejdzie go wiele. O tem wiesz dobrze.

Lekarz zbladł.

Thanes, udając, iż nie spostrzegł jego wzruszenia, ciągnął dalej:

— Wiem więcej, niż przypuszczasz... Nitetis jest córką Hofry, któremu wydarł tron Amazys. Wychował on córkę zdetronizowanego króla nie dla tego, aby wynagrodzić sierocie krzywdę ojcu wyrządzoną, lecz dla tego, aby Egipcyanie byli przekonani, że Hofra zmarł bezpotomnie i aby Nitetis nie rościła sobie pretensyi do korony, bo wszakże nad Nilem i ko-

biety mogą panować. Nitetis nie domyśla się nawet, czyją jest córką.

— To wszystko twoje przypuszczenia — rzekł Nebeuchazi.

— Lecz mogę je poprzeć dowodami—odparł spokojnie Thanes.— Między papierami, które wyjeżdżając powierzyłeś opiece Ibisa, znajdowały się listy twego ojca, lekarza nadwornego Horusa, który pamięta dzień urodzenia Nitetis. Listy te znajdują się obecnie w moich rękach, one to posłużą do dopięcia moich celów.

— Nie zrozumiesz ich — rzekł Nebeuchazi.

Thanes uśmiechnął się tryumfująco.

— Dziwnem zrządzeniem bogów znam w Babilonie człowieka, umiejącego odczytać każde pismo egipskie — ciągnął dalej. — Czy przypominasz sobie imię Onufis?

Lekarz przytwierdzająco skinął głową i pobladł bardziej jeszcze.

— Pewny jesteś, że ten człowiek żyje? — zapytał zmienionym głosem.

— Niedawno mówiłem z nim — odparł Thanes — był on, jak wiesz, arcykapłanem w Heliopolis. Zna on wszystkie tajniki waszej wiedzy. Rodak mój, mędrzec Pitagores, przybywszy do Egiptu, pozyskał sobie jego zaufanie, przez niego posiadł waszą naukę, którą potem ogłosił światu. Ja sam jestem jego uczniem. Gdy kapłani egipscy dowiedzieli się, że Onufis zdradził ich tajemnicę, postanowili zgładzić go za pomocą trucizny wyrobionej z pestek brzoskwiniowych. Lecz ktoś odkrył zagrożonemu ich zamiary i Onufis ucieczką życie uratował. Czas jakiś ukrywał się w domu Rhodofis, poczem tutaj się dostał i pomaga babilońskim astrologom w ich badaniach... Mówiłem z nim wczoraj. Mimo podeszłego wieku trzyma się doskonale.

Nebeuchazi, który podczas tego opowiadania trzymał ciągle wzrok spuszczony, podniósł go naraz i pilnie patrząc w twarz Thanesa, zapytał:

— Gdzież są obecnie moje papiery?

— W ręku Onufisa, który szuka w nich potrzebnych nam dowodów — odparł Grek.

— Jakże wygląda skrzynka, którą Ibis wam wydał? — zadał drugie pytanie lekarz.

— Jest hebanowa, wieko ma kosztownie rzeźbione — odrzekł Thanes—w pośrodku wieka widać skrzydlatego chrząszcza.

Nebeuchazi odetchnął.

— W tej skrzynce znajdują się tylko lekarskie notatki mojego ojca—rzekł swobodnie.

— Które może wystarczą dla moich celów—odparł z naciskiem Thanes—czy wiesz, iż cieszę się łaskami Kambyzesa?

— Tem lepiej dla ciebie — odrzekł wyniośle Nebeuchazi.

— Resztę papierów zostawiłeś w Egipcie. Są one zawarte w wielkiej skrzyni z drzewa sykomorowego.

— Skąd wiesz o tem?—przerwał mu głosem wzruszonym lekarz.

— Wiem, że skrzynia ta z całą zawartością została spaloną na rozkaz króla w gaju świątyni Neity—ciągnął dalej Spartanin, na pytanie nie odpowiadając.

Słowa te wypowiedziane wolno, niemal sylaba po sylabie, wywarły silne wrażenie na słuchaczu.

Fala krwi uderzyła do jego twarzy, oczy rzuciły pocisk gniewu, zerwał się z krzesła i począł szybko chodzić po pokoju.

Po chwili zatrzymał się przed Spartaninem i rzekł z lodowatym spokojem:

— Znam was Greków... Dla dopięcia celu nie wahacie się obrać najpodlejszej ścieżki... I teraz, aby uczynić mnie swoim sprzymierzeńcem, usiłujesz napełnić moje serce nienawiścią do dawnych mych przyjaciół. Nie uda ci się to...

— Każ wejść Ibisowi, on potwierdzi moje słowa—odparł spokojnie Thanes.

Nebeuchazi zawołał służącego.

Stary wszedł widocznie zadowolony.

— Czy dałeś się przekupić temu człowiekowi?—zapytał go lekarz, wskazując na Thanesa — mów prawdę! Przebaczę ci, jeśli wpadłeś w sidła zręcznie na mnie zastawione, ale gdy skłamiesz, nie przebaczę nigdy!

Żółta twarz starca stała się koloru ziemi, przez kilka minut nie mógł słowa wykrztusić, nakoniec

stłumił łzy, cisnące mu się gwałtem do oczu i rzekł tonem pełnym żalu:

— Zepsuli cię w tym przeklętym kraju. Posądzamy zwykle innych o to, do czego sami zdolni jesteśmy... Służyłem wiernie lat sześćdziesiąt twej rodzinie i za to posądzasz mnie o złodziejstwo...

Przy tych słowach oczy starca napełniły się łzami, dłużej nie mógł panować nad sobą, począł głośno szlochać.

Thanes położył dłoń na jego ramieniu.

— Ibis jest niewinnym — rzekł do lekarza — możesz nazwać mnie łotrem, jeślim wziął choć jednego obola.

Nebeuchazi umiał czytać ze źrenic starca i bez świadka wiedział już, że Ibis go nie zdradził. Zbliżył się więc do niego i rzekł łagodnie:

— Któż widział brać tak żywo do serca słowa ludzkie?

— Więc mam się cieszyć z hańbiącego podejrzenia? — odparł z wymówką stary.

— Nie zrozumiałeś mnie—tłómaczył się Nebeuchazi—uspokój się i opowiedz dokładnie, co się działo w domu podczas mej nieobecności. Podobno okradziono mnie?

Ibis skinął potwierdzająco głową, otarł oczy.

— O podobnej kradzieży jeszcze nie słyszałem—począł opowiadać—gdyby to byli zwyczajni złodzieje,

mógłbym się był pocieszyć, że ich znajdą, odbiorą im skrzynie i ukarzą, ale...

— Do rzeczy, do rzeczy!... Mnie idzie o czas, a ty opowiadanie przewlekasz — przerwał mu lekarz.

Stary wstrząsnął głową.

— W Persyi Ibis nie potrafi ci dogodzić — rzekł z goryczą — lecz jesteś panem, ja sługą, słuchać muszę!

Tu westchnął i począł dalej mówić:

— Było to właśnie w czasie, gdy perskie poselstwo przybyło do Egiptu. Któż nie poszedł się gapić? I ja usiadłem sobie na wieżyczce z moim wnukiem... Rozkoszny to smarkacz, powiadam ci...

Przy tych słowach twarz starca rozjaśniła się.

— Opowiadał mi właśnie, jak jego ojciec schował siostrze trzewiki, ażeby nie latała ustawicznie po mieście.

Śmialiśmy się z tego i przyglądaliśmy się poselstwu.

Nebeuchazi poruszył się niecierpliwie, spostrzegł to stary.

— Zaraz skończę—rzekł.

— Siedzimy na wieżyczce, malec gada, ja słucham — począł znowu opowiadać — wtem dobiegło mnie mocne stukanie do drzwi domu, zbiegam czemprędzej, otwieram, nie pytając, i wyobraź sobie, wpada do naszej sieni zgraja służby kościelnej, oraz urzędników porządku miasta, wołając, ażeby im wydać wszystkie papiery przez ciebie zostawione... Powiedziałem im parę słów nie bardzo grzecznych, boć to była prosta napaść rozbójnicza, a oni na to:

„Arcykapłan Neithatep kazał wyliczyć ci dwadzieścia pięć kijów, jeśli opierać się będziesz.”

— Czyż mogłem opierać się arcykapłanowi. Sam przyznasz, że nie... Więc też słodziutko, uprzejmie przyrzekłem, że wydam im wszystko, poczem pozwolili mi iść po skrzynie, zawierające papiery.

Żaden za mną nie poszedł. Skorzystałem z ich naiwności, pobiegłem na wieżyczkę, złapałem mego wnuczka, wpadłem z nim razem do twojej sypialni i oddałem mu czarną skrzyneczkę, którą wyjeżdżając, poleciłeś mej szczególnej opiece, poczem chłopca wysadziłem przez okno i kazałem mu ukryć ten skarb w gołębniku.

Dzięki moim długim nogom udało mi się zrobić to wszystko, zanim ci zbrodniarze wgramolili się na górę. Przeprosiłem ich za moje opóźnienie, powiedziałem im, że zastałem mego wnuka bawiącego się nożem i że za karę wyrzuciłem go na dziedziniec przez okno. Głupcy uwierzyli i zaczęli przetrząsać dom cały, poczem zabrali dużą skrzynię, dołożyli do niej, co tylko znaleźli pisanego i wynieśli się wreszcie. Myślałem, iż uda mi się krzykiem zwabić sobie pomoc z ulicy i w bramie narobiłem hałasu, lecz niestety, przechodzili wówczas ci przeklęci Persowie i nikt na mnie nie zwrócił uwagi.

Tego samego wieczora wybrałem się do zięcia, służącego w świątyni. Ten powitał mnie dziwnemi słowy: „Wdzięczny ci jestem za bogaty posag, jaki dałeś swej córce”—rzekł do mnie. A gdy go zapytałem, co znaczą te słowa, odpowiedział mi, że pod jego opiekę oddali skrzyneczkę czarną, hebanową, zabraną z naszego domu. „Gdzieś ją ukrył?”—zapytałem, łudząc się, że odzyskam te skarby. „Spalili ją kapłani ze wszystkiem, co w niej było”—odparł... Ze złości rozchorowałem się, zaniosłem skargę do rządu, lecz ją odrzucono. Później próbowałem trafić do Amazysa, kazał mi powiedzieć, że jeśli jeszcze raz poruszę tę sprawę, zostanę oskarżony, jako zdrajca stanu... Nie mogłem wytrzymać w Egipcie, ziemia paliła mnie pod nogami, porzuciłem dzieci i wnuki, i puściłem się w podróż, aby cię znaleźć i powiedzieć ci, jaka krzywda cię spotkała. Z karawaną arabską dostałem się do Tadmoru, potem z sydońskimi kupcami nad Eufrat, gdzie droga krzyżuje się z drogą z Sardes. Zmęczony siadłem sobie właśnie w lasku przy stacyi, gdy ujrzałem zdaleka pędzącą pocztę królewską. Poznałem w podróżnym dawnego główno-dowodzącego wojskami cudzoziemskimi w Egipcie.

— A ja — przerwał mu Thanes — poznałem w tobie najpowolniejszego człowieka, jakiego zdarzyło się mi spotkać w życiu, a przytem najkłótliwszego. Pamiętam, jak w Sais gderałeś ustawicznie na biegające za tobą dzieci.

Nebeuchazi słuchał obu w milczeniu, lecz twarz jego czerwieniała i bladła naprzemian, zdradzając wewnętrze wzruszenie.

— Skończ opis twej podróży—rzekł lekarz.

Stary chrząknął.

— Zaprosiłem go do swego powozu, wzdragał się zrazu — wyręczył go w opowiadaniu Thanes — wreszcie wsiadł i pojechaliśmy razem. Przy spotkaniu z Gamotą, wykazał zdolności opatrywania ran, co zapewne zawdzięcza tobie. Bez nowych przygód dotarliśmy już do Babilonu, lecz źle mu tu, o czem wiesz zapewne.

— Jakże nie mam narzekać — płaczliwym tonem odparł Ibis — skradziono mi szkatułkę hebanową.

Nebeuchazi kazał mu oddalić się, a gdy drzwi zamknęły się za nim — rzekł do Thanesa.

— Mimo to wszystko, Greku, zdaje mi się, iż nie zostaniemy sprzymierzeńcami.

— Dlaczego?—zapytał Thanes.

— Bo twoja zemsta będzie za łaskawą w porównaniu z tą, którą ja zgotuję — odparł lekarz.

— Możesz się o to nie obawiać i zostać moim sprzymierzeńcem — rzekł Thanes.

Nebeuchazi ściągnął brwi.

— Pod jednym warunkiem — rzekł ponurym głosem — muszę własnemi oczyma patrzeć na dzieło zemsty.

— To znaczy, że chcesz jechać z wojskiem, gdy Kambyzes pociągnie do Egiptu? — zapytał go Thanes.

— Tak — odparł lekarz — a gdy pałac Amazysa ogarną płomienie, wołać będę: „Mnie to zawdzięczasz!“

Przy tych słowach oczy jego zaświeciły ponurym blaskiem, porwał się z krzesła.

— Moje księgi, moje papiery!—krzyknął głosem pełnym rozpaczy—mój skarb jedyny, moja praca życia całego! Tysiące miały się dowiedzieć przez te dzieła, jak powracać wzrok niewidomym, jak dźwigać z łoża umierających... Z mojemi księgami barbarzyńcy i mnie razem spalili, pracowałem daremnie lat tyle...

Z oczu jego potoczyły się łzy palące, począł łkać, jak dziecko.

Zmieszany Thanes przystąpił do niego.

— Skrzywdzili cię, nie przeczę, lecz posłuchaj, co mnie zrobili. Wpadli podstępem do domu bezbronnej kobiety, pod której opiekę, opuszczając Egipt, oddałem moje dzieci i porwali mi je. Dziewczynę trzymali długi czas, aby mieć rękojmię, że ich przed cudzą potęgą nie zdradzę; chłopca mojego jedynego, nadzieję mej starości, Psametyk kazał zamordować, może nawet z wiedzą Amazysa, który mienił się być moim przyjacielem. Na razie zdrętwiałem po tym ciosie, a gdy serce zbudziło się, zapragnęło zemsty, strasznej zemsty...

Spojrzeli sobie przy tych słowach w oczy i wyciągnęli dłonie ku sobie.

— Jesteśmy sprzymierzeńcami — rzekł Nebeuchazi — teraz trzeba postarać się zjednać sobie łaski Kambyzesa. Uzdrowię mu matkę, Kasandona wzrok odzyska.

— Czemużeś tego nie uczynił dotychczas? Czyś znalazł teraz dopiero środek na ślepotę?

— Oddawna go znałem — odparł posępnie lekarz — lecz nieprzyjaciół mojej ojczyzny nie miałem zwyczaju obdarzać dobrodziejstwami. Dziś inne uczucia panują w mem sercu.

Thanes mimowoli cofnął się. Uczuł w sercu oburzenie, lecz myśl o własnej krzywdzie i pragnienie zemsty stłumiły to wrażenie.

— Co do mnie, już w części zjednałem sobie łaski Kambyzesa, przekonawszy go o niewinnośai Bartyi i Nitetis — rzekł — pozyskam je ostatecznie i popchnę do Egiptu, gdy mu powiem, że Amazys chciał go szukać. Wprawdzie Roges, który pochwycił od kogoś ową wiadomość, już mu coś o tem napomknął, pałając zemstą do Nitetis. Roges atoli nie wiedział, czyją w istocie jest córką Nitetis, o tem król dowie się dopiero ode mnie. Wzbudzę w nim żal nad losem pokrzywdzonej królewny, potem żal w pragnienie zemsty rozdmuchamy.

Jeszcze mówił, gdy drzwi komnaty się rozwarły i wbiegł jeden z niewolników, wołając:

— Nitetis umiera!

Nebeuchazi skinął głową Thanesowi, nałożył sandały na nogi i pospieszył do łoża chorej.

Przez całą noc Nebeuchazi siedział przy chorej. Nitetis, po napadzie gwałtownych kurczy, usnęła spokojnie, tak przynajmniej lekarzowi się zdawało. Od czasu do czasu z poza ciężkiej zasłony, oddzielającej sąsiednią komnatę, wysuwała się śliczna, złota główka z pytającem wejrzeniem w załzawionych oczach i znikała.

Parę razy Atosa ośmieliła się nawet wejść do sypialni. Cicho, zaledwie dotykając miękkiego kobierca, zbliżała się do łóżka chorej; leciuchny pocałunek składała na jej spotniałem czole i oddalała się do matki, która niespokojna o Nitetis wyczekiwała jej powrotu.

Nebeuchazi, znużony bezsenną nocą, usnął, siedząc przy łożu królewny.

Śniło mu się, że król Persyi na czele zbrojnych hufców — wyruszył do Egiptu, a on z nim razem. I ujrzał płonące wsie i miasta egipskie, widział tysiące pomordowanych kobiet, dzieci i mężczyzn, słyszał straszne jęki konających i straszniejsze nad jęki głosy braci, którzy wskazując nań palcami, wołali:

„Ten nas wydał na męki."

Poza oknami rozległ się tętent i ujadanie psów. Hałas ten zapewne zbudził Nitetis, gdyż otworzyła oczy. Nebeuchazi śnił dalej, nowy obraz stanął dalej przed jego oczyma. Ujrzał Amazysa, okutego w łańcuchy, przy nim Psametyka i kapłanów tych, którzy spalili jego dzieła. Zabiło serce starca, zbudził się, zwiesił głowę na piersi i przeniósł się myślą

w czasy, kiedy spędzał noc przy stoliku, malując starannie najwspanialszymi znakami hieroglificznymi błyski genialnych swych pomysłów, które cierpiącej ludzkości ulgę przynieść miały. Lękając się zazdrosnych kolegów, ksiąg tych nie wydawał za życia, postanowił pracę swoją przekazać testamentem bibliotece tebańskiej, zadowolnić się nagrodą po śmierci. Z czasem dopiero miała ludzkość korzystać z jego odkryć, z jego pracy; trzymał ukryte swe dzieła, aby nie zniszczyła ich zawiść ludzka. Tymczasem nie obronił się od zazdrości, tej szkaradnej jędzy: porwali mu dzieło jego i spalili je.

Nebeuchazi zapomniał w tej chwili, gdzie się znajduje i po co, widział tylko w blasku płomieni uśmiechnięte złośliwą radością twarze: Psametyka i kapłanów.

Wtem wszedł jeden z lekarzy i przystąpił do niego.

— Królewna nie śpi!—szepnął.

On drgnął, przypomniała mu się rzeczywistość, przetarł ręką czoło i zwróciwszy się do Nitetis, zapytał:

— Czy dobrze spałaś?

— Nie wiem — odparła cichutko — zdawało się mi, że spałam, a jednak widziałam i słyszałam wszystko, co się działo w pokoju, lecz trudno było mi odróżnić sen od prawdy... Czy Atosa była tutaj?

— Zaglądała—odparł Nebeuchazi, który zanim

usnął, widział parę razy wysuniętą złotą główkę z poza wełnianej kotary.

— A Kambyzes?—badała dalej Nitetis.

— Do wschodu słońca przesiedział u Kasandony, potem pojechał do zwierzyńca — rzekł lekarz. — Czy ci co dolega?—zapytał następnie, spostrzegł bowiem, że oczy chorej biegają niespokojnie.

— Czemu sprowadzono tyle psów na dziedziniec, szczekanie ich męczy mnie—narzekała Nitetis.

— Chcąc zagłuszyć troskę o ciebie, król na łowy się wybrał. Właśnie powrócił, psy z radości ujadają—odparł Nebeuchazi.

— Mówił mi Oropastes, że w Persyi sprowadzają do domu, w którym ktoś umiera, głodne psy, aby nieboszczyka pożarły—rzekła Nitetis, badawczo patrząc w oczy lekarza.

— Ty wszakże nie umierasz — przerwał jej Nebeuchazi.

Chora wstrząsnęła głową.

— Wiem, że umrę wkrótce—szepnęła z żalem—gdybym nawet nie była domyślała się tego, to widząc, jak koledzy twoi wzdychają nademną i trzęsą głowami, jużbym dowiedziała się, co mnie czeka.

— Nie mów tak, bo się zmęczysz — przerwał jej znowu Nebeuchazi.

— Pozwól mi mówić—odparła Nitetis—zanim umrę, muszę cię o coś poprosić.

— Jestem twoim sługą, królewno, rozkazuj!

— Bądź mi przyjacielem, nie sługą. Wszak nie masz już do mnie żalu, żem się modliła do cudzych bogów?... Tak ciężko to odpokutowałam... A przytem wierzaj mi, jam się zawsze modliła do bogini Hator... Przebaczyłeś mi, czytam z twych oczu. Musisz mi jeszcze przyrzec, że nie wydasz mnie po śmierci na pożarcie psom i sępom... To byłoby okropne!... Zabalsamujesz moje ciało i obwiesisz amuletami, wszak prawda, że uczynisz to?...

— Jeśli król pozwoli—odparł Nebeuchazi.

— Pozwoli z pewnością—rzekła z przekonaniem Nitetis. — Czyżby Kambyzes mógł odmówić mojej ostatniej prośbie?... Lecz jeszcze mam jedno życzenie — dodała — uczyń tak, aby twoi koledzy oddalili się stąd na chwilę.

Nebeuchazi podszedł do magów, mówiąc, iż musi przyrządzić chorej jakieś tajemnicze lekarstwo, że w ich obecności uczynić tego nie może. Magowie opuścili natychmiast komnatę, a Nitetis odetchnęła swobodniej.

— Teraz daj mi błogosławieństwo kapłańskie na daleką drogę — rzekła — i przygotuj mnie do spotkania z Ozyrysem.

Nebeuchazi ukląkł przy łożu i począł szeptać modlitwy, na które chora odpowiadała słabym głosem.

Była to rozmowa Ozyrysa z idącą do niego duszą.

Rozmowa ta dobrze oddziałała na Nitetis: wyraz spokoju wystąpił na bladą jej twarzyczkę.

Lekarz spojrzał na nią wzruszony. Myśl, że osłodził jej ostatnią życia godzinę, miłą mu była. W tej chwili zapomniał o troskach osobistych, o zemście, czuł tylko, że czyniąc dobrze bliźniemu, zdobywa wewnętrzne zadowolenie.

Tymczasem Nitetis podniosła na niego wzrok, pełen cichego spokoju.

— Prawda, iż znajdę teraz łaskę w oczach sędziów świata nadziemskiego?

— Mam nadzieję—odparł.

— Może spotkam tam Fachot, a może i ojca także?

Dobre uczucia pierzchły z serca lekarza, oczy jego spojrzały posępnie na chorą, przypomniała mu jego wroga.

— Ojciec i matka czekają na ciebie u Ozyrysa—rzekł ponuro—pobłogosław w ostatniej godzinie tym, którzy dali ci życie, a przeklnij tych, którzy ci wydarli rodziców, tron i szczęście!

W oczach Nitetis odbił się niepokój.

— Nie rozumiem cię—rzekła.

— Przeklnij tych, którzy ci wydarli rodziców, tron i szczęście—powtórzył lekarz.

Nitetis blademi usty i głosem słabym powtórzyła za nim przekleństwo.

Nebeuchazi ujął ją za rękę i ścisnął mocno.

— Przeklnij tych, którzy rodziców twoich pozbawili tronu i szczęścia—rzekł znowu.

— Przeklinam! — szepnęła Nitetis i głowa jej opadła, a z ust westchnienie się wydarło.

Lekarz pochylił się nad nią.

— Kończy, jako moja wspólniczka — rzekł — bogowie usłyszą przekleństwo umierającej i pomogą mi. Nie tylko za własne krzywdy poniosę mój miecz do Egiptu, lecz będę także mścicielem króla Hofry.

* * *

W parę godzin później Nitetis raz jeszcze otworzyła oczy.

Teraz dłoń jej spoczywała w rękach Kasandony, przy łożu klęczała Atosa, Krezus podtrzymywał w swych ramionach Kambyzesa, którego cierpienie pochyliło.

Królewna spojrzała gasnącym wzrokiem na wszystkich.

— Żegnajcie!—szepnęła cicho.

Dusza jej uleciała do krainy światłości.

W komnacie rozległy się łkania. Pierwszy Kambyzes płakał.

* * *

Nebeuchazi otrzymał pozwolenie od króla, aby ciało zmarłej zabalsamować.

Rozpacz Kambyzesa trudno opisać. Wyrzucał sobie, że skrócił życie dobrej Nitetis, rozdzierał szaty, rwał włosy z głowy, a wszyscy urzędnicy musieli za jego przykładem to samo czynić.

Straże przeciągały ustawicznie przed pałacem, z poszarpanemi chorągwiami. Rumaki, które służyły Nitetis, pomalowano na błękitny kolor, na znak żałoby i poobcinano im ogony. Cały dwór chodził w rozdartych do pasa szatach, a magowie przez trzy dni i noce odprawiali modły za dusze zmarłych. Atosa zachowała przepisy żałoby, jak po najbliższej krewnej, a Nebeuchazi zabrał się po za bramami miasta do balsamowania ciała według wszelkich praw nauki egipskiej.

Przez dziesięć dni Kambyzes zdawał się być w stanie, zbliżonym do pomieszania zmysłów. Chwilami rozpaczał gwałtownie, to znowu obojętniał na wszystko.

Dziesiątego dnia wezwał sędziów i polecił im wydać, o ile można najłagodniejszy wyrok na Gamotę. Nitetis prosiła go, aby darował życie biedakowi: pamiętał o tem.

Tegoż jeszcze dnia sędziowie przysłali królowi do podpisania wyrok następującej treści:

„Chwała królowi Kambyzesowi! Oko świata i słońce sprawiedliwości polecił nam w swej łasce niewyczerpanej sądzić Gamotę nie z surowością sędziów, lecz z pobłażliwością matki, wskutek tego postanowiliśmy darować mu życie. Ponieważ jednak lekkomyślność młodzieńca pogrążyła w żałobie najpierwsze osoby w państwie, a można się obawiać, że podobieństwo jego do Bartyi mogłoby jeszcze kiedyś posłużyć przeciw prawdzie i sprawiedliwości, wymierzamy mu przeto karę, która to podobieństwo zmniejszy i pozwoli zawsze odróżnić zbrodniarza od szlachetnego syna wielkiego Cyrusa... W imię więc sprawiedliwości, za karę występku, mają być obcięte oba uszy Gamocie."

Wyrok ten spełniono natychmiast po podpisaniu go przez króla. Hańbiąca ta kara zabolała bardzo Oropastesa. Obawiał się, aby zajście to nie wpłynęło na jego powagę u dworu, rozkazał bratu opuścić Babilon i zamieszkać w oddalonym majątku.

Dwunastego dnia po śmierci Nitetis, król wybrał się na polowanie. Sądził, że ruch i nowe wrażenia potrafią rozprószyć jego smutek.

Dostojnicy państwa powitali go głośnym okrzykiem radości, za który uprzejmie podziękował.

Przebyte cierpienia wycisnęły głębokie piętno na twarzy jego. Pobladł, krucze jego włosy przyprószyły się siwizną, dawna pewność siebie osłabła, doszedł smutnem doświadczeniem do przekonania, że potęgą swoją wiele zniszczyć potrafi, ale nie jest w możności wskrzesić ani jednego życia ludzkiego.

Zanim wyruszono na łowy, król zapytał Gabryasa o Thanesa.

— Nie rozkazałeś, panie, przywołać go, nie wiedziałem, że ma mieć udział w polowaniu — odparł dworzanin z pokornym ukłonem.

— Wiedz, że od dziś Spartanin może być wszędzie i zawsze moim towarzyszem.

Gabryas pospieszył spełnić wolę władcy i niebawem powrócił z Thanesem.

— Dworzanie powitali uprzejmie Greka.

Nietylko łaski, jakiemi obdarzał go król sprawiły, że okazywali mu przyjaźń, lecz i osobiste jego zalety. Utrzymywali, że tak miłego towarzysza, a zarazem mądrego człowieka rzadko się zdarza spotykać; podziwiano spryt Greka w pozyskaniu przychylności króla i szybkie postępy w języku perskim.

Przytem żaden z Achamenidów nie przechodził go pięknością, ni postawą; siedział na koniu, jak przykuty, a w biegu najszybszym okazywał wiele zręczności.

Gdy wszystkie te przymioty wyliczono z kolei, stary Araspes zawołał:

— Prawda, zgadzam się, iż niezwykły to człowiek, ale nie zachwycalibyście się nim tak bardzo, gdyby był Persem, nie cudzoziemcem.

Thanes posłyszał to zdanie, zwrócił się do mówiącego i rzekł:

— Dziękuję ci, Araspesie, za dobre o mnie mniemanie. Druga część twego zdania bardzo mi

się spodobała, przekonała mnie bowiem, że Persowie są najwspaniałomyślniejszym narodem na świecie, gdyż cenią cnoty cudzoziemców wyżej, niż swoje własne.

Obecnym pochlebiły te słowa, spojrzeli przychylnie na Thanesa, on zaś ciągnął dalej:

— Weźcie naprzykład Egipcyan. Nie macie pojęcia co to za ograniczeni i zarozumiali ludzie. Gdyby pozwolić ich kapłanom, pozabijaliby z rozkoszą wszystkich cudzoziemców i opasaliby swe państwo murem niedostępnym dla obcokrajowców. Prawdziwy Egipcyanin woli umrzeć z głodu, niż jeść z jednej misy z nieczystym, jak nazywają ludzi obcej narodowości. Nigdzie niema tyle przesądów co tam... Jednak wyznać trzeba, że Egipt jest najbogatszym krajem na ziemi. Zamożność to jednak niepewna, nic łatwiejszego, jak zdobyć ich kraj. Egipcyanie są dziwnie nieostrożni; znam dobrze ich stosunki. Pewien jestem, że nie potrzebowałby wielkich wysiłków ten, kto chciałby podbić Egipt.

— Kto wie, co przyszłość przyniesie — odezwał się Kambyzes — może wszyscy razem urządzimy wycieczkę nad Nil. Miecze nasze za długo już spoczywają w pochwach.

Okrzyki zadowolenia odpowiedziały na te słowa.

Król spojrzał badawczo na Thanesa, zdawał się go pytać wzrokiem:

— Cóż ty na to?... Mamże korzystać z tej ochoty do boju moich rycerzy?

— Wprawdzie nie urodziłem się twoim poddanym, panie—wprawdzie od niedawna mogę się szczycić dopiero znajomością najznakomitszego z monarchów—mówił Thanes — jednakże coraz bardziej nabieram zuchwałego przekonania, że bogowie, stwarzając mnie, przeznaczyli na twego przyjaciela... Nie dobrodziejstwa, które tak hojnie świadczyć mi raczyłeś, przywiązały mnie do ciebie, królu, bo tych nie potrzebuję, należąc do bogatszych ludzi w mym kraju, a nie mam syna, aby mu skarby moje przekazać. Wprawdzie nazywałem niegdyś tem imieniem piękne, dobre dziecko... Lecz po co ja ci to mówię, panie...

— Mów!—rozkazał Kambyzes, któremu ta śmiała mowa sprawiała przyjemność.

— Szanowałem, królu, twój święty ból — mówił znowu Thanes — lecz postanowiłem wyrwać się ze stanu odrętwienia, ożywić nową myślą, wskazać cel życia.

Kambyzes westchnął.

— Tego nie dokonasz!—szepnął.

— Moje słowa wzbudzą w tobie, królu, gniew szlachetny, a gniew ten wzbudzi w tobie ochotę do czynu.

— Zaciekawiasz mnie.

Thanes mówił dalej:

— Zostałeś haniebnie oszukany, panie! Ta dobra i piękna Nitetis, która zgasła przed kilku dniami...

Kambyzes spojrzał na niego błyszczącemi oczyma.

— A więc Roges powiedział prawdę? — zapytał głuchym głosem.

Thanes udał, że pytania tego nie dosłyszał i mówił dalej:

— Ta śliczna dziewczyna nie była córką Amazysa, chociaż wierzyła w to. — Amazys oplótł ciebie, królu, i świat cały siecią misternie wiązanych kłamstw. Nitetis była w istocie córką królewską, ale nie przywłaszczyciela cudzego tronu. Ojciec tej pełnej cnót istoty był prawdziwie wielkim królem, był to Hofra, strącony z tronu przez dzisiejszego Faraona.

Kambyzes cofnął się mimowoli.

— Marszczysz czoło, panie, nie dziwię się, to okropnie być oszukanym przez sprzymierzeńców!

— Dalej, chcę wiedzieć wszystko! — krzyknął wzburzonym głosem król, a bladą twarz jego gniew zarumienił.

Oczy Thanesa błyszczały zadowoleniem, lecz przysłonił je powiekami.

— Poprzednik Amazysa, król Hofra, ostatnie dni spędził w więzieniu, gdzie tajemnie zamordowanym został. Wdowę jego Amazys kazał zabrać do swego pałacu i umieścił razem ze swoją żoną. Hofra zmarła tegoż samego dnia, zostawiając jedyną córkę Nitetis. Jeśli mi nie wierzysz, królu, przedstawię ci

na to piśmienne świadectwo jednego ze świadków tego faktu—niejakiego Onufisa.

— Za godzinę przyjdź do mnie z tym człowiekiem — rozkazał król—przyprowadzisz też ze sobą wszystkich Achamenidów, Krezusa i Nebeuchaziego. Muszę mieć pewność, nim zacznę działać. Twoje oskarżenie nie wystarcza mi. Wiem od Amazysa, iż masz pewne powody niechęci do niego.

Kambyzes zaniechał łowów.

Był wzburzony i niespokojny wielce. Thanes w powrocie do domu wytłómaczył mu, od kogo Roges już słyszał o tem, że Nitetis nie jest córką Amazysa... Amazys i jego żona mimowoli zdradzali się co chwila z tem, czulsi byli bowiem o wiele dla Fachot, krążyły o tem różne głuche pogłoski.

Głośno o swoich domysłach nikt nie śmiał mówić w Egipcie, lecz w Babilonie któryś ze służby musiał się wygadać, że Nitetis jest przybranem dzieckiem Amazysa. Roges skorzystał z tego, aby się zemścić. Niestety, co on wiedział o pochodzeniu Nitetis, tego król sprawdzić nie mógł.

W oznaczonym czasie zapełniła się sala królewska. Stary Onufis miał już lat ośmdziesiąt.

Łysa jego głowa robiłaby wrażenie trupiej czaszki, gdyby nie błyszczące i rozumne oczy. Siedział w krześle z kości słoniowej, gdyż starość i choroba nie pozwalały mu stać nawet w obecności króla.

Miał na sobie długą, białą suknię kapłańską, na której miejscami widać było łaty i cery. Zapewne był niegdyś wysokim i dobrze zbudowanym, lecz teraz tak się zgarbił i pochylił skutkiem wieku, iż zrobił się zupełnie małym, a głowa czyniła wrażenie za dużej w stosunku do niepozornej postawy. Przy nim z jednej strony stał Nebeuchazi, z drugiej Thanes, Krezus, Daryusz i Preksaspes.

Król siedział na krześle tronowem, oblicze jego miało wyraz poważny i surowy, gdy przemówił:

— Szlachetny Grek, którego pragnę nazywać zawsze moim przyjacielem, uczynił ważne odkrycie: Amazys oszukał mnie... Moja zmarła małżonka nie była jego córką.

Po tych słowach szmer oburzenia obiegł salę. Kambyzes chwilę milczał, poczem zabrał znowu głos.

— Choć córką Amazysa nie była, płynęła w niej wszakże krew królewska. Starzec, którego widzicie (tu wzrokiem wskazał Onufisa) dowiedzie wam tego.

Onufis skinął potakująco głową, król zaś zwrócił się do Preksaspesa.

— Czy oddano ci wyraźnie Nitetis, jako córkę Amazysa? — zapytał.

— Najwyraźniej—odparł poseł—wprawdzie kilku z naszej drużyny utrzymywało, że siostra Nitetis

jest piękniejszą, lecz Faraon oświadczył: „Fachot nie zniosłaby dalekiej podróży." Przypuszczałem, że jest ci życzliwym, panie, że zdrowszą latorośl ci oddaje; przytem zmarła Nitetis i pięknością i postawą zdawała się przewyższać siostrę... W liście pisanym do ciebie, królu, Amazys pisze, że ci oddaje najukochańsze swoje dziecko.

— To prawda—rzekł Kambyzes.

— I z pewnością Fachot pod żadnym względem nie dorównywała Nitetis—odezwał się Krezus—choć co prawda, zdawało mi się, iż królewska para większą miłością obdarza Fachot.

— Tak było w istocie—zabrał głos Daryusz—pamiętam pewnego razu podczas uczty Amazys rzekł wesoło do Bartyi: „Proszę cię, nie staraj się o względy Fachot, bo gdybyś nawet był królem, nie pozwoliłbym jechać jej do Persyi."

Następcę tronu zaniepokoiły te słowa, gdyż zawołał: „Ojcze, pamiętaj o Thanesie!"

— O Thanesie?—powtórzył zdziwiony król.

— Tak jest—odpowiedział Spartanin—Amazys zdradził kiedyś przede mną swoją tajemnicę, więc Psametyk ostrzegł go, aby nie zapomniał się poraz drugi.

— Powiedz, jak to było?—zapytał król.

— Gdy wróciłem z Cypru, Amazys wyprawił ucztę na cześć mojego zwycięztwa—począł Thanes—im więcej pił, tem więcej okazywał mi serdeczności.

Wreszcie gdyśmy go odprowadzali razem z Psametykiem do jego mieszkania, przechodząc koło sypialni córek, pochylił się do mnie i rzekł: „Tam śpią Fachot i Nitetis, gdybyś miał ochotę ożenić się po raz drugi, dałbym ci Nitetis. Nie jest ona moją córką."—Chciał jeszcze coś mówić, ale Psametyk położył mu rękę na ustach, a mnie odesłał szorstko na kwaterę. Tam rozmyślałem nad tem, com usłyszał i wywnioskowałem to, co potwierdzi ten starzec dowodami. Rozkaż, królu, a przetłómaczy ci Onufis list lekarza Amazysa — Inochatepa.

Kambyzes skinął, Onufis rozwinął zwitek żółtego pergaminu i czytać począł głosem dźwięcznym i harmonijnym, którego nikt z obecnych nie spodziewał się po jego wątłej postaci:

„Byłem wczoraj wezwany przez Amazysa do małżonki króla Hofry, która umarła nagle, i do żony jego, którą bogowie obdarzyli wątłą dziewczynką. Prócz mnie i króla nikogo w pokoju dzieci nie było. Amazys, pokazawszy mi Fachot i Nitetis, niemowlęta, rzekł:

— Prawo nasze nakazuje opiekować się sierotami, postanowiliśmy więc razem z żoną wychować Nitetis, jako córkę własną. Idzie nam o to, aby tym czynem nie chełpić się przed światem. Dla tego proszę cię, jako stałego lekarza naszego domu, zaświadcz, że córeczka Hofry zmarła zaraz po urodzeniu, a obie żyjące dzieciny są naszemi dziećmi. Jeśli to uczy-

nisz, otrzymasz dziś jeszcze 5,000 sztuk złota, a potem co rok odbierać będziesz z mego skarbca po 1,000 sztuk.

— Skłoniłem się i uczyniłem jak żądał. Córce Hofry dano imię Nitetis, Amazysa Fachot.

Kambyzes porwał się z tronu i zaczął niespokojnie biegać po sali.

Onufis chwilę odpocząwszy, czytał dalej:

„Chodziło wszakże jeszcze i o to, aby dla udowodnienia, że córka Hofry umarła, znaleźć jakie dziecko nieżywe i pochować je ze wszystkimi honorami, przynależnymi córce królewskiej. Wezwano mnie właśnie do jakiegoś umierającego maleństwa. Po śmierci tej dzieciny zaproponowałem rodzicom, aby powierzyli mi je. Wzdragali się zrazu, lecz gdy powiedziałem im, że chce wypróbować nowego sposobu balsamowania ciał, miłość własna przeważyła w ich sercach i oddali mi zwłoki dziecka. W dużej skrzyni od lekarstw, którą tym razem niósł nie służący, lecz syn mój—Nebeuchazi zanieśliśmy zmarłe dzieciątko do komnaty małżonki Hofry.

— Czy mój lekarz jest twoim synem?—przerwał Kambyzes czytanie listu Onufisowi.

— To syn Inohatepa, który pomagał Amazysowi—odparł starzec.

Lekarz patrzał ponuro w ziemię, Kambyzes przystąpił do niego.

— Czy potwierdzasz oskarżenia tego listu? — zapytał.

Nebeuchazi padł na kolana.

— Czy te znaki malował twój ojciec? — badał go dalej król.

— Podobno—wyjąkał wreszcie.

— Powstań i bądź przekonanym o mojej łasce — odparł Kambyzes — wierność dla króla zdobi poddanego. Pamiętaj, że ja obecnie jestem twoim królem... Kasandona mówiła mi, że chcesz dokonać operacyi, która ma wzrok jej przywrócić. Czy nie nadto ufasz sobie?

— Jestem pewny mej sztuki — odparł Nebeuchazi, podnosząc się.

— Jeszcze jedno pytanie — mówił król — czy wiedziałeś o tem oszukaństwie?

— Tak, panie!—odparł lekarz.

— I pozostawiłeś mnie w błędzie?

— Przysiągłem tajemnicę Amazysowi.

— Jakim sposobem list ów dostał się w ręce Onufisa?

— O tem wie Thanes.

Kambyzes zwrócił się do jednego z dworzan.

— Pamiętaj obu Egipcyanom posłać dziś, Gabryasie, potrawy z mojego stołu — wydał rozkaz. — Zdajesz się potrzebować lepszego pożywienia, starcze? — mówił, zwracając się do Onufisa.

— Nie potrzeba mi nic, prócz powietrza do oddychania, kromki chleba, miarki wody, czystej sukni, aby bogom sobą wstrętu nie czynić, i jakiego kąta, aby ludziom nie być ciężarem — odparł zagadnięty. — Zostawiam tobie, panie, uznanie, na jaką nagrodę zasłużyłem. Przetłómaczyłem ci list, który czyni cię spadkobiercą potężnego państwa.

— Jakto?—zapytał zdumiony Kambyzes.

— Twoja zmarła małżonka była córką jedyną króla Hofry — odparł Onufis — według naszych praw, jeśli umierający Faraon nie ma synów, ni braci, a córkę zostawi, córka tron dziedziczy, po jej śmierci zaś prawa jej przechodzą na małżonka, gdyby bezdzietnie zeszła ze świata... Amazys jest przywłaścicielem, Hofra był prawym królem Egiptu. Ty, panie, jesteś przeto spadkobiercą Hofry. Psametyk powinien zrzec się tronu na twoją korzyść. Pozdrawiam cię, królu, jako przyszłego władcę mojej ojczyzny... I w gwiazdach wyczytałem, że Psametyk przepadnie, że twoje czoło ozdobi korona egipska.

— Pomogę ci, aby przepowiednia spełniła się— odparł Kampyzes, podniósłszy dumnie czoło. — A teraz, starcze, wzywam cię raz jeszcze, wyjaw, jakie życzenie, abym mógł cię wynagrodzić.

— Pozwól mi, królu, towarzyszyć twemu wojsku, gdy przedsięweźmiesz wyprawę do Egiptu — odparł Onufis — chciałbym przed śmiercią zobaczyć raz jeszcze mój kraj.

— Życzenie twoje spełnionem będzie — odparł król — teraz opuście mnie, przyjaciele, przy uczcie wieczornej zbierzemy się znowu. Pijąc słodkie wino, radzić będziemy o wojnie. Podobno lepiej będzie wyruszyć na Egipt, niż na Massagetów.

— Chwała królowi! — wykrzyknęli wszyscy obecni.

XII.

Krezus i Thanes udali się razem do ogrodu królewskiego, twarz Greka promieniała radością, Krezus był smutny i zamyślony.

— Czy zastanowiłeś się, Spartaninie, jak straszny pożar wzniecić może iskra przez ciebie rzucona? — zapytał Krezus.

— Tylko dzieci i głupcy działają bez namysłu— odparł Thanes.

Lecz Krezus wstrząsnął przecząco głową.

— I ludzie gwałtowni... Zemsta rodzi namiętność—rzekł.

— Gdy się ją wywiera w chwili gniewu, lecz moja zemsta jest zimna, jak żelazo. Miała czas ostygnąć i stwardnieć — odparł Thanes — znam mój obowiązek.

— Najpierwszym obowiązkiem cnotliwego człowieka jest poświęcić własne dobro dla dobra ojczyzny — rzekł Krezus — zapomniałeś, Spartaninie, że

razem z Egiptem wydasz w ręce Persów swoją piękną Helladę.

— Nie obawiam się tego — odparł spokojnie Thanes.

— Więc przypuszczasz, że Kambyzes ominie Grecyą? — zapytał Krezus — jestem pewien, że gdy raz odważy się sięgnąć ku morzu Śródziemnemu, wszystkie kraje nad niem leżące posiąść zechce.

— Nie przeczę, lecz bracia moi potrafią opór mu stawić. Niebezpieczeństwo złączy wszystkie nasze państewka w jeden potężny naród, który potrafi obalić nawet taką siłę, jaką stworzy Kambyzes.

— To marzenie!

— Które urzeczywistnić się może.

— Nie mogę stanowczo ci przeczyć, gdyż stosunki twego kraju nazbyt mało mi są znane, polegam tylko na twym szlachetnym charakterze. Nie zdolnym jesteś dla osobistych korzyści poświęcić dobra kraju... Jednak to okropne, że za czyn jednego człowieka ma odpowiedzieć cały naród. Cóż Egipt zawinił?... Jeśli ci idzie o to, abym cię mniej surowo sądził, opowiedz, jaka krzywda rozbudziła w twem sercu tę zemstę okropną?

Thanes ściągnął brwi, zdawał się wahać, po chwili rzekł:

— Słuchaj, a przestaniesz mnie odwodzić od moich zamiarów. Znasz następcę tronu Psamety-

ka i znasz Rhodofis: pierwszy był moim śmiertelnym wrogiem, druga przyjaciółką. Gdy opuszczałem Egipt, Psametyk zagroził mi zemstą. Twój syn uratował mi życie: uniknąłem śmierci zastawionej na mnie; dzieci moje stosownie do mego zlecenia odwiozła służba do Neukratis, pod opiekę Rhodofis, która miała z czasem przysłać mi je do Azyi. Niestety, jakiś nędznik doniósł o tem Psametykowi. Pewnej nocy straż jego otoczyła dom Greczynki i uprowadziła z sobą moje dzieci. Nikczemny Amazys pozwolił syna mojego, moje jedyne dziecię, moją chlubę, czy słyszysz?... pozwolił zabić. Poprzysiągłem mu zemstę, gdy wiadomość o tem doszła do mnie.

— A córka twoja?—zapytał Krezus.

— Ta żyje, chowa się u Psametyka.

— Zemsta twoja zabije ją.

— Wszystko mi jedno — przerwał mu Thanes — dziś serce moje już nikogo nie kocha, nienawidzi tylko!...

— Za syna twego krocie niewinnych odda życie — rzekł Krezus.

— Tak!—odparł głuchym głosem Thanes.

— Będzie to niesprawiedliwem, bogowie karzą niesprawiedliwe czyny.

— Chodźmy na radę wojenną — mruknął Thanes — Kambyzes powinien być wdzięcznym Psametykowi za jego bezprawia. Dał mu on sposobność do wojny, której król Persyi potrzebuje, jak ryba wody. W pokoju żyć nie potrafi...

Słowa te z goryczą były powiedziane.

Najszlachetniejszem zadaniem panującego jest myśleć o zewnętrznym dobrobycie państwa — zakończył Krezus.

— Więc czemuż potomni czczą najczęściej pamięć władców wojowników?

— Bo nie znają swego dobra—odparł Krezus.

— Ileż pieśni poświęcili Achillesowi — mówił dalej Spartanin — jakże szeroko go sławili, a nikomu nie przyszło nawet na myśl opiewać rozumne rządy innego jakiego władcy. Widać, że siła fizyczna godniejszą jest czci, niż moralna... Więcej w istocie odwagi i poświęcenia wymaga przelanie krwi własnej, dla dobra swego kraju, niż sadzenie drzew.

— Lecz więcej trzeba mieć w sercu dobroci, a w głowie rozumu, aby goić rany, niż aby je zadawać—odrzekł spokojnie Krezus—i zwierzęta gryźć się potrafią... Lecz dajmy tym rozprawom pokój, nie przekonam cię... Odpowiedz mi na jedno pytanie: Czy Bartya, gdy Amazys przeniknie plany Kambyzesa, będzie mógł bezpiecznie pozostać w Neukratis?

— Nigdy!

— To też ostrzegłem go i radziłem, aby na czas podróży i pobytu w Egipcie przybrał inne nazwisko.

— Czy zgodził się na to?

— Owszem, miał zamiar pójść za moją radą.

— W każdym razie byłoby dobrze posłać do niego kogoś, ktoby go ostatecznie ostrzegł.

— Poprosimy o to króla, a teraz chodźmy. Widzę wyjeżdżające wozy z jadłem dla urzędników królewskich. Ilu ludzi król żywi codziennie?

— Około piętnastu tysięcy.

— W takim razie Persya może bogom dziękować, iż władcy jej raz na dzień tylko ucztują.

XIII.

W sześć tygodni po wyżej opisanych wypadkach, mały oddział konny zbliżał się powoli do bram Sardes.

Konie i ludzie pokryci byli grubą warstwą kurzu.

Szlachetne rumaki, czując blizki spoczynek, dobywały reszty sił.

Szeroka, dobrze utrzymana droga, wysadzona była z obu stron kasztanami; w dolinie widać było drzewa oliwne i cytrynowe, winnice bogate; zdala na górach szumiały jodły i cyprysy, gdzieniegdzie wśród pól uprawnych wznosiły się krzewy figowe, lub granaty. Łąki pokryte były różnobarwnym kwieciem.

Podróżni często spotykali na nich studnie, otoczone wygodnemi ławkami, ocienione kępą palm lub aurów. Wspaniały błękit nieba rozciągał się nad tym bogatym krajobrazem.

Właśnie podróżni minęli lasek brzozowy, gdy oczom ich ukazało się, jak na dłoni złote Sardes, niegdyś stolica państwa Krezusowego.

Pałac królewski z białego marmuru panował nad miastem, wznosząc się na wysokiej, stromej, skale.

Ku południowi skała spadała mniej stromo, po tej też stronie rozsiadł się gród u stóp pałacu.

Przez plac targowy, który zdala robił wrażenie jasnej plamy, przewijała się rzeka, obmywająca podnóże świątyni Cybeli; ku wschodowi rozciągały się ogrody, a wśród nich błyszczała tafla jeziora Gigejskiego z różnokolorowemi łódkami i pływającymi za nimi łabędziami.

Za jeziorem widniały sztucznie usypane pagórki, z których wyróżniały się trzy dziwacznym kształtem.

— Co znaczą te pagórki?—spytał Daryusz jadącego obok Preksaspesa.

— Są to groby dawnych królów lidyjskich — odparł zagadnięty. — Pod tym największym na lewo spoczywa ojciec Krezusa — Aliates.

— Zmarły król cieszył się wielką miłością ludu — rzekł Daryusz. — Nasz Bartya byłby równie dobrym władcą.

— Biedak! — westchnął Proksaspes — leży teraz ciężko chory.

— Chwała bogom, zobaczymy go wkrótce—odparł Daryusz.

— Może odzyskasz wówczas humor, który opuścił cię stanowczo — uczynił uwagę Preksaspes.

— Postaram się o to — rzekł Daryusz — stary Krezus utrzymuje, że wówczas tylko jesteśmy w złym humorze, gdy nie mamy ochoty lub siły do walki z przeciwnościami.

— Gdy nie mogę opanować chociażby pół świata, postaram się przynajmniej zawładnąć swoją wewnętrzną istotą.

To mówiąc, podniósł hardo głowę i spojrzał śmiało przed siebie.

— Mam przekonanie, że syna Histaspesa bogowie do nadzwyczajnych rzeczy przeznaczyli — odezwał się Preksaspes.

— Może Cyrus nie bez powodu po owym sławnym śnie kazał cię mieć na oku.

Daryusz roześmiał się.

— Jakoś dotychczas nie wyrosły mi jeszcze skrzydła—rzekł.

— Twemu ciału nie, ale duszy...

Nie dokończył jednak zdania, tylko dorzucił przeztrogę:

— Niebezpieczną idziesz drogą, synu Histaspesa!

Daryusz wstrząsnął głową.

— Ten, kto ma skrzydła, nie potrzebuje obawiać się przepaści — rzekł dumnie — ufam przytem w szczęśliwą moją gwiazdę, która mi przyświeca.

— A mnie się zdaje, że czynnościami twemi rządzi nie gwiazda, lecz słońce, które się zowie pychą — odparł Preksaspes—i dla tego obawiam się o ciebie... Strzeż się! Pyszny człowiek jest jako spragniony, który słoną wodą koi pragnienie. Im więcej sławy zdobędzie, tym żądniejszym jej się staje.

— Jeśli mnie oczy nie mylą, to Zefirus i Giges jadą naprzeciw nas — zawołał Daryusz — a goniec z ostatniej stacyi musiał uprzedzić ich o naszem przybyciu.

Preksapes bystro spojrzał przed siebie.

— Tak, to oni—potwierdził po chwili.

— Zefirus, zawsze wesoły, powiewa na powitanie gałęzią palmy—rzekł Daryusz—hej, chłopcy, ułamcie kilka gałęzi z tego krzewu — dodał, zwróciwszy się do jadącej za nimi służby—zielonej palmie odpowiemy ponsowym granatem.

W parę minut później Daryusz i Preksaspes znaleźli się w objęciach przyjaciół i razem z nimi ruszyli ku jezioru.

Słońce pochylało się ku zachodowi, mieszkańcy Sardes wylegli licznie na ulice miasta, aby użyć chłodu wieczornego.

W tłumie byli najrozmaitsi ludzie: rycerze lidyjscy, żołnierze perscy, piastunki prowadzące dzieci na przechadzkę, kobiety i mężczyźni z pospólstwa.

Gdzieniegdzie gromadka miłośników muzyki kupiła się koło wędrownego śpiewaka, nucącego lidyjskie

pieśni, tam znowu grono młodzieży bawiło się w kości i obręcze...

Perscy przybysze mało jednakże zwracali uwagi na to, co ich otaczało, będąc zajęci rozmową z towarzyszami, którzy opowiadali o chorobie Bartyi.

Satrapa Sardesu Oroctes, człowiek średniego wieku, wzrostu dobrego, z małemi przenikliwemi oczkami spotkał ich w bramie dawnago pałacu Krezusowego.

Była to jedna z najbogatszych satrapii Persyi, to też zarządzający nią żył z prawdziwie królewskim przepychem.

Podróżnych otoczył rój wyższych i niższych urzędników, straży, służby i niewolników.

Pałac Krezusa był bezwarunkowo najwspanialszą ze wszystkich starożytnych rezydencyi królewskich.

Przy zdobyciu Sardes Persowie wywieźli z pałacu część skarbów i dzieł sztuki, wiele obrócili w perzynę, lecz skrzętni i pracowici mieszkańcy miasta w krótkim czasie przywrócili starej stolicy dawny jej blask i świetność.

W wielkiej sali pałacu przybyli zastali leżącego na wspaniałem łożu Bartyę, który wyciągnąwszy na ich powitanie ręce, uśmiechnął się radośnie.

— Musisz mi przedewszystkiem opowiedzieć, na co cierpisz — zapytał Daryusz, siadając obok królewicza.

— Zdrowi wyjechaliśmy z Babilonu — odparł słabym głosem Bartya — przybywszy do miasteczka Gamzy, postanowiliśmy wykąpać się dla ochłody.

Zgrzani, wskoczyliśmy do wody.

Giges nas przestrzegał, lecz śmialiśmy się z niego.

Kąpiel była wyborna, zachwycaliśmy się tak głośno, aż Giges nam pozazdrościł i poszedł za naszym przykładem.

We dwie godziny później udaliśmy się w dalszą podróż.

W drodze uczułem dreszcze, lecz nie zważałem na to.

Zmienialiśmy konie na każdej stacyi, jechaliśmy dobę całą bez odpoczynku. Mnie dreszcze wstrząsały coraz częściej, a do głowy biło gorąco. Uczułem też ból w kościach, lecz wstydziłem się przyznać i trzymałem się na siodle, jak mogłem. W Bogis, przy zmianie koni, gdy chciałem wskoczyć na siodło, siły nagle mnie opuściły i nieprzytomny upadłem na ziemię.

— Narobiłeś nam wtedy strachu — rzekł Zefirus — szczęściem, że był ze mną Giges, ja bowiem tak straciłem głowę, że nie wiedziałem co czynić... Giges ze zwykłym spokojem, obdarzywszy mnie kilku niepochlebnymi epitetami, zajął się następnie zemdlonym... Lekarz, po którego posłaliśmy, powiedział, że Bartya umrzeć musi, tymczasem chory otworzył po chwili oczy, więc Giges posłał mnie po powóz wygodny i po najlepszego lekarza z Sardes. Puściłem się co koń wyskoczy. Jeszcze tej samej nocy z najsławniejszym lekarzem z Sardes i najlepszym powozem Orocetasa przewieźliśmy chorego do pałacu Krezusa. Przybywszy tutaj, dostał silnej gorączki z maligną połączonej, opowiadał najgłupsze rzeczy, jakie można sobie wyobrazić i nabawił mnie takiego strachu, że dziś jeszcze, gdy o tem myślę, truchleję.

— Jemu i Gigesowi zawdzięczam życie—przerwał to opowiadanie głosem wzruszonym Barya — aż do dnia dzisiejszego nie opuszczali mnie na krok, pielęgnowali, jak dziecko. I Orocetasowi dużo zawdzięczam, ten doznał nie jednej przykrości skutkiem okazanego mi serca.

— Jakto?—spytał Daryusz.

— Polikrates z Samosu—odrzekł Bartya—o którym tyle słyszeliśmy w Egipcie, ma na swym dworze znakomitego lekarza greckiego. Gdy mi lepiej nie było, Orocetas napisał do Greka, aby przyjechał natychmiast do Sardes. Grek ten uzdrowił mnie. Przed paru dniami bogato wynagrodzony opuścił Sardes. Brak mi sił jeszcze, lecz czuję się zdrowym zupełnie.

— Nie dziwię się, iż Polikrates strzeże, jak oka w głowie swego lekarza—mówił Zefirus—takiego drugiego niema chyba na świecie... Zwie się on Democedes, jest piękny i mądry, a przytem co za nadzwyczajna znajomość środków leczenia, jaka zręczność i siła!... Szkoda, żeś nie widział go, gdy rzu-

cał metalowymi kółkami, lub gdy walczył ze mną... Do siłaczy należę, a jednak powalił mnie na ziemię... A jak pięknie mówił, to doprawdy słuchaczowi dusza w piersiach rosła.

— Znam drugiego podobnego Greka — odparł Daryusz—Spartanina Thanesa.

— Strzeżcie się Greków, przyjaciele — wtrącił Orocetas—są podobno równie przewrotni, jak kłamliwi; równie piękni, jak mądrzy.

— Nawet Krezus uważa Thanesa za prawego i zacnego człowieka—rzekł Daryusz.

Tymczasem Zefirus podszedł do okna i zawołał:

— Gwiazdy już wysoko, Bartya potrzebuje spoczynku, opowiedz Daryuszu, co słychać w ojczyznie naszej i rozejdziemy się.

— Śmierć Nitetis wywołała ogólne współczucie w Babilonie—począł opowiadać Daryusz—imię Rogesa każdy z przekleństwem wymawia i gdyby się pojawił, rozszarpanoby go napewno. Kambyzes, dowiedziawszy się o istotnem pochodzeniu Nitetis, zmienił się nie do poznania, zwołał nas na naradę wojenną, zmienił żałobne szaty i marzy tylko o wyprawie do Egiptu. Thanes ostatecznie go przekonał, że zwycięztwo jest pewne. Bo też jak on przemawiał tego wieczoru... zdawało się, że bogowie słowa swoje włożyli w jego usta. Mowa jego płynęła mu jak miód, wycisnęła łzy ze wszystkich oczu, okrzyki radości i wybuchy szału ze wszystkich piersi... Nie

potrafię powtórzyć, co mówił, wiem tylko, że nas oczarował, zachwycił, przekonał.

Zefirus i Giges rzucili się Daryuszowi na szyję, Bartya dłoń ku niemu wyciągnął.

— Dziękujemy ci za dobrą wieść—rzekli.

Orocetas czegoś się zasępił, tymczasem Daryusz, gdy przyjaciele wypuścili go ze swych objęć, ciągnął dalej:

— W miesiącu marcu wojska nasze muszą stanąć ka granicy Egiptu, gdyż w lipcu Nil opuszcza swoje łożysko i mógłby przeszkodzić pochodowi. Thanes jest w tej chwili w drodze do Arabii, ma wejść w przymierze z tą krainą. Synowie pustyni mają nas podczas przejścia przez pustynię zaopatrywać w wodę i przewodników. Thanes chce także pozyskać dla nas Cypr, który zdobył niegdyś dla Amazysa. Królowie tej wyspy jedynie za jego protekcyą utrzymali się na swem stanowisku. Niewątpliwie spełnią przeto jego życzenia. Sprytny ten Spartanin wszędzie i z każdym dać sobie radę potrafi, a posiada także rzeczy, o jakich się nam nie śniło. Pokazywał nam naprzykład obraz wszystkich krajów, wyryty na miedzianej tablicy.

— Mam i ja podobną kartę ziemi — odezwał się Orocetas — podarował mi ją niejaki Hekateus.

— Czego ci Grecy nie wymyślą! — wykrzyknął Zefirus — nie mogę sobie wyobrazić, jak można narysować ziemię.

— Jutro pokażę ci tablicę, nie przerywajmy opowiadania Daryuszowi, niech kończy — rzekł Orocetas—Bartya jest zmęczonym.

— Thanes pojechał do Arabii — zaczął znowu Daryusz—a Preksaspes i ja udaliśmy się do ciebie, Orocetasie. Masz sprowadzić wojska i czekać wezwania królewskiego. Prócz tego mam wciągnąć Polikratesa do naszego związku. Thanes zaręcza, że poselstwo się uda; zjednoczone fenickie, jońskie i syryjskie statki wystarczą same, aby zniszczyć flotę egipską, gdyby zaś Polikrates chciał nam przeszkadzać, nie dalibyśmy sobie rady, na morzu Egipskiem rządzi on samowładnie.

Orecetas zmarszczył czoło.

— Nie podoba mi się ten stosunek ze zbrodniarzem—odparł posępnie.

— Musimy szukać potężnych sprzymierzeńców, wskaż mi silniejszego — rzekł Daryusz — gdy z jego pomocą podbijemy Egipt, wówczas nałożymy mu pęta, aby więcej bezprawi nie popełniał. Tymczasem musisz zapomnieć o osobistej niechęci, a myśleć tylko o tem, aby udała się wyprawa Kambyzesa... Pamiętaj przytem, że mówię w imieniu króla. Oto pierścień jego na dowód prawdy słów moich.

To powiedziawszy, pokazał satrapie kosztowny sygnet.

Orocetas rzucił ponure spojrzenie.

— Czegóż żąda król ode mnie?—zapytał.

— Rozkazuje, abyś w imieniu Kambyzesa zawarł z Polikratesem przymierze — odparł wolno i dobitnie Daryusz — abyś jak najprędzej ściągnął swe wojska.

Satrapa skłonił się i w milczeniu opuścił komnatę.

— Biedny człowiek!—zawołał Zefirus, gdy kroki Orocetasa przebrzmiały—dla niego jest to straszne upokorzenie zawierać przyjaźń z człowiekiem, który tak wyniośle z nim postępował.

— Tutejszy satrapa nie podoba mi się — rzekł Daryusz — w ten sposób nie przyjmuje się rozporządzeń królewskich... Widziałem, jak przygryzł wargi do krwi na widok pierścienia swego władcy.

— W tym człowieku żyje duch buntu — dodał Preksaspes — odszedł tak nagle, bo nie potrafił zapanować dłużej nad gniewem.

— Proszę cię bardzo, nie powtarzaj słów, któreś wyrzekł przed chwilą — rzekł Bartya, zwróciwszy na Preksaspesa spojrzenie. — Orocetosowi winienem wiele.

— W każdym razie trzeba go mieć na oku — rzekł Daryusz — szczególniej tutaj, tak daleko od stolicy, powinniśmy mieć namiestników pewnych. Od pierwszego spojrzenia uczułem niechęć do tego człowieka, a przeczucia rzadko kiedy mnie zawodzą.

— Nas przeciwnie, od pierwszej chwili ujął sobie — odezwał się Zefirus. — Cóż więcej nam powiesz, Daryuszu? Co porabia Kasandona? O Atosie

nie wspomniałeś słówka, a wszakże to twoja narzeczona...

Piękne oczy Daryusza powlokły się przy ostatnich słowach Zefirusa wyraźnym smutkiem, jednakże uśmiechnął się.

— Kasandona?—powtórzył—mam dla ciebie Bartyo wesołą nowinę: twoja matka wzrok odzyskała. Uzdrowił ją Nebeuchazi, Egipcyanin, który jest naszym sprzymierzeńcem.

— Nebeuchazi! — wykrzyknęli z podziwieniem jednocześnie Bartya i Zefirus — naszym sprzymierzeńcem? Ależ to zawzięty Egipcyanin!...

I zaczęli zasypywać Daryusza pytaniami, w jaki sposób Nebeuchazi uleczył Kasandonę, co wpłynęło na zmianę jego uczuć.

— Uspokójcie się i dajcie mi mówić, bo ranek się zrobi, a Bartya oka nie zmruży—rzekł Daryusz.— Otóż Kambyzes marzy o wyprawie do Egiptu, lecz widocznie lęka się oddalić z państwa na tak długo. Chwilami ogarnia go z tego powodu wielki niepokój. Odkąd Thanes wyjechał, niepokój ten wzrósł, zbudziły się w jego sercu niepokoje, spochmurniał, stał się podejrzliwym, całemi godzinami przechadza się samotnie i imię Nitetis wymawia głośno. Mnie nie lubił widocznie, kilka razy wspomniał o śnie, jaki miał niegdyś Cyrus, i patrzał wówczas przenikliwie w moje oczy. Pije wina nad miarę, wieczorami bywa często nieprzytomny, rano budzi się z bólem głowy i kurczami... Pewnej nocy śniło mu się, że stał na nieurodzajnej

równinie, a oko jego napróżno błądziło, aby znaleźć krzew jaki, lub źdźbło trawy. W tem ujrzał Atosę. Nie spostrzegłszy go, biegła wprost ku źródełku, które wytrysnęło naraz z pod ziemi. Król patrzał zdumiony i spostrzegł, że gdziekolwiek stąpnęła nóżka jego siostry, wyrastał krzak cyprysu, który rozrastał się w kilku minutach w drzewo, sięgające wierzchołkiem do nieba. Chciał przemówić do Atosy, lecz ocknął się nagle. Sen ten podniecił jego niepokoje. Przywołał chaldejczyków i magów, ci długo naradzali się i nareszcie wytłómaczyli sen w ten sposób, że Atosa będzie przez całe życie bardzo szczęśliwą.

Kambyzes zdawał się być zadowolony z tego tłómaczenia, ale następnej nocy sen się powtórzył. Wówczas przywołał powtórnie mędrców i zagroził im karami, jeśli innego objaśnienia nie dadzą. Namyślali się długo, wreszcie powiedzieli, że Atosa zostanie matką wielu książąt. Sen już się potem nie powtórzył. Teraz wiecie już wszystko... Gdy przybył goniec z wiadomością o twojej chorobie, prosiłem króla, aby mi pozwolił jechać do ciebie i towarzyszyć ci do Egiptu. Zgodził się na to chętnie. Kiedyż chcesz ruszyć, Bartyo, w dalszą podróż?

— Chociażby dziś jeszcze—odparł królewicz— lekarze twierdzą, że przeprawa morska dobrze zrobi. Wszakże do Smyrny nie tak daleko.

— Więc wyjdziemy za trzy dni — rzekł Zefirus — wcześniej nie można, gdyż mamy jeszcze mnóstwo interesów do załatwienia. Musimy pomyśleć

o przebraniu się w obecnych okolicznościach. Egipt jest dla nas obecnie krajem nieprzyjacielskim, gdyby poznano Bartyę...

— Najlepiej przebierzmy się za kupców — doradził Daryusz — Bartya przybędzie do Egiptu, jako handlarz dywanów z Babilonu, a ja jako brat jego i wspólnik. Ty, Zefirusie, będziesz udawał handlarza farb z Sardes.

— Czy nie moglibyśmy przebrać się za żołnierzy? — zapytał Zefirus — co prawda, przybrać strój szachraja, jakimi są po większej części perscy handlarze, rzecz nieprzyjemna! Moglibyśmy podać się naprzykład za lidyjskich żołnierzy, którzy zbiegli przed karą i szukają służby w Egipcie.

— Wcale nie zły projekt — rzekł Bartya — powierzchowność nasza o wiele lepiej nadaje się do tego przebrania. Orocetas dostarczy nam z łatwością mundurów lidyjskich pułkowników.

— Czy nie lepiej byłoby tysiączników? — spytał Giges — zamłodzi jesteśmy na pułkowników.

— Zgoda!—zawołał Zefirus—bylebyście nie kazali mi być handlarzem.

— A więc za trzy dni ruszamy w drogę — rzekł Daryusz—wyśpij się dobrze, Bartyo, abyś jutro mógł już dzielnie trzymać się na nogach.

Rzekłszy to, uścisnął dłoń przyjaciela i wyszedł.

XIII.

Palące słońce weszło nad Neukratis. Nil wystąpił właśnie z łożyska, ujście rzeki zaroiło się statkami i barkami. Egipskie okręty z fenicką załogą wiozły tkaniny z Malty i drogie kamienie z Sardynii, miedź z Cypru. Skrzynie, naładowane towarami z różnych stron świata, zaległy port.

Z nadbrzeżnych oberży dolatywały wesołe śmiechy i żarty; między czarnymi i białymi niewolnikami uwijała się służba okrętowa, kapitanowie wydawali podwładnym rozkazy, urzędnicy bezpieczeństwa głośno przestrzegali porządku, hałas i wrzawa panowały w przystani.

Powoli port zaczął się opróżniać, gdyż nadchodziła godzina targu w mieście. Właśnie przybił nowy okręt do brzegu, o zręcznie wydłużonych kształtach, z wizerunkiem bogini Hery. Niejeden ze śpieszących na targ przystanął, ciekawy, kto przyjechał do Egiptu. Z okrętu wysiadło trzech młodych lidyjskich wo-

jaków i kilku niewolników z pakami na plecach. Zwrócili oni ogólną na siebie uwagę. Najpiękniejszy z nich, w którym czytelnik łatwo królewicza Bartyi się domyśli, prosił stróża porządku publicznego o wskazanie mieszkania Teopompusa, kupca z Miletu. Urzędnik uprzejmie skinął głową i poprowadził pytającego i jego towarzysza do pokaźnego domu. Nie łatwo wszakże przedostali się tam przez targowisko. Zatrzymywali ich co chwila handlarze, częstując swoimi towarami, rybacy, rzeźnicy, piekarze, garncarze.

Wreszcie stanęli przed domem Teopompusa. Na dźwięk metalowego dzwonka ukazał się niewolnik i oznajmił, że pana niema w domu, lecz że niebawem powróci, gdyż poszedł tylko na targ.

Rzekłszy to, poprowadził gości do sali przyjęć, zachęcając, aby spoczęli.

Bartya i towarzysze jego nie zdążyli jeszcze przypatrzyć się nader wytwornemu urządzeniu sali, gdy zjawił się gospodarz i powitał ich z uprzedzającą grzecznością, pytając się, czego sobie życzą.

Bartya, obejrzawszy się, czy nikogo niema więcej w sali prócz nich trzech i gospodarza, podał mu polecający list Thanesa.

Przeczytawszy to pismo, Teopompus złożył głęboki ukłon królewiczowi.

— Na Zeusa! większe szczęście nad to, które mi sprawia twoja obecność, panie, nie mogło spotkać mego ubogiego domu—rzekł, głowę pochyliwszy—proszę uważaj wszystko, co mam, za swoją własność.

Wybacz, że w lidyjskich szatach nie poznałem cię odrazu, zdaje mi się, że nosisz teraz krótsze loki a dłuższą brodę... Lecz może nie chcesz, aby cię poznano?

— Przed tobą nie ukrywam się, lecz dla innych Lidyjczykiem chcę pozostać – odparł Bartya.

Teopompus skłonił się powtórnie.

— I twoich przyjaciół poznałem — ciągnął dalej przerwaną mowę — od ostatniej bytności w Egipcie zmienili się wprawdzie, ale ja mam bystre oko. Ty naprzykład, Daryuszu, ufarbowałeś złote swoje włosy na kolor czarny. Nie lękaj się wszakże, królewiczu, aby inni cię poznali: krótkie włosy i namalowane brwi zmieniły cię do niepoznania.

W tej chwili służący zameldował urzędnika, który przyszedł zapytać o nazwiska, pochodzenie i cel przybycia podróżnych.

Widział dobrze, dotąd podążyli prosto z okrętu.

Teopompus świadczył, że są zbiegłymi z wojska lidyskiego tysiącznikami i że pragną wstąpić do służby egipskiej.

Wówczas pisarz zwrócił się do cudzoziemców i dał każdemu paszport na swobodne przemieszkiwanie w Egipcie.

Paszport Bartyi brzmiał jak następuje:

„Swerdys, syn Sandona z Sardes, lat 22, zwrost wysoki, budowa szczupła, rysy regularne, nos prosty, czoło wysokie, na środku czoła mała blizna. Ponieważ poświadczam jego tożsamość niniejszym paszpor-

tem, pozwala się mu przebywać w Egipcie. Podpisano w imieniu króla: Saobos, pisarz.“

Rzecz prosta, że Bartya podyktował swoje imię lata i pochodzenie, resztę zaś dopełnił pisarz.

Przygotowawszy takie karty dla wszystkich trzech i rozdawszy je, urzędnik oddalił się.

— No, moi szanowni goście —rzekł Teopompus, zatarłszy dłonie na znak zadowolenia—teraz bezpieczni jesteście, lecz strzeżcie paszportów waszych, jak oka w głowie, miejcie je zawsze przy sobie.

Tego samego dnia Bartya pospieszył do domu Rhodofis.—Babka i wnuczka powitały go z nietajoną radością.

— Czy wspominałyście mnie chociaż czasami? — zapytał królewicz, gdy Greczynka wprowadziła go do sali gościnnej.

— Nie było dnia, ażebyśmy nie mówiły o tobie—odparła Rhodofis.

— A spodziewałyście się, że tak prędko powrócę?—badał dalej.

Safo się uśmiechnęła.

— Co do mnie, byłam tego pewną, bo ciągle wróżby mówiły mi o tem—odparła.—Któregoś ranka wychodzę do ogrodu, aż tu leci ptak od wschodu ku naszemu domowi. Melita powiedziała zaraz: „To posłaniec Bartyi, spieszy ci oznajmić, że królewicz dąży za nim do Neukratis“. Wczoraj przeglądałam różne drobne pamiątki i znalazłam ten laurowy wieniec, który pamiętasz, Bartyo, uwiłam niegdyś dla ciebie.

Liście jego zachowały do dziś barwę zieloną; pokazałam go starej piastunce, a ona rzekła: „Dobra wróżba, królewicz lada dzień się zjawi.“

— A czy ci smutno było po moim wyjeździe?

— Tak—odparła dziewczynka—siadywałam często zamyślona i bezczynna przed kominkiem i myślałam o tobie. Dnia jednego zbliżyła się do mnie babunia i rzekła:—„Słuchaj dziecko, kto marzy we dnie, temu grozi noc bezsenna, ten rano wstaje z ciężką głową. Dzień nam dany na to, abyśmy ciągle czuwali, mieli otwarte oczy i baczyli, aby wyciągnąć korzyść z każdej minuty... Mędrzec cieszy się teraźniejszością i stara się wszystkie dary, jakimi bogowie obdarzyli śmiertelnych, wzmacniać w sobie, doskonalić się, aby z czasem wszystkie razem zlały się tak harmonijnie i dźwięcznie, jak dźwięk pięknej muzyki. Nie możemy okazać większej miłości tym, których kochamy, jak starając się uszlachetniać nasze serce i umysł, jak doskonaląc w nas dary Boże. Piękno i dobro, które zdobędziesz przez pracę, staną się twoją własnością. Nikt jeszcze nic nie zyskał i nie zdobył marzeniem i bezczynnością.“ Słowa te trafiły mi do przekonania, ucałowałem jej ręce i opuściłem kominek. Odtąd nie spędzałam godzin na marzeniach i tęsknocie, lecz uczyłam się, pracowałam.

— O, tak, cnota i rozum więcej warte niż korona—odparł Bartya—powiedz mi teraz o przykrościach, jakich doznałyście podczas mej nieobecności od Psametyka. Wiem coś o tem, ale niedokładnie.

Jasne spojrzenie dziewczynki powlokło się wyrazem smutku.

— Okrutny, niegodziwy Psametyk!—rzekła głosem wzruszonym — ja i babunia wiele wycierpiałyśmy z jego przyczyny... Bawiły u nas po twoim wyjeździe dzieci Thanesa: chłopiec piękny, jak Eros, i dziewczynka różowa, jak obłoczek jutrzenką opromieniony. Babunia odmłodniała przy nich i poweselała, ja zaś serdecznie te dzieci pokochałam.

Pewnego dnia, gdyśmy w komnacie siedziały razem z dziećmi, dobiegł nas od ogrodu jakiś hałas głuchy. Babunia wysłała służbę, aby się dowiedziała, co to znaczy. Poszedł stary Knabian z kilku niewolnikami, lecz zanim dotarli do furty, wpadł do ogrodu zbrojny oddział i wkrótce otoczył nasz dom.

Babka pokazała im list Amazysa, którym król uznał nasz dom za nietykalny, lecz oni roześmieli się szydersko i wzamian pokazali babce rozkaz, opatrzony pieczęcią Psametyka, aby oddała im natychmiast dzieci Thanesa. Gdy chciałyśmy dzieci ukryć, odepchnęli mnie i babcię brutalnie, porwali je na ręce i unieśli ze sobą, mimo próśb i błagań naszych.

Wzruszenie przerwało mowę Safo, z pięknych jej oczu potoczyły się łzy.

Rhodofis dokończyła za nią tę smutną powieść.

— Po paru tygodniach doszła nas wieść, że chłopczyk nie żyje — opowiadała dalej — podobno Psametyk kazał go zamordować. Dziewczynka w ciemnem, wilgotnem więzieniu płacze za ojcem i za nami. Ach,

czemuż do każdej chwili szczęścia musi się przymieszać kropla goryczy!..

— Współczuję z tobą nad dziećmi Thanesa—odparł posępnie Bartya — lecz co ciebie do łez pobudza, mnie żądzą zemsty napawa... Bądź pewną, iż nadejdzie niebawem godzina sądu dla mordercy... Zanim Nil poraz wtóry wyleje, wkroczy tu wojsko potężne, a wtedy biada zbrodniarzom!..

Safo słuchała strwożona tych słów.

Po chwili zapytała:

— Czy Kambyzes już wypowiedział wojnę Amazysowi?

— Nie jeszcze — odrzekł Bartya — ale zbiera już wojska. Pojedyńcze oddziały formują się bez ustanku i nad Eufratem łączą się z naszą wielką armią.

Safo zamknęła oczy.

— Wiesz, jakoś słabnie moja odwaga — ujrzałam w tej chwili morze krwi i morze płomieni... Wojna—to okropna klęska? Ileż matek pozbawia ona sysynów, ileż dzieci ojców, a kobiet mężów!

— Ale za to ilu mężów czoła ozdabia wieńcem bohaterów!—odparł z zapałem Bartya.—Niewiasty perskie cieszą się, gdy ich mężowie idą na wojnę.

Safo popniosła główkę i śmiało znów spojrzała.

— Więc idź na wojnę, tarczą twoją będzie modlitwa moja—rzekła głosem wzruszonym — zresztą walka za dobrą sprawę musi przynieść zwycięstwo.

— Pobijemy faraona i uwolnimy córkę Thanesa—odparł z przekonaniem Bartya.

— I dzielnego Arystomachusa—dodała Safo.

Przybycie Zefirusa i Daryusza przerwało im na chwilę rozmowę, lecz gdy przyjaciele zamienili słowa powitania z Rhodofis i Safo, Bartya zapytał o Ateńczyka.

— Po zamordowaniu syna Thanesa Arystomachus przepadł bez wieści —odrzekła Rhodofis—mówią w Egipcie, że miał zamiar ujść do Persyi, aby pomścić Thanesa, lecz straż Psametyka pochwyciła zbiega. Podobno następca tronu do lochu kazał go wtrącić.

— Biedny człowiek, niewinnie został wygnany z ojczyzny, a teraz niewinnie cierpi — odezwał się Zefirus.

— Tego samego dnia, w którym zniknął z Sais— zabrała znowu głos poważnie Rhodofis — przybyło do tego miasta poselstwo z Grecyi, aby w nagrodę za chwałę, którą na igrzyskach olimpijskich zdobył zabrać do Grecyi.

Przysłano po niego okręt, uwieńczony wawrzynem, a na czele poselstwa znajdował się ojciec jego.

Bartya zmarszczył czoło.

— Na Ormuzda! i tego dzielnego męża pomścić musimy!—rzekł z siłą.

Szybko upłynął wieczór zebranym w sali gościnnej, wreszcie goście pożegnać się musieli.

— Bądźcie zdrowi, przyszli bohaterowie!—wesoło zawołała Safo za odchodzącymi, nie myśląc w tej

chwili o tem, ile pięknych głów niewieścich wojna okrywa wdowim welonem.

— Gotuj dla naś wieńce z wawrzynu!—odparł jej Bartya.

Gdy na drugi dzień młodzieńcy zebrali się w ogrodzie Teopompusa, Zefirus rzekł:

— Drugiej podobnej dziewczyny jak Safo niema z pewnością na świecie. Ormuzd względem niej był rozrzutnikiem. Dobra, piękna i rozumna, wszystkie dary otrzymała.

— A co najważniejsza, pracowita i odważna — dodał Bartya z uśmiechem zadowolenia—w czasie mojej nieobecności uczyła się pieśni i naszej mowy, opiekowała się też dziećmi Thanesa; gdym wspomniał jej o wojnie, na chwilę tylko zbladła, potem mówiła już o niej, jak rycerz.

— Kiedy dzień wesela naznaczysz, królewiczu?

— Niebawem o tem się dowiecie—odparł Bartya.

— Dom Rhodofis stroją już wieńcami weselnymi — rzekł Teopompus — widziałem to sam, domyśliłem się przeto, że twój ślub wkrótce nastąpi.

— Więc zwyczaj tutejszy nakazuje stroić wieńcami mieszkania panny młodej?—zapytał Zefirus.

— Gdy zobaczycie gdzie wieńce na drzwiach, możecie być pewni, że jest za nimi panna młoda—odparł Teopompus. Ale zbliża się godzina targu, muszę was pożegnać, mili goście, wzywają mnie ważne sprawy na miasto—rzekł raptem.

— Pójdę z tobą—oświadczył Zefirus.

— I owszem, lecz włóż strój żołnierza lidyjskiego—radził Teopompus — trzeba się mieć na baczności, gdyż wieść o przyszłej wojnie perskiej musiała się już rozejść po mieście.

Po paru godzinach powrócili obaj, lecz gospodarz domu, zwykle wesoły i pogodny, wyglądał, jakby przygniotła go ciężka troska.

— Na mieście panuje wielki ruch — rzekł smutnie—Amazys zachorował podobno niebezpiecznie, lekarze już go odstąpili. Śmierć króla, to największy cios, jaki może spotkać tutejszych Greków. Amazys był nam życzliwym, tymczasem Psametyk, gdyby tylko mógł, wypędziłby nas wszystkich. Jeśli faraon umrze, całe Neukratis wylegnie z radością na spotkanie wojsk Kambyzesa, gdyż wiedzą, że Persowie szanują obcych.

— Postaram się, aby mój brat zostawił wam dawne przywileje i nowe dołączył—rzekł Bartya.

— Oby tylko jak najprędzej przybył!—westchnął Teopompus — Psametyk każe z pewnością zrównać z ziemią nasze świątynie.

— A szkodaby ich było!—rzekł Daryusz—są piękne, wspaniałe.

— Lecz patrzcie... Oto nadchodzą jeńcy z wieńcami zakupionymi przez Zefirusa dla pięknej Safo — rzekł Teopompus.

— Nawet dzisiejsze złe wiadomości nie zdołały mu popsuć dobrego humoru—dodał Daryusz.

— Naturalnie— odparł wesoło Zefirus — nie pojmuję, co was tak niepokoi wiadomość o chorobie króla;

co do mnie, widzę w tej wieści dobrą dla siebie wróżbę: ogólna uwaga będzie teraz z pewnością tak Amazysem zajęta, że my swobodnie możemy kręcić się po mieście. Kiedy wybierasz się do Rhodofis?—zwrócił się naraz do Bartyi.

— Gdy się ściemni—odparł królewicz.

— Wieńce są dla Safo, bukiety z kwiatów dla Rhodofis, będziesz tak dobrym powtórzyć jej te słowa... Nie przypuszczałem, aby Rodofis posiadała tyle dobroci i rozumu. Słowa jej brzmią jak muzyka.

— Czy i ty, Daryuszu, nie będziesz mi towarzyszył?—zapytał Bartya przyjaciela.

— Byłoby mi żal stracić rozmowę z Rhodofis — odparł Daryusz.

Teopompus oświadczył, że wybierze się także, poszli więc we trzech i do późna w nocy u Greczynki zabawili. Spotkali tam Sylotona, brata Polikratesa, który niejednej ciekawej wiadomości im udzielił. Bogacz niesłychany, Syloton, wygnany z Samos przez tyrana, pędził w Neukratis żywot zbytkowny, słynął z rozrzutności i gościnności. Rhodofis zaliczała go do grona swoich przyjaciół i wtajemniczyła w projekt małżeństwa swojej wnuczki. Przy uczcie goście i Rhodofis uradzili, że wesele odbędzie się za cztery dni, w domu Teopompusa, tymczasowego opiekuna pana młodego. Syloton obiecał wyszukać śpiewaków weselnych i zająć się urządzeniem całej ceremonii.

Bartya złożył narzeczonej kosztowne podarki

ślubne, a przypadającego jej po rodzicach wiana zrzekł się na korzyść Rhodofis.

Dniało już, gdy goście opuścili dom Rhodofis. Wyszli wszyscy razem. Gdy przybyli na ulicę, na której stał dom Teopompusa, Syloton chciał ich pożegnać. Naraz z sąsiedniej ulicy dał się słyszeć głośny hałas, i po niejakiej chwili ukazał się oddział straży egipskiej, prowadzący do więzienia jakiegoś człowieka, który miotał na żołnierzy przekleństwa, wyrwać im się usiłując.

— Ależ to Zefirus, poznaję jego głos! — wykrzyknął Bartya.

— I mnie się zdaje, że to on!—dodał Daryusz.

Syloton i Teopompus pospieszyli naprzeciw straży. Niestety, przekonali się, że towarzysze ich nie mylili się.

— Za co uwięziliście tego młodzieńca?—zapytał Syloton.

— Zabił Egipcyanina — odparł z oburzeniem urzędnik.

Syloton pochylił się ku niemu i szepnął mu w ucho obietnicę, że jeśli pozwoli aresztowanemu uciec, on go nagrodzi za to hojnie, lecz dowódca straży odepchnął stanowczo zyskowną propozycyę, mówiąc, że oszczędzając życie awanturnika, własneby naraził.

Podczas gdy Syloton rozmawiał z urzędnikiem, Bartyi i Daryuszowi udało się zbliżyć do Zefirusa i zapytać go, za co aresztowanym został. Głosem jeszcze od gniewu wzruszonym, młody człowiek opowiedział

im, że został zaczepionym przez jakiegoś przechodnia. Od sprzeczki przyszło do bójki, w której Pers ciężko zranił Egipcyanina. W tej samej chwili na nieszczęście nadjechał oddział straży, która zatrzymała go. Zefirus chciał mieczem utorować sobie drogę i ranił śmiertelnie jednego z żołnierzy. Wówczas na ulicy powstał straszny zgiełk, który zwabił drugi oddział zbrojny. Przybyli zarzucili Zefirusowi pętlę na szyję, ręce mu związali i uprowadzili ze sobą.

— Pójdę do Psametyka, powiem, kim jestem, a może każe mi cię wydać—rzekł Bartya.

— Jeśli to uczynisz, przebiję się własnym mieczem — odparł Zefirus — nie chcę, abyś przeze mnie wpadł w pazury tych psów. Już w całem mieście mówią o wojnie z Persami. Gdy powiesz Psametykowi, kim jesteś, przekonany będzie, żeś przybył jako szpieg i każe cię uwięzić. Niech Ormuzd czuwa nad wami!.. Żegnajcie nazawsze i nie troszczcie się o mnie, potrafię umrzeć!

To powiedziawszy, zwrócił się do dowódcy.

— Dlaczego stoimy?—zapytał.

— Oddział żołnierzy posunął się zwolna ku więzieniu.

XIV.

Według praw egipskich Zefirus powinien był ukaranym być śmiercią. Gdy przyjaciele jego dowiedzieli się o tem, postanowili jechać natychmiast do Sais i uwolnić go podstępem. Syloton ofiarował im uprzejmie swe usługi.

Zmienieni do niepoznania przez obcięte i ufarbowane włosy, młodzieńcy nasi wsiedli razem z nowym przyjacielem do jego barki i po kilkogodzinnej przeprawie dostali się do Sais.

Wylądowawszy w ustronnem miejscu, udali się wprost do dzielnicy rzemieślniczej.

Mimo wielkiego skwaru praca wrzała usilna. Przez bramę piekarni widać było chłopców, którzy ciasto bosemi nogami mięsili, inni chleb i bułki różnych kształtów i gatunków do olbrzymiego pieca wstawiali, lub wydobywali już upieczone, wsypywali w kosze, poczem roznosili je w różne strony miasta... Rzeźnicy przed swymi domami bili woły tuczone, pomocnicy ich ostrzyli noże.

Szewcy zapraszali wesoło przechodniów do swoich kramów; tkacze, cieśle, stolarze, krawcy pilnie pracowali przy swoich warsztatach.

Nasi przyjaciele mało uwagi zwracali na cały ten ruch, podążając w milczeniu za Sylotonem.

Przy koszarach najemników helleńskich Syloton zatrzymał się i kazał zaczekać na siebie, poczem udał się do dyżurnego Greka, którego znał osobiście, i zapytał, czy nie słyszał o zbrodniarzu, niedawno przywiezionym z Neukratis.

— Naturalnie, że słyszałem—odparł Grek z ożywieniem — przed półgodziną przyprowadzono go tutaj. Znaleziono przy nim worek złota. To szpieg perski. Kambyzes zbroi się przeciw Amazysowi.

— Nie może być! — rzekł z udanem zdziwieniem Syloton.

— Z pewnością!— potwierdził dyżurny.— Karawana arabska przywiozła wczoraj tę wiadomość.—Już uwiadomiono o tem króla.

Syloton ruszył ramionami.

— Jutro okaże się to może plotką—rzekł z udaną obojętnością. — Co do więźnia, to zapewnić dziś mogę że się mylisz. Znam go osobiście, pochodzi z bogatego rodu z Sardes; uciekł stamtąd wskutek kłótni z satrapą Orocetesem, którego nienawiść stale go prześladuje. Opowiem ci szczegółowo tę historyę, gdy mnie odwiedzisz.

Twarz Greka rozjaśniła się.

— Nie dam ci długo czekać na siebie—odparł. — Lubię dobre wina, bo po nich dobry humor.

— Pewno, choć dobry humor w dzisiejszych czasach jest rzeczą niebezpieczną — rzekł Syloton. Z powodu dobrego humoru biedny Lidyjczyk siedzi pod kluczem. Wracał podchmielony do domu, co się pewnie komuś nie spodobało, zaczepiono go, przyszło do sprzeczki... Młody, zwyczajnie gorączka, uniósł się i powalił na ziemię przeciwnika...

— Tak, i za to już nigdy nie powstanie!—mruknął Grek.

Syloton westchnął.

—Miecz miał przy sobie, to go zgubiło! —mówił dalej—ta historya źle się skończy.

— Cudzoziemiec, zabójca Egipcyanina, może być pewnym śmierci. Kapłani są obecnie wielce zajęci chorym faraonem, nie prędko zbiorą sąd.

— Wiele dałbym za to, aby pomódz biedakowi—mówił Syloton— znam jego ojca, a przytem właściwie zbrodniarzem on nie jest.

Czy nie wiesz, w jakim więzieniu siedzi ten nieszczęśliwy chłopiec?

— Wielkie więzienie obecnie zajęte, więc zamknięto go w spichrzu.

— Jest zręczny i odważny, czy nie potrafi umknać?

— Nigdy!.. komora, w której siedzi, jest dwupiętrowa, jedyne okno wychodzi na gaj bogini, otoczony

niedostępnym murem. U wszystkich bram stoi po dwóch strażników.

— Biedny chłopiec!—powtórzył Syloton, poczem podał na pożegnanie dłoń dyżurnemu.—Bądź zdrów, Demonesie — dodał — a pamiętaj o moim zaproszeniu!

Syloton powrócił do przyjaciół, którzy oczekiwali go niecierpliwie.

— Zdaje mi się, że potrafimy uratować Zefirusa— rzekł do nich wesoło—jest zręczny, jak kot, a silny, jak niedźwiedź... Mam pewien plan.

Młodzi przysunęli się do niego bliżej, ciekawość świeciła w ich oczach, Syloton mówił dalej:

— Kupimy drabinkę, kłębek grubego sznura, hak mocny, łuk i strzałę... Gdy się ściemni, popłyniemy pod mur świętego gaju do miejsca, gdzie straży niema. Wtedy udam krakanie sępa, po którem Zefirus pewno mnie pozna. Strzałę, z przywiązanym do niej sznurem, puszczę w jego okno; nie chybiam nigdy. Zawołam, żeby koniec sznura przymocował, do drugiego przywiążemy drabinkę. Zefirus ją wciągnie, uczepi u haka, który wraz ze strzałą dostanie, i zejdzie po drabinie do świętego gaju. Umknie jak nic razem ze mną... Wy czekać na nas będziecie ze sznurową drabiną i z barką.

— Wspaniale obmyślane! — wykrzyknął Bartya.

— Lecz nie taję, że bardzo niebezpiecznie,— dodał Syloton — jeśli nas straże złapią w świętym gaju, śmierć niechybna nas czeka. Kapłani obchodzą dziś

uroczystość, podczas której, każdemu, kto nie należy do ich kasty, wzbronionym jest wstęp do świętego gaju. Co prawda, na uroczystość zbierają się nad jeziorem, będą więc daleko od więzienia, na to też liczę.

— A więc bierzmy się do dzieła!—wykrzyknął Daryusz— ja z ochotą cały twój plan wykonam—i właściwiej byłoby, ażebym ja się naraził dla Zefirusa.

— Musimy coprędzej jechać do Teopompusa— rzekł Syloton, nie odpowiadając na zdanie Daryusza— poprosimy go, aby nam wynajął dobry statek. Wieść o zamiarach Kambyzesa szeroko już rozeszła się po Egipcie. Mają Zefirusa za szpiega, z pewnością ścigać będą natarczywie jego zbawców. Byłoby prostem zuchwalstwem narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Ty, Bartyo, musisz dziś jeszcze poślubić Safo, a jutro rano opuścicie Neukratis.

Jutro zobaczymy się znowu... do widzenia, Bartyo!

Bartya wahał się, nie chcąc opuścić przyjaciół w tak niebezpiecznej chwili, uległ jednak w końcu ich namowom i skierował się ku Nilowi, aby nająć barkę i podążyć z powrotem do Neukratis.

Chcąc dojść do przystani, trzeba było przechodzić obok świątyni Neity. A nie łatwe to było zadanie, gdyż plac zajmowały tłumy ludzi wpatrzonych w drzwi świątyni z natężoną uwagą. Królewicz przeciskał się zwolna, lecz tuż przy alei sfinksów został zatrzymany przez służbę, pilnującą porządku. W tej chwili olbrzymia brama świątyni otworzyła się i Bartya, po-

pchnięty przez napływający lud, ujrzał wychodzącą uroczystą procesyę. W ścisku spadł mu kapelusz z głowy, lecz on tego nie czuł, zrozumiał za to z rozmowy dwóch najemników greckich, że to rodzina Amazysa wraca z świątyni, gdzie odprawiano modły za umierającego Faraona.

Na czele pochodu postępowali kapłani w długich, białych szatach, za nimi urzędnicy dworscy ze złotymi laskami, o srebrnych gałkach w kształcie lotosu. Dalej czterech niższych kapłanów niosło na ramionach złotą krowę, mającą przedstawiać boginię Izydę.

Gdy tłumy zdążyły pokłon oddać przed boginią, ukazała się królowa perska w stroju kapłańskim ze świętem w ręku narzędziem muzycznem, którego dźwięki miały moc odganiania złych duchów. Za królową szły żona i córki arcykapłana, również z narzędziami muzycznymi, potem czterech młodych kapłanów niosło w otwartej lektyce Fachot. Zmieniła się ona do niepoznania. Na zapadłych policzkach niezdrowe malowały się rumieńce, oczy zgasłe tonęły w łzach, przedstawiała obraz przygnębienia i smutku.

Nagle śmiertelna bladość oblała jej drobną twarzyczkę, złota lira wysunęła się z jej rąk i upadła tuż przy nogach Bartyi. Zrozumiał królewicz, że córka Faraona go poznała i myśl, aby się ukryć, przeleciała, jak błyskawica przez jego głowę, lecz wnet inna, szlachetniejsza się zrodziła: zwyciężyła rycerska odwaga, pochylił się i podniósłszy złotą lirę, podał ją z ukłonem królewnie.

Ona już odzyskała przytomność.

— Dziękuję!—szepnęła—a potem dodała — czy to ty, Bartyo?

— Ja, twój dobry przyjaciel — odparł królewicz.

Więcej powiedzieć nie mógł, bo służba usunęła go na bok, lecz Fachot, której lektykę poniesiono dalej, odwróciła się ku niemu i nie spuszczała zeń wzroku. Spostrzegł też, że ten i ów poczyna mu się przypatrywać, więc wcisnął się w tłum, aby zejść z oczu.

Wkrótce siedział w łódce, która miała go zawieźć do Neukratis.

Tymczasem chora królewna, wróciwszy do pałacu, kazała zdjąć z siebie strój uroczysty i zanieść się z krzesłem na taras, gdzie nawet w największe upały lubiła przesiadywać w cieniu altany.

Z tarasu widać było cały dziedziniec pałacowy, w tej chwili napełniony kapłanami i dworzanami, oraz dowódcami wojsk.

Na wszystkich twarzach malował się niepokój, gdyż oczekiwano lada chwila żałobnej wieści o śmierci faraona.

Teraz, gdy nie było już nadziei utrzymania przy życiu Amazysa, wszyscy, nawet kapłani, rozpływali się w pochwałach dla niego. Wynoszono jego dobroć, mądrość i niezmierną pracę.

— Komuż zawdzięczamy dzisiejszy dobrobyt Egiptu, jeśli nie Amazysowi? — mówił jeden z dowódców.

— A ileż sławy przysporzył on naszemu orężowi przez zdobycie Cypru?—dodał drugi.

— I o świątyniach nie zapominał... upiększał je, wzbogacał! —wołał śpiewak pewnej świątyni.

— Serce jego pełne jest dobroci, — mówił jakiś dworzanin.

— A jak potrafił utrzymać mądrze pokój ze wszystkiemi sąsiedniemi mocarstwami...

— Jak umiał zachowywać równowagę w wydatkach...

— Od Ramzesa skarb nie był tak zapełniony, jak obecnie.

— Psametyk obejmie ładne dziedzictwo.

— Po takim ojcu nie łatwo przyjdzie zadowolnić wszystkich.

Te i tym podobne zdania dobiegały na taras, Fachot słuchała wzruszona i łzy płynęły z jej oczu.

— Prawdą więc było to, co przeczuwała. Miała wkrótce utracić ukochanego ojca. Wzięła w ręce lutnię, i trącając w struny, wywołała cichą muzykę, która ukoiła jej wzruszenie bolesne.

Suchy kaszel, który wstrząsnął nią, zbudził ją. Zlękła się i podniósłszy głowę, obejrzała się w koło, aby zobaczyć, czy czuwa kto nad nią.

Tuż, w pobliżu, siedziała królowa matka i uśmiechała się do niej.

— Słodko śniłam przed chwilą, mamo — rzekła Fachot.

— Więc mojej córeczce przejażdżka do świątyni dobrze zrobiła?—zapytała królowa.

— I jak jeszcze!.. A wiesz, mamo, kogo widziałam?—Bartyę, mówiliśmy nawet ze sobą.

Matka spojrzała na nią pełnym niepokoju wzrokiem.

Fachot rozśmiała się.

— Zdaje ci się, mamo, że majaczę — rzekła — bądź spokojną, czuję się zdrowszą. Widziałam naprawdę Bartyę, pewno nas odwiedzi, powie co Nitetis porabia, a może od królowej Persyi przywiezie dla mnie zaproszenie, abym ją odwiedziła. Wszakże nie zabronisz mi jechać do mej ukochanej siostruni?

Moja droga Nitetis! śniłam o niej przed chwilą, że siedzi przy mnie i gra na cytrze, a taka była śliczna... O, ja muszę ją odwiedzić, muszę!

Matka usiłowała się uśmiechnąć, choć serce jej rwało się z bólu.

— Pojedziemy razem, córeczko!—rzekła.

Fachot chciała pochylić się ku niej z pieszczotą, gdy nowy napad kaszlu nią wstrząsnął. Stała się teraz bladą śmiertelnie.

— Matko, ja umieram! — zdławionym wyrzekła głosem.

Królowa uklękła przy niej i na stygnącem jej czole złożyła ostatni pocałunek.

Oczy dziewczęcia zamknęły się na zawsze.

W godzinę później nieszczęśliwa królowa stała przy śmiertelnem łożu męża swojego. Amazys dogorywał, Psametyk stał tuż przy ojcu z oczyma w ziemię spuszczonemi. Król gasnącem okiem to na syna, to na żonę spoglądał, nareszcie rzekł:

— Czemu Fachot nie przyszła?

— Słabsza jest dzisiaj, niż zwykle—odparła królowa.

— Powiedz raczej: nie żyje — drżącym głosem wyrzekł Amazys.

Królowa spojrzała na niego z rozpaczą.

— Tak, Fachot poszła do Izydy.

— Fachot... Nitetis... nie żyją... — zgnębionym głosem mówił Amazys — ciężko odpokutowałem za swoje grzechy.

Tu umilkł na chwilę, poczem podniósł wzrok na syna.

— Pamiętaj, Psametyku, że każda krzywda wyrządzona przez ciebie, która przyniesie ci drachmę zadowolenia, przymnoży ci cały talent cierpień w skonania godzinie. Widzę teraz, jak z powodu Nitetis straszne nieszczęścia spadną na Egipt. Wiadomość, przywieziona przez arabskich kupców, jest prawdziwa. Kambyzes zbroi się przeciw nam... Wieleż dzieł, stworzonych prze mnie z trudem i mozołem, runie i zniszczeniu ulegnie!.. O, ciężko pokutuję, a jednocześnie i nagrodę odbieram za to, co dobrego spełniłem. Przez lat czterdzieści byłem troskliwym ojcem mego ludu i wierzę, że w dziesiątem pokoleniu będą jeszcze imię moje wspominali z wdzięcznością i Ozyrys nie potępi mnie na sądzie ostatecznym, bogini sprawiedliwości

przekona go, że dobro przeze mnie spełnione więcej waży, niż złe.

Zmęczyła go długa mowa, umilkł znowu, leżał czas jakiś cichy, z oczyma zamkniętemi; oddychał tylko ciężko. Niebawem podniósł powieki i zwrócił spojrzenie pełne miłości na królową.

— Byłaś wierną i przywiązaną żoną —rzekł głosem wzruszonym — dziękuję ci, proszę o przebaczenie win. Niezawsze żyliśmy w zgodzie... Ilekroć coś złego popełnić zamierzałem, spieraliśmy się ze sobą... Gdybym był poszedł zawsze za twoją radą, nie pokutowałbym dzisiaj. Znałaś moje grzechy, cierpiałaś, ale kryłaś je przed okiem ludzkiem... dziękuję ci, królowo!

Ozyrys zbawi moją duszę, bo kochała dobro, prawdę i piękno.

Głos jego ścichł, łzy napełniły oczy.

— Koniec mój zbliża się, czuję to, — dodał niemal szeptem—żegnajcie, najmilsi!... Synu i następco, posłuchaj rad doświadczonego i ostatniej woli ojca... Bądź królem wszystkich kast, szanuj religię, czcij bogów, stój mocno przy sprawiedliwości!..

A teraz zawołaj Neithotepa, muszę wam obu razem coś jeszcze powiedzieć.

Psametyk pośpieszył spełnić życzenie ojca. Gdy kapłan wszedł do komnaty, król wyciągnął do niego rękę, mówiąc:

— Przebaczam ci, choć często spełniałeś o wiele gorliwiej obowiązki swoje jako kapłan, niż jako Egip-

cyanin. Psametyk będzie cię pewno chętniej słuchał, niż ja... Nie odprawiajcie najemnych wojsk greckich, dopóki nie będziecie pewni zupełnej porażki Persów. Bez ich pomocy nie dacie sobie rady... Starajcie się Greków przekonać, że walczą za własną wolność, a staną przy was wiernie i wytrwale. Jestem pewien, że gdy Kambyzes zajmie Egipt, sięgnie potem po Grecyą.

Usta jego zadrgały.

— Czuję się bardzo wyczerpanym —rzekł ciszej znacznie — koniec się zbliża... Siądź przy mnie, żono, a ty, Psametyku, przysięgnij mi, że macochę twoją będziesz kochał i szanował jak matkę... Przynieście wnuka mojego Nekao i siostrzyczki jego, chcę dzieci pożegnać... Lecz cóż to?—zapytał naraz—łza toczy się po mojej twarzy... Nie dziw, najtrudniej rozstawać się z drobiazgiem, do którego się przywykło.

XV.

Podczas gdy w pałacu królewskim tak smutnie płynęły godziny, Bartya dotarł do domu Rhodofis. Jego wzruszenie nie uszło uwagi babki i wnuczki, obie powitały go pytaniem:

— Co ci się stało?

Zamiast za cztery dni, ślub nasz musi odbyć się dzisiaj. Każda godzina zwłoki grozi nam niebezpieczeństwem—rzekł królewicz.—Muszę wybrać się zaraz do Teopompusa, aby mi ułatwił nasz odjazd.

— Teopompus jest u nas—rzekła Safo—przyniósł nam wiadomość o uwięzieniu Zefirusa. W tej chwili z Kalianem, który nas niespodzianie odwiedził, zabawia się rozmową.

— Pójdźmy do niego—rzekł Bartya.

I pierwszy pospieszył, a gdy powitanie zamienił z obydwoma znajomymi, opowiedział Teopompusowi o spotkaniu się z orszakiem królewskim, poczem prosił

go o wystaranie się o jaki statek do jutrzejszego odjazdu.

— Swietnie się składa! — wykrzyknął Miletyjczyk — moja własna barka, którą tutaj przypłynąłem, jest gotowa do drogi, zawiezie was, dokąd będziecie chcieli.

— Dziękuję ci, zacny przyjacielu — rzekł królewicz—teraz, matko moja — dodał— zwróciwszy się do Rhodofis—daj nam ślub.

—Staruszka skinęła na wnuczkę, położyła prawą ręką na jej złotych włosach, lewą na głowie Bartyi i rzekła uroczyście:

— Bajka mówi, że w krainie róż leży jezioro, którego wody to drzemią słodko, to burzą się gwałtownie, czasami mają smak miodu, czasami żółci. Znaczenie tej bajki poznacie wkrótce, gdy w krainie małżeńskiej pędzić będziecie to ciche, to burzliwe, to słodkie, to gorzkie chwile... Niech waszem wspólnem zadaniem będzie, aby tych ostatnich było jak najmniej. Nie wątpię, że Safo dołoży wszelkich możliwych starań w tym kierunku.

Bartyo, znam cię dobrze, powierzam ci dla tego spokojnie to, co mam najdroższego... Teraz, więc zabierz swoją żonę, należy do ciebie, choć losy nie chcą, aby ten ślub uświetnić uroczystymi hymnami. Bodajby po cichej ceremonii nastąpiło szczęśliwe pożycie.

Przy tych słowach staruszka uściskała czule Safo i złożyła lekki pocałunek na czole Bartyi, poczem zwróciła się do jednej z niewolnic.

— Athelito, przynieś z mej sypialni szkatułkę z klejnotami panny młodej — rozkazała—trzeba naszej pieszczotce dać wyprawę.

— Nie pozwolę, aby wnuczka Rhodofis opuściła babkę bez pieśni weselnych—rzekł Kalias.—Zbierzcie się niewolnice, podzielę was na dwa chóry!

A gdy dziewczęta otoczyły go wesołe, rade z tej propozycyi, on podzielił je na dwie grupy.

— Zaśpiewamy pieśń weselną wielkiej Safony — rzekł — ja sam poniosę pochodnię. Trzeba ci wiedzieć, Bartyo, że członkowie mojej rodziny mają prawo dziedziczne nosić pochodnie podczas misteryi eleuzyjskich. Zaślubiny wasze odbędą się ze wszelkiemi formalnościami, nawet wieńcow weselnych nie braknie.

Właśnie jedna z niewolnic przyniosła dar Zefirusa i zaczęła rozdawać wieńce towarzyszkom.

Uroczysty hymn zabrzmiał, Kalias z pochodnią w ręku stanął wpośród chóru i przewodził śpiewom.

Bartya, trzymając wzruszoną Safo za rękę, uśmiechał się do niej. Wtem czerwona błyskawica oświeciła komnatę i dał się słyszeć straszliwy huk pioruna.

Kalias zgasił pochodnię, niewolnice umilkły.

— Sam Zeus śpiewa młodej parze hymn weselny i zapalił na jej cześć pochodnie... —rzekł Teopompus.

Słowa te spłoszyły wyraz przestrachu, jaki na odgłos gromu ukazał się w oczach kobiet.

Burza przeleciała szybko, Bartya i Safo poszli do ogrodu podziwiać odświeżoną naturę. Niepokój o przyjaciół zakłócał królewiczowi chwile szczęścia. Ogród Rhodofis leżał na pagórku sztucznie wzniesionym. W zwierciadle Nilu przeglądały się białe i błękitne kwiaty lotosu, na brzegach widać było stada ptactwa wodnego, na konarach palm kołysały się pelikany i dzikie kaczki zrywały się do lotu. Nie brak było i łodzi, i większych statków. Wiatr pomagał im płynąć, przesuwały się hyżo po niebieskiej wód wstędze, śpiew majtków łączył się z pluskiem wioseł i świegotem ptactwa.

Bartya i Safo w milczeniu podziwiali piękny krajobraz. Wtem spostrzegł pędzony siłą wiatru duży statek, który kierował się wyraźnie ku domowi Rhodofis.

— Może to oni?—zapytał królewicz.

— I mnie się tak zdaje — odparła Safo.

Nie omylili się. W kilka minut potem Zefirus w towarzystwie swych wybawców wszedł do ogrodu Rhodofis. Plan Sylotona udał się jak najlepiej. Burza ułatwiła więźniowi ucieczkę, zmusiwszy strażników do schronienia się pod dach.

Lecz nie było czasu do stracenia. Zefirus, opowiedziawszy Bartyi w skróceniu, jak się wydobył z pułapki począł naglić do odjazdu. Nie wątpił, że gdy straż spostrzeże jego ucieczkę, natychmiast pogoń wyśle.

Poszli wszyscy razem do Rhodofis, aby jej oznajmić, że godzina rozstania z wnuczką wybiła. Safo ze łzami pożegnała babkę, lecz gdy wsparta na ramieniu Bartyi, wsiadła do barki Sylotona, uśmiech zawitał na jej różowych ustach.

W godzinę potem dopłynęli do portu i przesiedli się na „Hygeę", statek Teopompusa. Kalias, który aż tutaj nowożeńców odprowadził, złożył im serdeczne życzenia. Bartya obdarzył go złotem łańcuchem. Nie śmiejąc darem za dar oddawać królewiczowi, Grek zwrócił się do Daryusza i włożył na jego ramiona wspaniały płaszcz purpurowy. Spojrzawszy na ten strój królewski, Daryusz poczerwieniał.

— Czyżby to była wróżba? — pomyślał dumny młodzieniec — ha, kto wie, co komu przyniosą obecne pełne niepokoju chwile!..

— Pamiętaj, przyjacielu, że winienem ci wdzięczność—rzekł do Sylotona.

— Racz zwrócić i ku mnie swoje oblicze, zbawco mój!—zawołał wesoło Zefirus.

A gdy wezwany przystąpił do niego, dodał:—

—Wiedz, zacny Helenie, iż gotów jestem podzielić się z tobą ostatnią sztuką złota, że z miłości dla ciebie potrafiłbym siedzieć cały tydzień pokornie w tej przeklętej dziurze, z której mnie wybawiłeś. Bądź zdrów, niech bogowie stale ci sprzyjają!

Niewolnicy podnieśli kotwicę, młody Pers pospieszył na pokład statku, wiatr wydął żagle i ruszono

w podróż. Bartya i Safo wzrokiem zadumanym wpatrywali się w znikające Neukratis, dopóki błękitne fale morza nie zaczęły im zalewać pokładu.

* * *

W Efezie młoda para otrzymała wiadomość o śmierci Amazysa i Fachot, zasępiło to na chwilę ich twarze, ale nie nadługo; dobre wrażenia zatarły złe. Z Efezu ruszono wprost do Pasargody, gdzie Bartya przedstawił żonę swoją matce i siostrze. Kasandona i Atosa bawiły tam właśnie pod opieką Krezusa. Królowa, odzyskawszy wzrok, zapragnęła odwiedzić grób Cyrusa i otrzymała pozwolenie Kambyzesa na zamieszkanie ozas jakiś w Pasargodzie. Całe godziny spędzała we wspaniałym ogrodzie, pomnik otaczającym. Pomnik składał się z marmurowego sarkafagu, spoczywającego na sześciu wysokich stopniach. Wnętrze sarkofagu urządzone było, jak komnata, w której prócz złotej trumny stało srebrne łoże i takiż stół ze złotą zastawą. Pomnik otaczała marmurowa galerya, w pobliżu znajdował się dom dla magów, pilnujących grobu. W dali wznosił się pałac Cyrusa, w którym według ostatniej woli zmarłego następcy jego każdego roku spędzić musieli chociaż kilka tygodni.

W ciszy tego pałacu i w sąsiedztwie grobu męża Kasandona czuła się szczęśliwszą, niż gdziekolwiek indziej. Atosie było trochę smutno w tej samotni,

lecz przybycie Bartyi ożywiło ją i powoli odzyskiwać zaczęła wrodzoną sobie wesołość. Zaprzyjaźniła się bardzo prędko z młodziuchną bratową i z przykrością myślała o tem, że może niedługo rozstaną się. Daryusz i Zefirus zostali w dolinie Eufratu, przy zbierającem się tam wojsku na wyprawę egipską. Bartya miał się z nimi połączyć przed wyruszeniem wojsk w drogę. Spodziewano się tam Kambyzesa lada dzień. Król zmienił się do niepoznania przez te kilka miesięcy. Piękne jego oblicze, skutkiem nadmiernego używania trunków, nabrzmiało i poczerwieniało, ciemne oczy ponuro patrzyły, krucze włosy posiwiały, z ust jego nie schodził pogardliwy uśmiech. Na brak sprawiedliwości nikt wszakże się nie uskarżał. Nadużycia karał surowo. Gdy mu doniesiono raz, że jeden z sędziów wydał za pieniądze fałszywy wyrok, kazał ściągnąć skórę z nieszczęśliwego i obić nią krzesło sędziowskie, które odtąd miał zajmować syn okrutnie zamordowanego urzędnika. Jako widz, okazywał też król wiele energii i wytrwałości.

Nakoniec wyruszyło 800,000 liczne wojsko i po dwóch miesiącach marszu przybyło na pustynię, gdzie oczekiwały już posiłki arabskie, zjednane przez Thanesa. Pod Akko złączyły się z Persami wojska syryjskie i jońskie, oraz zwerbowane przez Thanesa statki cypryjskie i greckie. Polikrates skorzystał z prośby Kambyzesa, aby pozbyć się wszystkich mieszkańców Samos, którzy byli niezadowoleni z jego rządów. Kazał powiedzieć Kambyzesowi, że przysyła mu 40 łodzi

pełnych ludzi, lecz żąda, aby żaden do Samos nie powrócił.

Na miesiąc przed wylewem Nilu olbrzymia armia Kambyzesa stanęła u ujścia rzeki. Wskazówki Thanesa okazały się rozumne. Przeprawa przez pustynię, ułatwiona przez Arabów, odbyła się bez strat w ludziach, a dobrze obrana pora roku pozwalała wygodnie dostać się do Egiptu.

Thanes nie odstępował króla na krok, a jego towarzystwo wywierało zbawienny wpływ: Kambyzes stawał się wstrzemięźliwszym i weselszym.

Wielka armia perska rozpostarła się obozem u stóp warownej twierdzy, broniącej Egiptu od napadów wschodnich ludów. Szpiegowie perscy utrzymywali, że wojsko egipskie wynosi 600,000 ludzi, że składa je ciężka konnica i lekka, dobrze uzbrojona piechota, że największą siłę Psametyka stanowią strzelcy z olbrzymiemi łukami wysokości człowieka. Należący do znakomitych rodów Egipcyanie tworzyli jazdę na wozach wspaniałych i olbrzymich; wozami kierowali niewolnicy, panowie myśleli tylko o użyciu swych lanc i łuków.

Piechota perska nie była liczniejszą od egipskiej, lecz jazda przewyższała kilkakrotnie kawaleryę mieszkańców nadnilowej równiny.

Gdy obie armie stanęły naprzeciw siebie, Kambyzes kazał wykarczować wszystkie drzewa z obszernej

doliny i zrównać z ziemią wszystkie pagórki, aby wojsku ułatwić zadanie.

Thanes był mu tutaj bardziej jeszcze pożytecznym, bo znał dokładnie miejscowość, a rady swoje podawał w takiej formie, że plany jego strategiczne zyskały poklask nietylko Kambyzesa, lecz i starego wodza Melegotusa.

Za wielką armią Perską ciągnęły olbrzymie wozy kryte. Thanes nie chciał nikomu powiedzieć, co w nich się znajduje. Wiedziano tylko to, że czasami, nocą najczęściej, dzikie wrzaski z tych wozów się rozlegają, przypominające jęki i płacz— dziecinny. Czy Kambyzes był przypuszczony do tajemnicy, o to nikt nie śmiał zapytać.

Wodzowie codzień odbywali mustrę wojsk, przygotowując je do spotkania z nieprzyjacielem.

Pewnego dnia, gdy Thanes powracał z mustry powierzonych jego komendzie oddziałów, spostrzegł z daleka jakiegoś zbiedzonego człowieka, któremu słudzy jego bronili wstępu do namiotu. Wziąwszy go za żebraka, mijając, rzucił mu sztukę złota. Człowiek ów wszakże zamiast schylić się po bogaty datek, przystąpił do Thanesa i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Nie poznajesz mnie, Thanesie?.. Jestem Arystomachus.

Teraz dopiero poznał Spartanin zmienione oblicze przyjaciela i uścisnął go serdecznie, poczem wprowadziwszy go do swego namiotu, przebrał we własne suknie.

Arystomachus w milczeniu przyjmował usługi przyjaciela, był widocznie tak wzruszony i zmęczony, że na słowa zdobyć się nie mógł. Duży kielich wina orzeźwił go dopiero, począł wtedy opowiadać:

— Gdy Psametyk zamordował twego syna, powiedziałem mu, że opuszczę Egipt razem z powierzonem mi wojskiem greckiem, jeśli mi nie odda natychmiast twej córki. Psametyk obiecał, że spełni mą wolę, że za dwa dni przyśle mi dziecko. Wieczorem tego dnia wybrałem się na wycieczkę łódką po Nilu. Zaledwie odbiłem od brzegu, zostałem otoczony przez łodzie pełne Etyopów. Ci porwali mnie, związali i rzucili na dno jakiegoś okrętu, który dobił po długiej podróży do nieznanych mi całkiem brzegów. Tam, przy okropnym upale, poprowadzono mnie przez kamienistą pustynię na wschód, do stóp wyniosłej góry, gdzie ujrzałem kilka nędznie skleconych lepianek, a przed nimi ludzi okutych w kajdany, używających na słońcu wypoczynku. Usiadłem przy nich znużony i dowiedziałem się, że są więźniami, że pracują w miejscowych kopalniach. Byli pomiędzy nimi zbrodniarze, pospolici złodzieje i zabójcy, byli i zdrajcy stanu. Po krótkiem wypoczynku zapędzono nas wszystkich do kopalni złota, w której całe trzy miesiące pracowałem, znosząc codziennie, jak wszyscy, okrutne rozkazy dozorców, i marząc we dnie i w nocy o wybawieniu się z niewoli i zemście. Wreszcie podczas uroczystości bogini Izydy,

nieśmiertelni ulitowali się nad moją nędzą i zesłali na naszych stróży zapomnienie. Zwyczajem egipskim zasiedli oni w ten dzień uroczysty do uczty, lecz nie sprawdzili pierwej, czy wszyscy jesteśmy w chacie. Przeczuwając możliwość podobnej nieuwagi, ja z pewnym młodym Żydem wysunąłem się z chaty i w pobliżu cicho siedzieliśmy, a gdy noc zapadła, wymknęliśmy się na drogę. Wielki Zeus i Bóg jedyny mego towarzysza byli widocznie z nami, bo uszliśmy szczęśliwie przed wysłaną za nami pogonią. Za pomocą łuku zdobywałem sobie pożywienie. Gdy brakło zwierzyny, jedliśmy owoce, jaja ptasie lub korzonki roślin. Gwiazdy były nam przewodnikami w tej obcej krainie i doprowadziły nas po wielu, wielu pełnych trudu dniach do Syryi, gdzie posłyszeliśmy, że Kambyzes ciągnie z wielką armią na Egipt. Nie wiele myśląc, przyłączyliśmy się do karawany, która miała dostarczyć Persom wody. Wkrótce powiedziano mi, że pełnisz służbę u Kambyzesa, jako jeden z jego dowódców. Wiadomość ta popchnęła mnie ku tobie. Jak widzisz, nie złamałem przysięgi, z narażeniem życia stałem wiernie w Egipcie na straży praw greckich.

— Za to uczynię cię dowódcą machin oblężniczych—rzekł Thanes—powiedziesz wojsko perskie do zwycięstwa, pomożesz nam ukarać przestępców... Jutro zajaśnieje dzień sądu dla zbrodniarzy, złożę krwawą ofiarę za mego syna... Teraz chodź ze mną, przedstawię cię królowi. Taki człowiek, jak ty, więcej znaczy, niż cała armia egipska.

Noc zapadła, wojska perskie, lękając się zdradzieckiego napadu Egipcyan, trzymały się w pogotowiu do bitwy, piechota i jazda nie opuszczały swoich stanowisk. Kambyzes objeżdżał szeregi i zachęcał do wytrwałości. Tylko środkowe oddziały jeszcze się nie sformowały, dowodził nimi Bartya. Czegoś się spóźniał, drażniło to króla, coraz to pytał niecierpliwie, czemu królewicza jeszcze niema.

— Zaraz przybędzie — odpowiadali mu wodzowie.

Bartya nie spieszył się, kazał jak najdłużej wypoczywać swoim hufcom, aby módz ze świeżemi siłami na wroga uderzyć. Miał on oddany pod swoje rozkazy jeden oddział gwardyi i ciężką kawaleryę. Król objął dowództwo nad 10,000 nieśmiertelnych, Krezusowi powierzono straż przy namiotach kobiecych, gdyż Kasandona, Atosa i Safo towarzyszyły wyprawie.

Cisza panowała uroczysta, głos Kambyzesa, przemawiającego do żołnierzy, brzmiał w niej donośnie. Naraz rozległ się straszliwy wrzask. Nie pierwszy raz usłyszeli go obozujący: to wozy tajemnicze Thanesa życiem zadrżały. Arystomachus przeraził się.

— Co to?—zapytał zdziwiony.

Thanes uśmiechnął się.

— Nasi sprzymierzeńcy— odparł — wiozę z sobą cały hufiec kotów. Wszakże wiesz, że Egipcyanie czczą te zwierzęta, jako istoty święte. Jeśli Psametyk weźmie przewagę, wypuszczę na niego hufiec kotów,

a pewien jestem, że żaden z jego żołnierzy strzały puścić się nie waży.

Arystomachus roześmiał się.

Gdy rozprószyły się cienie nocy, Kambyzes rozkazał rozniecić święty ogień, płomieniem przez magów przywiezionym z Babilonu. Otoczywszy ognisko, kapłani podniecali je ustawicznie, a gdy rozjaśniało wielkim płomieniem, Kambyzes złożył bogom ofiarę i zaniósł modlitwę do Ormuzda, aby sprzyjał jego orężowi, poczem dał wojsku hasło: „Ormuzd naszym dowódcą“. Grecy złożyli swoim bogom ofiary i również zanieśli modły, aby nieśmiertelni wspierali ich w boju. Kapłani przepowiadali zwycięstwo Kambyzesowi.

Tymczasem Egipcyanie czynili ostateczne przygotowania do walki: składali ofiary swoim bogom i zanosili do nich modły. Głównym dowódcą wojsk egipskich był Psametyk. Ze złotego wozu wydawał rozkazy, rumaki jego miały złotem tkane czapraki, pęki piór łby ich stroiły. Woźnica królewski należał do jednego z najznakomitszych rodów. Stojąc na wozie, trzymał w jednej dłoni bat, w drugiej wodze. Psametyk uzbrojony był w oszczep, który trzymał w górę wzniesiony. Na lewem skrzydle stali najemnicy heleńscy, na prawem Egipcyanie.

Objechawszy całe wojsko, Psametyk zatrzymał się przed Grekami.

— Cieszy mnie, wielcy bohaterowie, iż dziś pod moim przewodem sięgniecie po nowe laury—rzekł głosem wyniosłym. — Nie lękajcie się, abym miał wam kiedykolwiek odebrać wasze swobody. Wiem, że pożyteczni mi jesteście. Nie oszczędzajcie dziś Persów, pamiętajcie o tem, że gdy Kambyzes Egipt zdobędzie, upojony powodzeniem, sięgnie po Grecyę. Pamiętajcie o tem, że broniąc mojej ojczyzny, bronicie swojej jednocześnie. A teraz powiem wam, kto namówił Kambyzesa do tej wojny; kto mu doradził, aby zdobywszy Egipt, sięgnął po ojczyznę waszą. Niestety, zdrajcą tym jest Grek. Nie obce wam imię jego, znaliście Thanesa wszyscy. Za ojca ukarałem syna: chłopiec już nie żyje, on zapłacił zdradę Egiptu, w wasze ręce dziewczynkę oddaję... Pamiętajcie o tem, że przez jej ojca spadła plama na Greków.

— Krwią córki Thanesa zmyjemy tę plamę! — krzyknęli Grecy, uwierzywszy oskarżeniu.

W tej chwili jeden z żołnierzy Psametyka podniósł dziewczynkę do góry, Grecy dobyli miecze i rzucili się ku niej z dzikiem wołaniem:

— Śmierć córce zdrajcy!

— A teraz za mną na wroga!—zawołał Psametyk i pierwszą strzałę wypuścił.

Najemnicy rzucili się za faraonem.

Thanes poznał córkę, gdy okrutny żołnierz podniósł ją w górę, widział, jaką śmiercią zginęła i bólem zadrgało jego serce.

Nie czekał, aż Kambyzes wezwie do boju, pierwszy naprzeciw wroga pośpieszył. Lecz choć Perso-

wie walczyli dzielnie, szczęście wyraźnie było po stronie Egipcyan, coraz silniej nacierali na Persów. Pospieszył Kambyzes z oddziałem swoich nieśmiertelnych na pomoc Thanesowi, lecz i króla nie zlękli się Egipcyanie, wyraźnie wrogów odpierać zaczęli. Naraz ziemia zahuczała pod uderzeniem świeżych kopyt i nowy hufiec popędził na wroga. Królewicz Bartya pospieszył ze zwoją piechotą i konnicą zagrożonym na pomoc i cofający się Persowie natarli dzielniej, widok ulubieńca dodał otuchy wszystkim. Jednocześnie gdy Bartya pędził na Egipcyan, rozległ się straszliwy wrzask w obozie perskim. Zdumieni Egipcyanie ujrzeli pędzące ku sobie tłumy kotów, za nimi leciał nowy hufiec. Psametyk spojrzał na tego, który go prowadził i bladość śmiertelna powlokła twarz jego. Król i wojsko stracili przytomność: żołnierze zlękli się świętych zwierząt, żaden łuku zwrócić na koty nie ośmielił się, Psametyk pewien był, że duch Arystomachusa przywiódł te zastępy drapieżne. Hufiec, który pędził za kotami, wiódł bowiem Ateńczyk do kopalń złota zesłany.

Egipcyanie łamać się poczęli, a w końcu uciekać w największym popłochu. Dwadzieścia tysięcy Persów, a 50,000 Egipcyan poległo w tym dniu pamiętnym.

W tryumfie wracał z tej bitwy Kambyzes do swego obozu, jednakże czoło jego było zasępione; słuchał szeptów żołnierzy i zagryzał wargi ze złości. zazdrość szarpała jego sercem. Prawie wszyscy utrzymywali, że sława zwycięstwa spływa na Bartyę, że on pierwszy wsparł cofające się hufce perskie.

Któż zebrał to liczne wojsko, kto je poprowadził na bój? On, Kambyzes, on krocie wyłożył na utworzenie tych licznych zastępów; on tygodnie całe nie sypiał, zanim je sformował, a jednak byłby może przegrał bitwę, gdyby to dziecko szczęścia nie nadbiegło z pomocą. Bartya, przez którego już tyle przecierpiał w życiu, teraz znowu wydarł mu połowę sławy wojennej. Kambyzes czuł, że go nienawidzi w tej chwili i mimowoli, ujrzawszy zbliżającego się ku niemu brata, pięści zacisnął. Ale Bartya na niego nie patrzył, albowiem donieśli mu żołnierze, że Thanes jest ciężko ranny, że Arystomachus kona przy nim w namiocie, spieszył więc do obu. Zastał ich jeszcze przy życiu.

Arystomachus powitał go smutnym uśmiechem.

— Wyrocznia omyliła się — rzekł—umieram, nie zobaczę już więcej mojej ojczyzny.

— Wyrocznia prawdę powiedziała — rzekł Thanes—przypomnij sobie ostatnie jej słowa: „Łódź twoja przybije do przystani, gdzie błądzące twoje stopy czeka odpoczynek“. Czyż nie rozumiesz tych słów?

— Wsiądę niebawem do łodzi Charona i cichy ten starzec zawiezie mnie do miejsca spoczynku wszystkich zmęczonych życiem. Czy tak? — słabym głosem pytał Arystomachus—a więc żegnajcie, przyjaciele!

Bartya uścisnął mu dłoń. Dusza Greka rozstała się z ciałem.

Tego samego dnia piękny statek zawiózł posel-

stwo perskie do Memfis z żądaniem, aby Psametyk zdał się na łaskę i niełaskę Kambyzesa.

Król w ślad za poselstwem pospieszył, oddawszy opiekę nad całem wojskiem staremu i wytrawnemu wodzowi.

W Heliopolis wylegli naprzeciw niemu Grecy ze złotym wieńcem, z bogatymi darami. Kambyzes przyjął ich łaskawie, lecz w tej samej chwili, gdy dary odbierał, przybieżał do niego jeden z żołnierzy i rzekł:

— Panie, słyszałem od ludzi, że mieszkańcy Memfis zatopili okręt poselski i załogę twoją wymordowali.

Błysk gniewu strzelił z oczu króla.

— Na Ormuzda przysięgam, że za każdego Persa trzydziestu Egipcyan życiem mi odpłaci!—krzyknął.

W dwa dni potem król Persów stanął z olbrzymiem wojskiem pod murami starego Memfis.

Oblężenie niedługo trwało. W rozdartych szatach, na znak ciężkiej żałoby, Psametyk wyszedł, otoczony swoimi dostojnikami, aby powitać zwycięskiego wroga.

Kambyzes kazał odprowadzić go z całem otoczeniem do więzienia, Ze starą królową obszedł się łaskawie. Pomny na własną matkę, skłonił przed nią głowę i pozwolił jej odpłynąć do Grecyi.

Zostawiwszy Psametyka pod strażą w Memfis, udał się następnie do Sais, obległ to miasto i zdobył

poczem z tryumfem ukoronował się na króla Dolnego i Górnego Egiptu.

Kapłani egipscy pierwsi skłonili przed nim po tej uroczystości głowy i prosili go, ażeby raczył zaliczyć się do ich kasty, jak to dawni faraonowie czynili.

Idąc za radą Krezusa, Kambyzes, lubo niechętnie, uczynił zadość ich życzeniu, ofiarował nawet znaczną sumę na świątynie.

Z Sais powrócił do Memfis, aby wydać wyroki na jeńców. Powitał go tutaj Thanes, którego rana już się zagoiła. Zwycięstwa odniesione i spotkanie z Grekiem usposobiły króla łaskawie. Kazał przyprowadzić Psametyka na dziedziniec pałacowy.

— Wypróbuję króla Egiptu—rzekł do Krezusa—poczem udał się na taraz pałacu, aby stamtąd obserwować Psametyka. Nieszczęśliwy faraon stał ze spuszczonym w ziemię wzrokiem, zmieniony do niepoznania.

Po chwili ukazały się na dziedzińcu córki Psametyka ze dzbanami wody.

Ujrzawszy ojca, rozpłakały się głośno, on drgnął, podniósł głowę zwolna.

— Dokąd idziecie?—zapytał.

— Niewolnicami Thanesowemi jesteśmy — odparła najstarsza—kazał nam prać swoje suknie.

Psametyk westchnął ciężko.

— Idźcie!—rzekł głucho.

Królewny z płaczem odeszły.

Na dziedzińcu ukazał się młody Nekao, którego straż na postronku prowadziła. Chłopczyna wyciągnął rączki do ojca, wołając:

— Tato, weź mnie, ci źli ludzie chcą mnie zabić!

Urzędnicy, którzy otaczali Psametyka, płakać zaczęli. Oczy jego ponurym blaskiem zabłysly, lecz wnet je spuścił ku ziemi i ręką przesłał dziecku pożegnanie.

— Idź, dokąd ci każą!—rzekł.

Nekao oddalił się, a na dziedzińcu ukazał się arcykapłan w łachmanach, zbiedzony.

Starzec szedł krokiem chwiejnym i jęczał.

— Litości, z głodu umieram, na wygnanie skazany jestem, a sił iść nie mam—skarżył się.

Ten i ów dawał mu jałmużnę, on przyjmował datki od wszystkich i pokornie dziękował.

Ujrzawszy to, Psametyk rozpłakał się głośno.

Zdziwiony Kambyzes, zeszedł do niego.

— Dla czego temu starcowi okazałeś tyle współczucia?—zapytał—dla syna i córek łez nie miałeś, nad nim głośno płaczesz?

— Nieszczęście domu mojego, synu Cyrusa, jest za ciężkie, aby je opłakać było można — odparł Psametyk.

Król powiódł wzrokiem po zebranych na dziedzińcu. Wszystkich spojrzenia wyrażały współczucie, jeden Thanes stał ponury i groźny.

— Krzywdy nasze pomściłem dostatecznie — rzekł Kambyzes —daruję ci życie, Psametyku, i dzieciom twoim. Weź sobie na wzór dalszego postępowania tego zacnego człowieka.

To rzekłszy, wskazał Krezusa.

Psametyk ukląkł i pochylił głowę na znak podziękowania.

Wtem zbliżył się do króla Thanes.

— Nekao umrzeć musi!—zawołał wzburzony.

— Postanowień moich nie zmieniam nigdy — odparł Kambyzes, zwrócił się do dworzan i kazał czynić przygotowania do wielkiego polowania na lwy w górach Libijskich.

XVII.

Dwa miesiące upłynęło już od dnia koronacyi Kambyzesa na króla Egiptu. Bartya i Safo mieszkali w pięknym pałacu w Sais.

Kambyzes, niechętny zawsze bratu, nie trzymał go przy sobie, mieszkając z matką i dworem w Memfis.

W dniu uroczystości bogini Neity Bartya z żoną i kilku przyjaciółmi wybrali się na wycieczkę po Nilu, zaprosiwszy na nią Rhodofis.

Rankiem wczesnym całe towarzystwo wsiadło do malowniczo przystrojonej łodzi i popłynęło w górę rzeki.

Złoty baldahim ze spuszczonemi kolorowemi zasłonami strzegł ich przed palącymi promieniami słońca.

Krezus, który parę dni temu przybył z Memfis siedząc obok Rhodofis, opowiadał staruszce o Psametyku, jak odważnie znosi zmianę losu, że otoczył się dziećmi i z nimi żyje.

— Trudno uwierzyć, że płyniemy przeciw wo-

dzie — rzekł naraz Bartya, przerwawszy to opowiadanie—łódź sunie, jak jaskółka.

— Wioślarze znakomicie wiosłują—odparł Teopompus.

— Podwajają zawsze usiłowania, gdy trzeba walczyć z nieprzyjaznym prądem—dodał Krezus.

— Zwykle wówczas dopiero natężamy nasze siły, gdy spostrzegamy napotkane trudności—odezwał się Daryusz.

— Dla tego właśnie sami stwarzamy sobie owe trudności—odparła Rhodofis—gdybyśmy zawsze energicznie działali, nie wpadalibyśmy w gnuśny spoczynek.

— Istotnie, praca to cel życia człowieka — rzekł rezus—lecz i tutaj trzeba umieć zachować miarę. Jeśli chcemy, aby nasze dążenia uwieńczył pomyślny skutek. Zadaniem mędrca jest nie przestąpić w niczem właściwych granic.

— Jaka szkoda, że Kambyzes cię nie słyszy — odezwał się Bartya—on podobno marzy o nowych podbojach.

Krezus westchnął.

— Niestety, chciałby świat cały podbić odparł—odkąd Thanes, poróżniwszy się z nim, odjechał, spokój opuścił króla, a przytem duch pijaństwa opanował go na nowo.

— Czy matka niema na niego żadnego wpływu?—zapytała Rhodofis.

— Żadnego—odparł Daryusz.

— Ani siostra?

— Siostra również.

Po tej odpowiedzi zasępiła się twarz Daryusza.

— Biedne dziewczę!—dodał ciszej — chciało podobno przyjechać do Sais na dni kilka, lecz Kambyzes nie pozwolił.

Rhodofis miała jakieś słowo nieprzychylne dla króla na ustach, lecz Krezus, jak gdyby zgadując jej myśl, uprzedził ją.

— Zapewniam cię, że w gruncie szlachetny to bardzo człowiek—rzekł — zawsze żałuje szczerze, gdy namiętność popchnie go do zbrodni. Chciałby być szlachetnym i dobrym, ale nie zawsze potrafi pokonać sam siebie.

— Wolałabym siebie zwyciężać, niż krocie Egipcyan—odparła Rhodofis.

Gdy słońce zaszło, niewolnicy wynieśli kunsztownie rzeźbione krzesła i stoliki na odkryty pokład statku, i całe towarzystwo tam przeszło.

Prawdziwie piękny widok przedstawił się tutaj ich oczom.

Ze wschodem księżyca miało się rozpocząć wielkie święto bogini. Brzegi rzeki, przystrojone płonącemi lampami, robiły wrażenie nieskończenie długiej wstęgi ognistej. Każdą świątynię, dom, lepiankę oświecała większa lub mniejsza, stosownie do zamożności właściciela, ilość lampek.

— W przedsionkach domów wiejskich płonęły beczki smolne, a gęsty dym kołysał się w powietrzu

razem z powywieszanemi chorągwiami. Oblane srebrnym blaskiem księżyca palmy i sykomory przeglądały się w zaróżowionych od płomieni falach Nilu. Tu i owdzie przesuwały się chyżo po rzece łodzie, lampami oświecone, jakby ogniste łabędzie. Sniežno białe lotosy, niby oczy tajemniczych bóstw, wychwalały się ponad różowe fale wód, na których cisza uroczysta panowała.

Jadący barką, w skupieniu przypatrywali się wspaniałemu obrazowi. Pierwsza Safo przerwała to milczenie.

— Patrzcie... piramidy!—wykrzyknęła naraz i rękę przed siebie wyciągnęła.

Wszyscy zwrócili zwrok we wskazanym kierunku.

Na lewym brzegu rzeki rysowały się w srebrnem świetle księżyca olbrzymie groby królów egipskich, dowodząc siły rąk ludzkich, a zarazem znikomości rzeczy ziemskich.

Gdzież byli w tej chwili ci faraonowie, który za kosztem życia poddanych wznosili pomniki, mające zapewnić im nieśmiertelność?

Piramidy stały strzeżone od tysiąca wieków przez olbrzymiego stróża pustyni—sfinksa, przechodzącego wysokością wzgórza libijskie, a we wnętrzu ich spoczywały mumie.

W pobliżu piramid wznosiła się świątynia, w której kapłani Ozyrysa błagali o spoczynek dla dusz..

Barka przesunęła się w uroczystem milczeniu koło grobów, bo nikt słowa odezwać się nie śmiał i zno-

wu jadącym zaczęły się ukazywać gęste szeregi świateł, na cześć bogini płonących. Ujrzeli w oddaleniu olbrzymią świątynię, tysiące lamp gorzało na jej murach i dachu, w alejach sfinksów, wiodących od różnych bram świętego budynku, paliły się gęste pochodnie; świątynia czyniła wrażenie góry kredowej, oblanej blaskiem zorzy.

Czarodziejskiego obrazu dopełniały powiewające chorągwie, muzyka i śpiewy.

— Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego— rzekł Krezus.

— Co do mnie, widziałem jeszcze coś piękniejszego—odezwał się Daryusz—nie wierzylibyście, gdybym wam opowiedział, na jakie cuda patrzałem.

— Opowiedz! Opowiedz!—wołać poczęli wszyscy.

— Byłem świadkiem misteryi odgrywanych w Egipcie w świątyni Neity—począł Daryusz.— Neithotep wprowadził mnie na owo święte przedstawienie. Lecz przedtem musiałem mu przyrzec, iż będę siedział cichutko w kryjówce, niczem nie zdradzając mojej obecności. Wprowadził mnie na wieżę swego obserwatoryum i oznajmił, iż będę świadkiem przedstawienia losów Ozyrysa i małżonki jego Izydy. Gdym wszedł, gaj zajaśniał takiem mnóstwem kolorowych lamp, że widziałem doskonale, co się działo w największej gęstwinie. Po przezroczystej toni jeziora przesuwały się złote łodzie, a załoga ich, małe chłopcy i dziewczęta, chórem śpiewali. Łodziami nikt nie kierował, wymijały się wszakże szybko i zręcznie, krążąc

ustawicznie koło jednego wielkiego statku, który błyszczał od drogich kamieni. Chłopcy i dziewczęta na łodziach ubrani byli w jasne i lekkie szaty, lśniące od złota. Statkiem największym kierował młodzieniec, bogato ubrany, który zamiast steru, trzymał biały kwiat lotosu w dłoni. Na pokładzie o atłasowe poduszki sparta, leżała uroczej piękności kobieta, a przy niej siedział mężczyzna olbrzymiego wzrostu, w koronie z bluszczu uwitej, skóra pantery z ramion jego spływała, w ręku dzierżył zakrzywione berło. Na tylnej części skrętu, pod dachem uwitym z róż, bluszczu i lotosów stała biała krowa ze złotymi rogami. Kobieta przedstawiała Izydę, mężczyzna Ozyrysa, młodzieniec Horusa, a krowa—święte zwierzę bogini. Nagle posłyszałem grzmot donośny. W tej samej chwili wbiegł do gaju wstrętnej powierzchowności człowiek: rudy, ubrany w skórę odyńca, otoczony liczną drużyną, podobnie do niego przybraną.

Wyłoniwszy się z gęstwiny gaju, przybysze ci wkroczyli do jeziora i ku okrętowi dążyć poczęli.

W mgnieniu oka rozbiegły się małe łódeczki, a potwór rzucił się na Ozyrysa, zamordował go i zwłoki jego wrzucił do olbrzymiej skrzyni, którą drużyna jego raptem postawiła przed nim.

Skrzynia ta w jednej chwili zniknęła ze statku.

Tymczasem Izyda, wsiadłszy do jednej z małych łodzi, dobiła szczęśliwie do brzegu razem z innymi małymi łódkami i wysiadła na ląd.

Teraz dopiero puściła wodze łzom i boleści. Załamawszy ręce, biegła po gaju z rozpuszczonymi włosami, zawodząc krzyki żałosne i zwłok męża szukając. Dopomagały jej dziewczęta, chłopcy zaś przygotowywali wspaniałą trumnę. Gdy ją skończyli, przyłączyli się do żałobnego orszaku.

Nagle dał się słyszeć jakiś tajemniczy głos, który oznajmił, że prąd morza Śródziemnego poniósł zwłoki Ozyrysa do Fenicyi.

Izyda, posłyszawszy tę wieść, zaintonowała pieśń radośną, którą dzieci wowtórzyły za nią. Istotnie, na północnem wybrzeżu jeziora znaleziono wyrzucony przez fale sarkofag, chłopcy wydobyli ciało Ozyrysa i złożyli je do przygotowanej trumny, którą dziewczęta kwiatami ustroiły. Po skończonej ceremonii, Izyda zajęła się poszukiwaniem syna. Horus pozostał z ojcem na statku; tam trzeba było wrócić. Lecz zanim bogini dopłynęła do niebezpiecznego miejsca, ujrzała Horusa na wschodnim brzegu. Młodzieniec wyrósł i zmężniał przez ten czas, wspaniale się rozwinął. Izyda pospieszyła ku niemu z powitaniem. Naraz posłyszałem drugi grzmot zwiastujący znów zbliżenie się potwora Tyfona. Wstrętny ten człowiek rzucił się na ukwieconą trumnę Ozyrysa, rozbił ją, mumię rozciął na kawałki i rozsypał ją na brzegu jeziora wśród huku piorunów i grzmotów.

Wróciwszy do grobu, Izyda znalazła zwiędłe kwiaty i szczątki trumny, ale naokoło jeziora błyszczało czternaście różnokolorowych świateł. Nieszczęsna, pospieszyła tam z dziewczętami, a chłopcy pod wodzą Horusa poczęli się gotować do walki z Tyfonem.

Teraz nie wiedziałem na co patrzeć i czego słuchać: z jednej strony wśród huku piorunów toczył się bój zacięty, z drugiej szły tańce ochocze przy dźwiękach muzyki, bo Izyda odnalazłszy w każdem światełku cząstkę małżonka, święciła tę chwilę głośną radością.

Szkoda żeś nie widział tych tańców, Zefirusie. Wkrótce z przeciwnego brzegu dobiegły głosy fanfar. Horus, zwyciężywszy Tyfona, podążył do otwartej bramy podziemnego królestwa, strzeżonego przez olbrzymiego krokodyla, chcąc wyswobodzić ojca z niewoli. Teraz rozległy się słodkie tony harf i fletów, różne światła coraz jaśniej płonęły nad gajem i ze zwycięzkim swym synem u boku wyszedł z podziemi Ozyrys. Izyda rzuciła się mu w objęcia, Horusowi podała lotos do ręki i zaczęła sypać na około hojnie kwiaty i owoce.

Tymczasem Ozyrys, siadłszy pod bluszczowym baldachimem, odbierał hołdy wszystkich duchów ziemi.

— Dzięki ci za tę wdzięczną powieść — rzekła Rhodofis, gdy Daryusz umilkł — lecz możebyś mógł wytłómaczyć nam znaczenie tego dziwnego przedstawienia.

— Neithotep wytłómaczył mi to, lecz przyrzekłem, że słów jego nie powtórzę nikomu — odparł Daryusz.

— W takim razie ja ci powiem, jak sobie wytłómaczyłam to całe przedstawienie — rzekła Rhodo-

fis.—Czytałam Pytagoresa, objaśnia on różne wierzenia. Izyda wyobraża ziemię—karmicielkę ludzi, Ozyrys, jej małżonek, deszcz lub Nil. Horus to ich dzieci—natura cała. Tyfon przedstawia suszę.

Izyda utraca małżonka, to znaczy, że wody Nilu opadły, lub deszcze nie nawiedzają ziemi, zjawia się stąd susza — Tyfon, straszny nieprzyjaciel Izydy i Ozyrysa.

Horus, wyobrażający młode siły natury, zwycięża suszę i wzrasta w siły. Ozyrys powraca, to jest Nil, lub deszcz odwilża ziemię, i radość znowu panuje w Egipcie.

— Kto wie, czy tak nie jest—odparł Daryusz — lecz podług mnie, historya Izydy i Ozyrysa może również dobrze przedstawiać duszę ludzką. Ciało umrze, ale dusza żyje, bo dusza jest nieśmiertelna.

— Na przyszły rok muszę i ja dostać się na to przedstawienie — odezwał się Zefirus — zaciekawiłeś mnie bardzo, Daryuszu.

— Podzielam twoje pragnienie — rzekła Rhodofis—na starość robię się widocznie ciekawą.

— Ty wiecznie będziesz młodą—przerwał jej Daryusz — twoja mowa równie jest piękną, jak lica i oczy.

— Mówisz o oczach, więc przyszedł mi na pamięć Nebeuhazi — rzekła Rhodofis, — podobno przywrócił wzrok Kasandonie... Cóż się z nim dzieje, gdzie mieszka obecnie?

— Dusza jego stoi może w tej chwili przed obliczem Ozyrysa — odparł Daryusz. Gdy Kambyzes wszedł w tryumfie do Memfis, Nebeuhazi udał się do niego z prośbą, aby mu pozwolił pojechać do Sais i wybrać sobie jakich zechce niewolników z pomiędzy mieszkańców tego miasta. Kambyzes nie odmówił tak małej prośbie dobroczyńcy swej matki.

Nebeuhazi udał się natychmiast do Sais, a przybywszy, wybrał się do świątyni Neithy z kilku żołnierzami i kazał im w imieniu króla stawić przed sobą związanego arcykapłana. Gdy żołnierze spełnili jego rozkaz i Neithotep stanął przed nim, rzekł doń: „Za spalenie pism moich sprzedam cię w niewolę Persom“. Byłem świadkiem tej sceny. Neithotep wysłuchał go spokojnie, a potem rzekł: „Więc byłeś tyle głupi, że tej bajce uwierzyłeś i dla tego zdradziłeś własnego króla, w ręce wroga swoją ojczyznę wydałeś?!! Wiedz, nieszczęsny, że pisma twoje spoczywają bezpiecznie w naszej świątyni, że kopię ich do Teb przesłaliśmy.

Dla bezpieczeństwa spaliliśmy tylko listy Amazysa, pisane do twego ojca i próżną, bez wartości skrzynkę.

Psametyk w nagrodę za twoje zasługi położone dla kraju kazał w mieście umarłych wybudować grób dziedziczny dla ciebie, co już spełnionem zostało.“

Nebeuhazi pobladł. Nie wierząc słowom arcykapłana, kazał sobie pokazać swoje papiery, a gdy się przekonał, że Neithotep prawdę powiedział, wrócił mu

wolność i podążył zgnębiony do domu, gdzie z jękiem rzucił się na posłanie.

Nazajutrz znaleziono go bez życia.

— Nieszczęsny!—wykrzyknął Krezus—zabiła go zgryzota. Siał zemstę, zebrał rozpacz!

— Żałuję go!—rzekła Safo.

— Otóż dopływamy do brzegu... — rzekł Zefirus, chcąc zwrócić rozmowę na przedmiot weselny.

Podnieśli się wszyscy i żegnać zaczęli. Barka dobiła do lądu. Bartya i Safo pośpieszyli uścisnąć Rhodofis. Staruszka ucałowała oboje, reszcie dłonią posłała pożegnanie.

Safo pierwsza zeszła po pomoście na brzeg, za nią Bartya.

Idąc, oglądał się na Rhodofis, która pozostała na statku, miała bowiem jeszcze dalej płynąć. Naraz królewicz potknął się i gdyby nie Zefirus, który idąc tuż za nim, za ramię go schwycił, byłby upadł niechybnie.

— Strzeż się — rzekł poważnie — to zła wróżba i ja potknąłem się tego dnia, w którym mnie uwięziono!

XVIII.

Tej samej nocy poseł Preksaspes powrócił z Egiptu, dokąd jeździł z poleceniem Kambyzesa. Wysławiał on wzrost i siłę tamtejszych ludzi, drogę do ich kraju przedstawiał jako niedostępną dla wielkiego wojska, opowiadał też cuda o tem, co widział i słyszał. Etyopi żyli po sto dwadzieścia lat, a często i dłużej, żywili się gotowanem mięsem, pili świeże mleko, myli się wodą z źródła, pachnącą fijołkami, która nadawała skórze miękkość i świeżość; ich więźniowie nosili złote kajdany, gdyż żelazo w tej krainie jest bardzo drogie; zmarłych oblepiali Etyopi gipsem, polewali szklistą masą i takie słupy trzymali w domu, składając im codziennie ofiary, poczem ustawiali je rzędami za miastem. Przyjęli z wdzięcznością dary od Kambyzesa. Król ich mówił:—Wiem, że Persom na mojej przyjaźni nie zależy, że Preksaspes przyjechał tylko po to, aby kraj nasz zbadać... Ufam jednak, że

Kambyzes nie zechce napadać na lud który nic złego mu nie uczynił”.

Wywdzięczając się za otrzymane dary, przysłał Kambyzesowi przez Preksaspesa olbrzymi łuk, kazawszy mu powiedzieć, że jeśli chce kraj Etjopów zawojować, niech nauczy się pierwej władać bronią.

Kambyzes roześmiał się, gdy Preksaspes powtórzył mu te słowa, jednakże rzuciły one niepokój na jego duszę.

Wnocy śnił, że Bartya, uzbrojony łukiem Etyopów, zasiadł na tronie perskim, że głowa jego sięgała do nieba.

Zbudziwszy się, począł zastanawiać się nad tym snem.

— To niebezpieczny współzawodnik — myślał — jest odważny, posiada miłość ludu, niepodobna, aby nie żywił urazy do mnie. Jestem pewien, że w dniu, w którymby postanowił się zemścić za to, że więziłem go i śmiercią mu groziłem, wszyscy Achamenidzi stanęliby po jego stronie. Niema jednego człowieka na moim dworze, któremu mógłbym ufać zupełnie. Podrażniony temi myślami, zerwał się z łóżka i począł biegać po komnacie.

— W oczy mówią mi pochlebstwa, za oczami przeklinają—wołał — nawet bogowie sprzymierzyli się przeciw mnie... odebrali mi wszystko, co ukochałem. Bartyę coraz nowemi łaskami obdarzają: przyjaźń sławę, żonę kochającą, wszystko mu dali. W duszy pewno śmieje się ze mnie.—Ja mam czczy tytuł króla, on szczęście. Ale pokażę mu, kto z nas silniejszy. Obalę go, nie dozwolę, aby urósł do nieba. Jeden może być tylko wielkim w Persyi: on lub ja. Poślę go do Azyi, do najodleglejszej z moich satrapii, a sam tymczasem wyruszę do Etyopi i bez jego pomocy zdobędę tę krainę.

— Hej, szatny, ubieraj pana!—krzyknął— gdzie łuk Etyopów? — zapytał gdy dworzanin ukazał się na progu komnaty.

Blady ze strachu, sługa najprzód ubrał króla, potem przyniósł łuk.

Kambyzes wypróżnił olbrzymi puhar wina i udał się do ogrodu pałacowego, gdzie pierwej kazał sprowadzić wszystkich panów. Zastał ich już zebranych, powitali króla głośno. On spojrzał po nich posępnie, kazał cel ustawić i rzekł:

— Będziemy próbowali tej broni, zacznijcie!

Stary Histaspes wziął łuk z rąk króla, lecz próżno wytężał wszystkie swoje siły, nie naciągnął cięciwy. Za nim próbowało sześciu Achamenidów, lecz również na próżno. Czoło króla w miarę rosnącej liczby niepowodzeń rozjaśniało się, a gdy Daryuszowi po nadzwyczajnych wysiłkach udało się zaledwie przygiąć nieco cięciwę, wówczas roześmiał się głośno i zawołał:

— Jeden jest tylko silny człowiek w Persyi... Przekonacie się niebawem o tem.

I odebrawszy łuk z rąk Daryusza, objął broń lewem ramieniem, a palcami prawej dłoni schwycił grubą cięciwę z lwiego włosa, nabrał pełną pierś oddechu

i wytężył wszystkie siły, dopomagając sobie nawet nogami. Pierś jego podnosiła się gwałtownie, cięciwa się prostowała. Kwadrans cały mocował się Kambyzes, chwilami zdawało się, że krew go zaleje, purpurowy się stawał, nareszcie rzucił broń na ziemię.

— Tego łuku nikt nie napnie!... To drzewo twardsze jest, niż żelazo—rzekł z gniewem — ktoby to uczynił, byłby najsilniejszym z całego mego olbrzymiego państwa.

Jeszcze mówił, gdy w ogrodzie ukazał się Bartya. Zbliżył się swobodny i uśmiechnął się do króla.

— Przepraszam cię, bracie, że spóźniłem się—rzekł. Co widzę, cel nie tknięty! Znać, żeś ty, Kambyzesie, siły jeszcze nie próbował... Czy mam zaraz strzelać, czy tobie pierwszeństwo zostawić?

— Daj mu łuk, Preksapesie—rzekł król, nie obdarzywszy brata ani jednem spojrzeniem i ani jednem słowem.

Bartya wziął olbrzymią broń do ręki i począł oglądać.

Drwiący uśmiech pojawił się na ustach króla.

— Masz kobiece ręce, a do tej cięciwy potrzeba męzkiej siły—rzekł.

Krew uderzyła do twarzy królewicza, a z oczu strzelił gniew. Stanął na wprost celu, naciągnął cięciwę, świst się rozległ, a potem trzask: olbrzymia strzała wypadła z łuku, przeszyła powietrze i cel rozgruchotała.

W pierwszej chwili wszyscy wydali jeden okrzyk radości.

— Niech żyje królewicz!

Lecz wnet przypomnieli sobie Kambyzesa i każdy niespokojnie spojrzał na niego.

Kambyzes rzucił bratu złoty łańcuch i skierował się ku pałacowi. Nikt nie śmiał iść za nim, dworzanie stali skupieni i szeptali:

— Biada królewiczowi!

Naraz król odwrócił się i skinął na Preksaspesa. Starzec pospieszył za nim. Weszli w milczeniu do pałacu. Dopiero gdy znaleźli się sami w królewskiej komnacie, Kambyzes rzekł głuchym głosem:

— Nie zniosę dłużej tych upokorzeń. Bartya musi umrzeć. Nazwę cię druhem, dobroczyńcą...

Preksaspes rzucił się przed nim na kolana i wzniósł błagalnie ręce. Chciał przerwać jego myśl.

Kambyzes wziął ten ruch za oznakę, że dworzanin się zgadza i dokończył zdania.

— Gdy mnie uwolnisz od tego niebezpiecznego współzawodnika, możesz wziąć złota, ile tylko zechcesz. Pomnij na żonę i dzieci. Biada tobie i twoim, jeśli ten wydzierca cudzej sławy zostanie przy życiu!

Król odawna opuścił komnatę, a Presksaspes jeszcze klęczał.

Potworność narzuconej mu zbrodni przygniotła go. Miał zabić niewinnego.

— Nie, tego nie potrafię uczynić! — zawołał nagle.

I podniósł się i powlókł do siebie. W drodze spotkał Krezusa, który go zatrzymał.

— Kambyzes pewno rzuca się, jak lew raniony— rzekł tenże — radziłem Bartyi, aby wyjechał natychmiast z żoną i dzieckiem do Persyi, aby zszedł z oczu króla, bo tutaj może być z nim źle. Potężny władca znajdzie zawsze dość sług nikczemnych, którzy gotowi będą godzić na życie niewinnego, aby względy pana zyskać.

Preksaspes zbladł, te słowa, jakby wprost do niego zwrócone, zraniły go boleśnie.

Oddalił się szybko.

— Nie uczynię tego! — przyrzekał sobie w duszy.

Lecz gdy na progu mieszkania powitały go dzieci i czepiać się poczęły jego sukien, domagając się o pieszczotę, przypomniały mu się straszne słowa, które król wyrzekł:

„Biada tobie i twoim, jeśli ten wydzierca cudzej sławy żyć będzie!”

I zadrżał o dziatwę i żonę, uciekł przed ich pieszczotami do swej komnaty i zamknąwszy się, pogrążył w posępnych myślach.

— Jeśli ja tego nie uczynię, uczyni ktoś inny. Bartya umrzeć musi. Oporem woli króla zgubię tylko moje dzieci i żonę, a królewicza nie ocalę.

I westchnął ciężko, podniósł się, wrócił ociężałym krokiem do komnaty, na której ścianach wisiała broń rozmaita. Wybrał ostry sztylet, wsunął go za

pas, opuścił dom bez pożegnania rodziny i wsiadłszy do barki, kazał wioślarzowi zawieźć się do Sais.

Bartya, wróciwszy z Memfis, zastał w domu swoim Rhodofis. Staruszka, dręczona dziwnym niepokojem, przybyła wczesnym rankiem, aby się dowiedzieć, czy wszyscy są zdrowi.

Widziała, jak Bartya się potknął, a nie wolna od współczesnych przesądów, nie mogła się oprzeć przykrym przeczuciom blizkiego nieszczęścia.

Bartya i Safo powitali staruszkę serdecznie i prosili, aby spoczęła. Zajmowali oni komnaty królewskie. Safo przeznaczyła dla babki wygodnie urządzony pokój, w którym niegdyś Fachot mieszkała. Rhodofis, zastawszy samą, zaczęła rozglądać się dokoła. Nic tutaj nie zmieniono od śmierci córki Amazysa. Na gotowalni stały jeszcze słoiki z wonnościami i olejkami, przed dużem zwierciadłem widać było grzebienie ze słoniowej kości, na stole do robót przeznaczonym spoczywało wrzeciono i kilka sznurków perełek do haftu. Złota lira dowodziła upodobań do muzyki Fachot, a całe urządzenie wskazywało, że ta wątła istota lubowała się we wszystkiem, co życie umilić może.

Z ciekawem współczuciem staruszka otworzyła dużą, malowaną kasetkę. Na wierzchu leżały suche kwiaty, pod nimi list po grecku pisany. Rhodofis zaczęła go czytać, łzy napełniły jej oczy. Był to list Nitetis. Kładąc go napowrót do kasetki, poczuła jakiś twardy, okrągły przedmiot. To był medaljon Nite-

tis, zrobiony przez rzeźbiarza Teodorusa. Staruszka, przypatrzywszy się tej podobiźnie, udała się na spoczynek.

Noc wróciła jej spokój. Powstawszy, udała się do ogrodu.

W cieniu altany siedziała Safo, a przy niej Bartya. Rhodofis, ujrzawszy ich, westchnęła do nieśmiertelnych, aby ukochanym zachować chcieli jak najdłużej ten cichy spokój.

Safo spostrzegła pierwsza babkę i naprzeciw niej pospieszyła.

— Opowiedz, Bartyo, wszystko babuni — rzekła, odwróciwszy się do męża—jestem pewną, że będzie mego zdania.

Poczem, pochyliwszy się z pocałunkiem do Rhodofis, dodała:

— Wczoraj poraz pierwszy posprzeczałam się z Bartyą.

Staruszka uśmiechnęła się.

— O cóż wam poszło?—zapytała, siadając w cieniu altany.

Bartya opowiedział jej wczorajsze zajście z łukiem.

— Krezus i Safo twierdzą, że obraziłem brata na siebie i że powinienem obawiać się skutków jego gwałtowności—zakończył opowiadanie temi słowy.

— Podzielam ich obawy—odparła Rhodofis, posmutniawszy—strzeż się Kambyzesa i wierz więcej doświadczeniu innych, niż własnemu sercu. Jesteś szlachetnym, więc trudno ci uwierzyć w nikczemność.

— Więc stajesz po stronie Safo i Krezusa? Chcesz także, abym Sais opuścił?—zapytał Barty.a— Nie mam ochoty uciekać z Egiptu w chwili, gdy król zamyśla o wojnie z Etyopią.

— Tylko głupcy narażają bez celu życie—rzekła Rhodofis—wojna z Etyopami—to szaleństwo. Cofniecie się, jeśli nie przed nimi, to przed skwarem pustyni. Zresztą gdybyś odznaczył się znowu na polu bitwy, podrażniłbyś bardziej jeszcze Kambyzesa.

Bartya chciał przeczyć, lecz w tej chwili w alei ogrodowej, wiodącej do altany, ukazał się Preksaspes i powitawszy zebranych, oznajmił, że musi sam na sam pomówić z królewiczem. Gdy Rhodofis oddaliła się razem z Safo, rzekł:

— Kambyzes przysyła mnie do ciebie. Wczorajsze twoje znalezienie się obraziło go... Jest pewien, że przekonać wszystkich chciałeś, iżeś od niego silniejszy. Chce on, abyś mu zeszedł z oczu na czas jakiś. Masz wyjechać natychmiast do Arabii po zakup wielbłądów, mnie polecił ci towarzyszyć. Podróż nie wymaga żadnych przygotowań, wyruszymy w drogę o zmroku. Pożegnaj żonę i odeślij ją do Kasandony, królowa pragnie mieć synowę pod swoją opieką.

Bartya nie spostrzegł pomieszania mówiącego.

— Pójdźmy razem pożegnać, Safo — rzekł i udał się z nim do pałacu, a kiedy pochylił się z pocałunkiem do Rhodofis, szepnął:

— Omyliłaś się, babko, w sądzie o Kambyzesie!

Safo zwróciła się tymczasem do Preksaspesa.

— Proszę czuwaj nad nim, aby nie naraził się na jakie niebezpieczeństwo – odezwała się tonem smutnym.

— Na granicy Egiptu będę zmuszony go opuścić—odparł Preksaspes, spuszczając powieki.

Oczy Safo napełniały się łzami. Dotychczas o chwilach rozłączenia nie myślała nigdy.

Widok jej łez wzruszył Bartyę, pożegnał ją, wybiegł z sali wskoczył na rumaka czekającego na niego przed pałacem. Koń ruszył z miejsca galopem.

XIX.

Na drugi dzień po niefortunnej próbie z łukiem Kambyzes dostał tak silnego ataku epilepsyi, jak jeszcze nigdy. Czterdzieści ośm godzin leżał nieprzytomny. Przyszedłszy do siebie, przypomniał potworny rozkaz wydany Preksaspesowi w chwili gniewu i zadrżał, że ten starzec mógł go wykonać.

Niepokój jego wzrósł, gdy poseł, wysłany po Preksaspesa, oznajmił, że dnia poprzedniego wierny mu dworzanin wybrał się do Sais.

Król przywołać kazał Daryusza, Gigesa, Zefirusa i zapytał ich, czy dawno widzieli się z Bartyą.

— Od próby z łukiem, po której zaraz wyjechał z Memfis, nie był tutaj więcej — odparł Daryusz.

Niepokój króla nie uszedł uwagi dworzan. Pewni byli, że Bartyi grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Kambyzes rozkazał im przy pożegnaniu, aby koniecznie znaleźli Preksaspesa i przysłali go do

niego.

Dwa tygodnie minęły. Preksaspesa nie znaleziono.

Wreszcie dnia jednego wezwała Kasandona do siebie Kambyzesa.

— Podobno poszukujesz Preksaspesa? — zapytała królowa — zapomniałeś, że poleciłeś mu odprowadzić Bartyę do Arabii po zakup wielbłądów. Safo, jak sobie życzyłeś, przyjechała do mnie na czas nieobecności męża.

Gdy to mówiła, weszła do pokoju Safo.

Król zbladł i ze wzruszeniem spojrzał na smutną twarzyczkę bratowej, ona zaś podała mu nieśmiało małą kasetkę, mówiąc:

— Bartya kazał ci to wręczyć, królu!

Był to medalion Nitetis, który Rhodofis poleciła wnuczce oddać szwagrowi w imieniu męża, jako dar pojednawczy.

Kambyzes nie otworzył kasetki, skinął głową kobietom i oddalił się posępniejszy, niż przyszedł.— Potem, co mu powiedziała Kasandona, nie wątpił, że Preksaspes morderstwo popełnił, a może spełnia je w tej chwili.

Zimny dreszcz go przeszedł.

— Więc jestem bratobójcą!—wyrzekł.

I doznał uczucia pogardy dla samego siebie.

Przed oczyma jego duszy poczęły się przesuwać postacie, które już do żyjących nie należały: ofiary jego gwałtownego charakteru.

Wychylił wielki puhar wina, ale trunek podniecił bardziej jego wyobraźnię i spotęgował trapiące go zewsząd widziadła. Wtem wzrok jego padł na zapomniany podarek Bartyi.

Otworzył kasetkę i ujrzał medalion Nitetis. Podobieństwo było tak wielkie, że zdało się królowi, jakoby Nitetis wróciła na ziemię i patrzyła na niego pełnemi smutku oczami.

„Bartobójcą jesteś!”—wyszeptała.

Król padł nieprzytomny na posadzkę.

Hałas zwabił dworzan, znaleźli Kambyzesa w stanie silnego ataku epilepsyi, przenieśli go do sypialni i po lekarzy posłali. Atak minął, ale nastąpiła gorączka z maligną. Widzenia chorobliwe nie ustępowały ani na chwilę: to krzyczał, że Thanes wrócił i śmieje się z niego, chciał, żeby go wyprowadzić z pokoju; to zdawało mu się, iż Krezus pochyla się nad nim i szepcze: „Nie przelewaj krwi brata, bo z krwi bratniej wznosi się słup dymu ku niebu i zaciemnia życie zbrodniarza.“ —To widział słodką twarzyczkę Nitetis, która ze smutkiem patrzała na niego i mówiła: „Więc za to brata zabiłeś, że był lepszym i dzielniejszym od ciebie, takiej zbrodni Ozyrys ci nie przebaczy!”

Nareszcie pewnego ranka obudził się przytomny, obejrzał się zwolna po pokoju, ujrzał obok łoża swego siedzącą Kasandonę, a tuż przy nim stojących kilku lekarzy i magów, zdala zaś Preksaspesa.

Teraz dopiero dowiedział się, że od kilku tygodni jest już chory obłożnie. Począł przypominać sobie

przeszłość, niepewny jeszcze, co jest rzeczywistością, a co majaczeniem.

Spojrzał niespokojnie na matkę, potem na Preksaspesa i znowu stracił przytomność.

Następnego ranka dopiero, po długim śnie, obudził się silniejszy i o wiele spokojniejszy. Zdrowie wracało teraz szybko. Tydzień nie minął, a Kambyzes wstał z łóżka.

Gdy pewnego razu został sam z Preksaspesem, poruszył przedmiot rozmowy, który nawet ani na chwilę nie przestawał go niepokoić.

— Coś zrobił z Bartyą? — zapytał go cichym głosem.

— Spełniłem twój rozkaz, królu!— odparł dworzanin—Bartya nie żyje!

Z ust Kambyzesa wyrwał się jakiś okrzyk dziwny, ukrył twarz w dłoniach i pochylił głowę.

Preksaspes zadrżał.

— Świadkami tej zbrodni było tylko morze Czerwone i żółty piasek pustyni — rzekł—prócz nas dwóch, tylko mewy wiedzą, jaką śmiercią zginął Bartya.

Kambyzes wyprostował się nagle i wyciągnął wychudłą rękę ku drzwiom.

— Wyjdź stąd i nie wracaj!.. Twarz twoja przypominać mi będzie wiecznie bratobójstwo... Nie chcę cię więcej widzieć!

A gdy Preksaspes się oddalił, dodał:

— Koronę, państwo całe oddałbym, gdybym mógł wskrzesić tego nieszczęśliwego.

Tegoż jeszcze dnia gorączka pochwyciła króla z dawną gwałtownością i przez kilka tygodni walczył ze śmiercią, a chociaż silna natura zwyciężyła, wyrzuty sumienia nie uciszyły się wszakże i zamęczały zbrodniarza. Szukał zapomnienia w winie, lecz wino podniecało wyobraźnię. W chwilach nieprzytomności ciągle zdawało mu się, że duch Bartyi wstąpił w łuk króla Etyopów i że duch Cyrusa rozkazuje jemu, Kambyzesowi, przez odniesienie zwycięztwa nad czarnym ludem przywrócić Bartyi pierwotną postać.

Myśl ta prześladowała go w dzień i w nocy. Nareszcie wyruszył z wielkiem wojskiem do Etyopii. Stała się wówczas rzecz, którą przepowiedziała Rhodofis.

Upały pustyni obaliły potężną armię Kambyzesa. Nie stoczywszy ani jednej potyczki, powrócił do Memfis z uszczuploną znasznie liczbą wojska. Dowiedział się tutaj, że hufce jego, wysłane w celu zdobycia oazy Ammona, wyginęły zupełnie, także tylko skutkiem upałów i południowo-wschodniego wiatru, że flota, której polecił podbój Kartaginy, zbuntowała się.

Kambyzes wpadł w szał gniewu skutkiem tych niepomyślnych wieści.

W Memfis odbywała się właśnie uroczystość z powodu znalezienia nowego Apisa. Z oznakami najwyższej czci, z uroczystą procesyą, której towarzyszyły śpiewy, prowadzili kapłani czarnego wołu do świą-

tyni. Kambyzes, rozdrażniony hałasem, wypadł na ulicę i wpakował własny miecz w bok świętego zwierzęcia. Krew trysnęła obficie, zwierz runął na ziemię, a król wykrzyknął ze złośliwym tryumfem:

— Patrzcie, głupcy, oto moc waszych bogów!.. Wymyśliliście bajkę, aby mnie oszukać!.. Odpokutujcie za to!.. Straży!—krzyknął—weźcie kapłanów i zakłujcie każdego, którego przy tej niedorzecznej uroczystości spotkacie!

Obecni Egipcyanie zbuntowali się.

Psametyk stanął na ich czele, lecz Kambyzes pokonał nieposłusznych i syn Amazysa na śmierć skazanym został.

Chwilowy tryumf nie uspokoił wszakże wyrzutów sumienia króla, codzień stawał się drażliwszym. Wierny Krezus nie odstępował go, choć Kambyzes niejednokrotnie zapominał się i względem niego. Raz nawet wydał nań wyrok śmierci. Straże jednak wiedząc już, jak żałował szaleństwa popełnionego względem Bartyi, wyroku nie wykonały.

I dobrze zrobiły, gdyż po paru dniach król kazał wezwać do siebie Krezusa.

Pewnego dnia, siedząc przy uczcie, Kambyzes zapytał Preksaspesa, co sądzą o nim Persowie.

— Iż za wiele pijesz teraz wina, królu, i to szkodzi twemu zdrowiu—odparł starzec.

— Dowiodę ci w tej chwili, że wino mi nie szkodzi—odparł król.

Kazał podać sobie łuk, zwrócił strzałę w kierunku syna Preksaspesa i serce mu przeszył.

— Widzisz, że jeszcze potrafię celnie strzelać! — rzekł.

Nie było dnia, ażeby nie popełnił jakiej zbrodni. Pewnego razu urządził widowisko w Memfis, na które zaprosił cały dwór i wszystkie kobiety. Do przedstawienia należała walka dwóch psów ze lwem. Gdy lew rozdarł jednego psa, drugi wskoczył na kark zwycięzcy i powalił go na ziemię. Atosa podczas tego przedstawienia wybuchła płaczem głośnym. Kambyzes zwrócił ku niej błyszczące gniewem oczy i zapytał, co się jej stało.

— Szlachetne to zwierzę, które nie wahało się narazić życia za brata, przypomniało mi nieszczęśliwego Bartyę — rzekła Atosa — biedny Bartya, nie znalazł obrońcy, czyjaś dłoń pewno z rozkazu wyższego pozbawiła go życia!

Król rzucił się na siostrę i bić ją począł pięściami wobec wszystkich. Byłby zabił Atosę, gdyby nie Kasandona, która schwyciła go za rękę i rzekła surowo:

— Czy chcesz siostrobójcą zostać?

Odskoczył wówczas i opuścił widowisko, lecz nazajutrz wydał rozkaz, aby wszystkie kobiety, oraz Kasandona, Atosa i Safo, wyjechały do Ekbatany pod opieką Gigesa.

One rade były z tego, bo obecność Kambyzesa męczyła je.

Atosa i Safo zmieniły się do niepoznania. Przebyte cierpienia odebrały im dawną wesołość i swobodę. Były to poważne kobiety.

Minęło kilka miesięcy od przyjazdu Ksandony do Ekbatany. Dnia jednego weszła do jej pokoju Atosa, mocno wzruszona, oznajmiając, że przed chwilą mówiła z Gigesem, który polecił oznajmić jej, że musi oddalić się ze stolicy. Doszły niespodzianie wieści, że Bartya zjawił się w Babilonie, że zbiera stronników i królem zamierza się ogłosić. Giges prosił jednak, aby Safo nie powtórzyć tych wieści i strzedz, aby do niej pogłoska ta nie doszła, bo nuż fałszywą się okaże!..

Kasandonę mocno zaniepokoiły słowa Atosy, lecz nie dała tego poznać po sobie.

Tymczasem wieść ta z zadziwiającą szybkością rozbiegła się po całej Persyi. Nie można było wątpić, że ktoś ją szerzy umyślnie.

Z Persyi dobiegła do Egiptu i spadła jak grom na Kambyzesa.

Zbrodniarz przestraszył się, że duch brata wrócił na ziemię, aby go ukarać. Wkrótce inne przypuszczenie zrodziło się w jego sercu, które również niepokoju go nabawiło.

Przywołał Preksaspesa do siebie i rzekł:

— Skłamałeś, Bartya żyje!

Starzec, któremu to zabójstwo dzień i noc ciężyło na duszy, westchnął.

— Niestety, nie skłamałem! — odparł — mogę przysiądz na to!

— A jednak Bartya żyje!—rzekł Kambyzes.

— Zapomniałeś, panie o Gamocie, który już raz zwiódł cię swoim podobieństwem do królewicza—odparł Preksaspes — wieść mówi, że kapłani popierają nowego władcę, a ja pewien jestem, że kapłanami kieruje brat Gamoty.

— Niech wojsko gotuje się do drogi, wrócimy do Azyi!—krzyknął Kambyzes.

Dniem i nocą pędził król do domu, nie zażywając prawie spoczynku, ale bogom niepodobał się jego pośpiech. W Syryi koń królewski potknął się i własnym ciężarem tak przygniótł jeźdzca, że ten stracił przytomność. Nieprzytomnego zupełnie, zanieśli wodzowie do poblizkiego domu i na łóżku złożyli. Król po paru godzinach otworzył oczy, powiódł zgasłem okiem po otaczających i rzekł:

— Umieram, wróćcie do Persyi i przeproście w mojem imieniu wszystkich pokrzywdzonych przeze mnie, a przedewszystkiem Safo. Ty zaś, Preksaspesie, daj świadectwo Persom, że Bartya nie żyje. Powiedz im, że umierając, tron oddałem Atosie, która poślubić winna Daryusza.

Tak sprawiedliwości i woli bogów stanie się zadość.

Zmęczony mową, opadł na poduszki i w parę godzin potem skonał na rękach Krezusa.

Zacny Lidyjczyk, ukląkłszy przy zwłokach, zawołał:

— Cyrusie! dotrzymałem przysięgi! Byłem wiernym doradcą twego syna do ostatniej chwili jego życia!

— A teraz moim będziesz! —rzekł Daryusz, położywszy dłoń na ramieniu starca.

— W drodze łaski pozwolisz mi, królu, na ostatnie dni życia powrócić do miłej mi ojczyzny — prosił Krezus.

Daryusz w milczeniu dłoń mu uścisnął.

XX.

Wieść o śmierci Kambyzesa wyprzedziła powrót do kraju Achemenidów, wysłali oni bowiem umyślnie kilku ludzi naprzód, aby ją rozszerzyli.

Samozwaniec Gamota ucieszył się wielce, również kapłani. Gdy wojsko Kambyzesa wkroczyło do Babilonu, powitali je spokojnie.

Achemenidzi, czując się na razie zbyt słabymi, aby módz wystąpić otwarcie przeciw oszustowi, udali, że wierzą w powrót Bartyi.

Oropastes wezwał Preksaspesa do siebie i obiecał mu olbrzymią sumę złota, jeśli zgodzi się wejść na wysoką wierzę i oznajmić ludowi, że nieprawdą jest, jakoby Bartya był zamordowany, że rozmawiał z nowym królem i pewien jest, że to młodszy syn Cyrusa.

— Kiedyż mam to uczynić? — zapytał Preksaspes.

— Jutro rano—odparł Oropastes.

Preksaspes skinął głową.

Nazajutrz udał się do Daryusza i rzekł:

Zasłużyłem na twoją pogardę, nie szczędziłeś mi dowodów, jak mnie nienawidzisz. Dziś za mój grzech pokutę otrzymam, pamiętaj, królu, o moich dzieciach.

I po chwili stanął na szczycie wieży, którą tłum ludu otaczał.

— Persowie!—wykrzyknął głosem wzruszonym— jestem zbrodniarzem, moja ręka zamordowała syna Curusowego, ten zaś, który podaje się za Bartyę, to oszust, to samozwaniec, to Gamota, skazany niegdyś przez Kambyzesa na obcięcie uszu.

Zdejmcie mu z głowy złotą tjarę, a przekonacie się, że prawdę powiedziałem.

Teraz żegnajcie, Persowie, krwią własną zmyję krew Bartyi, którą się splamiłem!

To powiedziawszy, wszedł na baryerę i skoczył na ziemię.

Zabił się na miejscu.

W tłumie z razu zapanowała głucha cisza, poczem naraz zaszumiało na placu, lud się poruszył, groźny i straszny, pod niebiosa, głosem do gromu podobnym, wzbił się okrzyk:

— Śmierć samozwańcowi!

I cały ten tłum, zemstą dyszący, pospieszył do pałacu królewskiego, gdzie Gamota się rozsiadł.

Lecz w drodze zastąpili mu drogę naczelnicy siedmiu rodów Achemenidów pod wodzą Daryusza.

— Chwała królowi Daryuszowi, mężowi Atosy, córki Cyrusa!—zawołali. Samozwaniec nie żyje!

— Chwała królowi Daryuszowi! —powtórzył tłum.

Gamota i Oropastes śmiercią ukarani zostali. Daryusz Histaspes, poślubiwszy Atosę, wstąpił na tron.

Waleczny, roztropny i sprawiedliwy rządził rozumnie, powrócił ład i porządek w Persyi, potęgę jej zapewnił. Potomność policzyła go do najlepszych organizatorów wszystkich czasów i krajów.

On pierwszy rozłożył sprawiedliwie i uregulował podatki, zostawił poddanym zupełną swobodę religii, otoczył wszystkie stany opieką, a ponieważ większą część swej mądrości zawdzięczał Egipcyanom, przeto świadczył temu narodowi wiele dobrego.

Jako pomnik swej wielkości rozkazał zbudować przy Persepolis, pod pewną górą, wspaniały pałac dla siebie i swoich następców. Dziś jeszcze szczątki tego pałacu służą za schronienie dla dzikich gołębi.

Stały we wszystkich uczuciach, otaczał się do śmierci przyjaciółmi młodości.

Przyjaciele zawsze łask jego doznawali, Atosa była szczęśliwą do końca życia.

Safo otrzymała troskliwą opiekę, jak również Kasandona. Bóg mu błogosławił, bo choć poganin, zacnym był i dobrym.

Stara Rhodofis żyła jeszcze długo, podtrzymywana wiarą w szczytne powołanie Grecyi, a gdy umarła, całe Neukratis żałowało tej zacnej staruszki.

Teopompus wyprawił natychmiast posła z żałobną wieścią do Persepolis, gdzie bawił właśnie Daryusz z całą rodziną królewską.

W parę miesięcy potem satrapa egipski otrzymał następujące pismo:

„Ponieważ zmarłą w Neukratis Greczynkę znaliśmy, ponieważ wnuczka jej Safo, będąc wdową po królewiczu Bartyi, jest krewną naszą, przeto zdaje się nam rzeczą słuszną, aby zwłoki Rhodofis ze czcią królewską pochowane zostały. Rozkazujemy przeto, aby jej popioły umieścić z królewskimi honorami w największej piramidzie. Popioły mają być umieszczone w urnie, którą przy niniejszym Safo posyła.

Dano w Persepolis, w nowym pałacu.

Daryusz Histaspes.

KONIEC.